

RAINER WEKWERTH

LABIRYNT
NA CIEBIE POLUJE

VVA!

Rainer Wekwerth

LABIRYNT POLUJE NA CIEBIE

przełożyła Aldona Zaniewska



Tytuł oryginału: *Das Labyrinth jagt dich*
Copyright © 2013 Arena Verlag GmbH, Würzburg, Germany
Alle Rechte vorbehalten

www.arena-verlag.de

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI
Copyright © for the Polish translation by Aldona Zaniewska, MMXVI
Wydanie I
Warszawa

Księga pierwsza

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

Księga druga

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

[26.](#)

[27.](#)

[28.](#)

[29.](#)

[30.](#)

[31.](#)

[32.](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Księga pierwsza

León zrobił dwa kroki i uderzył w ścianę. Zaskoczony dotknął czoła, którym przyłożył w przeszkodę. Po głowie rozszedł mu się tępy, tętniący ból.

„Cholera, będzie z tego porządny guz” – pomyślał.

Gdy opuścił lodowe miasto, był przygotowany na wiele sytuacji, ale nie na zamknięte pomieszczenie. Powoli opuścił rękę i rozejrzał się dookoła. Był w pokoju wielkości mniej więcej cztery na cztery metry, bez okien i mebli. Otaczała go pustka – nic oprócz idealnie białych ścian, gładkich i bez żadnych szczelin.

Chociaż nie widać było źródła światła, nie panowała tu ciemność. Pomieszczenie było spowite miękkim białym światłem, które emitowały chyba podłoga i sufit.

León zamknął oczy i głęboko odetchnął.

Tu, w środku, panowała cisza. Całkowita. Przerывał ją tylko jego oddech, jakby nie z tego świata.

„Gdzie jestem?” – zastanawiał się.

Zdziwiony spoglądał na szeregi liczb, które biegły po nagich ścianach. Nie dostrzegał w ich ciągu żadnej logiki, dlatego przestał zwracać na nie uwagę. Położył dłonie na ścianie przed sobą i zaczął ją gładzić. Nie mógł wyczuć żadnych nierówności. Po kolei obmacywał ściany. Pukał zgiętymi palcami w nienaturalnie gładki mur. Odgłos był wszędzie taki sam, tępy i głuchy. Zdradzał mu, że nie ma za murem ukrytych drzwi ani pustych przestrzeni.

Bardziej pałace niż pytanie, gdzie jest, stało się to, jak się stąd wydostać. I gdzie są inni. Jenna, Jeb, Mary i Misza.

León wołał ich po imieniu. Najpierw ostrożnie, potem coraz głośniejsze, w końcu wyrzaskiwał imiona. Robił przerwy i nasłuchiwał. Ale nic się nie działo.

Żadnej odpowiedzi. Tylko dźwięk własnego głosu odbijał się od nagich i pustych ścian.

W końcu się poddał.

Usiadł po turecku na środku pomieszczenia, na gołej podłodze, przycisnął dłonie do skroni i analizował ostatnie wydarzenia.

Kilka dni temu obudził się w obcym świecie. Najpierw był sam, ale potem znaleźli go młodzi ludzie, którzy byli w takiej samej sytuacji co on. Najgorszy był dla Leóna moment, gdy Tian przy pokonywaniu wąwozu spadł w przepaść. Tian nie żył, zamordowany przez Kathy, która chciała mieć pewność, że nie zabraknie dla niej bramy do kolejnego świata. Kathy, ta suka, później tak nagle i nieoczekiwanie poświęciła się dla Mary. Zupełnie nie rozumiał Kathy. W końcu została w lodowym świecie. Oszałała. Głośno zgrzytnęła zębami. Cokolwiek jej się przytrafiło, ta *puta* nie zasłużyła na nic innego.

Zostali w piątkę. León nie wiedział, czy reszta również się tu pojawiła. *En la nada*, w tej nicości. I nie miał pojęcia, jak do nich dotrzeć, jeśli są w pobliżu.

„Cholera, co to znów za gówno?” – pomyślał.

Jeśli się tu nie pojawili, to dobrze. Głównie dla niego, bo nie będzie walki o bramy. Wówczas w każdym kolejnym świecie czekałaby na niego następna brama i wcześniej czy później wróciłby do domu. Przynajmniej taką miał nadzieję, bo pewnie gdzieś był jego dom, choć nie bardzo go pamiętał. Problem, przed którym León w tej chwili stanął, był prosty. Znajdował się w pomieszczeniu bez okien, z którego nie prowadziły żadne drzwi. Ani

jakiegokolwiek bramy, przez które mógłby uciec. W tym momencie nie mógł nic zrobić. Poczł, że to pomieszczenie ma jakąś tajemnicę, a on musi ją odkryć. Nikt nie zamknie go jak zwierzęcia. Nikt.

León zdjął kurtkę i odłożył na bok. Panowała tu umiarkowana temperatura. Nie było ani ciepło, ani zimno, nie potrzebował kurtki. Siedząc, wpatrywał się w przeciwległą ścianę. Wiedział, że się coś zmieni. Był na to gotowy.

Patrzył na puste ściany i powoli ogarniało go zmęczenie. Oczy mu się zamknęły, a broda opadła na pierś. Zdecydowanie poderwał głowę. Nie mógł sobie pozwolić na sen. Musiał pozostać czujny.

Wkrótce jednak ciało odebrało swój haracz za wysiłek, dzięki któremu pozostał przy życiu.

Jenna wychodziła z siebie. Wściekle waliła pięściami w nagie białe ściany. Choć były gładkie i idealnie równe, wkrótce knykcie palców Jenny krwawiły i zostawiały czerwone smugi na nieskazitelnej dotąd powierzchni.

Była uwięziona i sama. Gdzie się podział Jeb? Ten chłopak tak szybko wkradł się do jej serca, że czuła, jakby go znała całe wieki. Jeb zaryzykował życie, żeby uratować ją w pierwszym świecie. Potrzebowała go, a bez jego krzywego uśmiešku nie wyobrażała już sobie życia.

– Dlaczego mi to robicie?! – wrzeszczała w białą pustkę pokoju. – Nie dość już wycierpiałam, pieprzone dupki? Bawi was przyglądanie się, jak cierpię jeszcze bardziej?

Jej twarz płonęła gniewem. Cofnęła się dwa kroki i rzuciła całym ciałem na ścianę. Jeszcze raz i jeszcze raz. Wykrzykiwała imię Jeba, ale odpowiadała jej cisza.

Wściekła, wyczerpana i bez tchu opadła na podłogę i płakała. Nagle zakrztusiła się własnymi łzami i zaczęła kaszleć. To zmusiło ją do opamiętania i próby oceny sytuacji.

Była w zamknięciu i musiała się wydostać, żeby poszukać Jeba.

Ktokolwiek zatroszczył się o to, żeby wylądowała w pustym pomieszczeniu, raczej nie chciał, żeby umarła z głodu i pragnienia. To nie miałoby sensu. Jej śmierć, a także śmierć ich wszystkich mógł spowodować już wcześniej. Albo sprawić, by nie było bram, a żadne z nich nie wylądowałoby w następnym świecie. Nie, nie, to wszystko nie służyło temu, by ich zabić. To było dla Jenny jasne.

„Spieprzaj” – rzuciła w duchu.

Ktokolwiek wymyślił ten piekielny żart, nie zastraszy jej.

„Wyjdę z tego pomieszczenia i znajdę Jeba, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię” – postanowiła.

Ślepa furia uleciała, ustąpiła miejsca wyrachowanemu gniewowi, który pomógł Jennie się skupić.

„Obszukam to pomieszczenie, gdzieś musi być ukryty mechanizm, który otwiera niewidzialne drzwi” – kalkulowała.

Uczepiła się myśli, że koniec nie może nadejść tu i teraz. Musiał być jakiś dalszy ciąg, musiała walczyć dalej. Teraz chodziło tylko o to, żeby się nie poddała. Może coś przeoczyła? Zakiełkowała w niej wiara i Jenna rozejrzała się jeszcze raz.

Potem nagle zapanowała całkowita ciemność.

Mary przykucnęła w najdalszym kącie pokoju, jak najdalej od drzwi, nieco uchylonych,

przez które do ciemnego pomieszczenia wpadał promień światła.

Wszystkie wrażenia, wszystkie jej myśli uciekły, uniesione strachem, że będzie na jego łasce.

Był gdzieś tam na zewnątrz. Słyszała jego kroki.

Drzwi otworzą się nieco szerzej, nie całkiem, co to, to nie. Zaraz jego długi cień ułoży się na podłodze i stopi z ciemnością w pokoju.

Matka nic nie podejrzewała, a może nie chciała wiedzieć, co działo się nocą w tym pokoju?

– Jesteś rozpuszczoną podfruwajką, która nie wie, co jej wolno, a czego nie – besztala często córkę. – Trzeba za tobą wszystko nosić, bo jesteś leniwa.

A to nie była prawda, bo ojciec brał od Mary wszystko bez jej próśb. Zawsze był obok, nosił jej tornister, podnosił książki, kiedy upadły na podłogę, jakby chciał wynagrodzić córce to, co przeszkrobał poprzedniej nocy.

Wszystkie te obrazy i wspomnienia, o których miała nadzieję zapomnieć lub je wyprzeć, nagle wróciły. Wszystko inne zniknęło. Nie mogła sobie przypomnieć niczego z poprzedniego życia, tylko *to* jedno.

Wtem kroki ustały. Ale on nie wchodził. Mary usłyszała coś innego. Cichy szloch. Słaby, jakby lęk, który się w nim krył, nie miał skrzydeł.

– Tato, proszę, nie. Proszę.

Mary nie mogła opanować drżenia. David. To był jego głos. Jej ciało się napięło, drgnęła, jakby przeszedł przez nią prąd. Poczowała, jak robi jej się niedobrze, i z odrazy, jaka ją ogarnęła, zwymiotowała na podłogę. Dyszała, z kącika ust ciekła jej gorzka ślina. Pod zamkniętymi powiekami tańczyły krwistoczerwone plamy i nagle zakreśliło jej się w głowie.

– Proszę.

Tylko jedno słowo. Błaganie, w którym był sam lęk.

Mary wytarła usta rękawem kurtki. Powoli wstała. Nogi jej drżały, wahała się, czy podejść do światła, które wpadało z zewnątrz, ale zmusiła stopy, by zrobiły krok.

Potem jeszcze jeden.

Serce biło jak oszalałe, ale już nie zwlekała.

Najwyższy czas, żeby z tym wszystkim skończyć.

Misza wpatrywał się w ścianę przed sobą. Nic nie widział. Przed chwilą było jeszcze jasno, teraz przykucnął w całkowitej ciemności. Nie bał się. Nie groziło mu tu bezpośrednie niebezpieczeństwo. Nie panował piekielny upał ani siarczasty mróz, nic go nie bolało, nie był głodny i nie paliło go pragnienie. Wszystko było prostą geometryczną formą, której zagadkę miał rozwiązać.

Kiedy czekał, w pokoju znów zrobiło się jaśniej. Nieprzenikniona czerń zamieniła się w mętną szarość, a potem w bladą biel. Nie potrafił odkryć, skąd pochodzi światło, ale o wiele bardziej interesowało go to, że ściany już nie były tylko białe. Teraz wędrowały po nich w postaci bladego, szarego światła liczby w pozornie nieuporządkowanych ciągach. Od lewej do prawej i odwrotnie, od dołu do góry i w drugą stronę.

Małe i duże liczby.

Misza patrzył na ściany i wtedy coś sobie przypomniał. Liczby i kształty to była jego przeszłość. Jego życie przed labiryntem. Liczby odgrywały w nim ważną rolę. Uwielbiał liczby, matematykę. Jego serce podskoczyło. Czyżby wrócił do domu?

Nie. Z tym otoczeniem nie wiązały go żadne wspomnienia. Wszystko tu było obce. Zimne.

Tylko liczby były czymś znajomym.

A potem pojął, o co chodzi. To wszystko było zagadką, a jej rozwiązanie kryło się w wędrujących liczbach. Jeśli wda się w tę grę i rozwiąże zagadkę, wyjdzie z tego pomieszczenia i znajdzie resztę grupy.

Gdzieś za tymi białymi ścianami były bramy, które zaprowadzą go dalej, przeniosą kawałek bliżej prawdziwego życia.

Liczby! Co w nich było szczególnego?

Misza obserwował, jak przesuwały się po ścianach, ale nie odczytywał ich tajemnicy. Były różnej długości, czasem dwunasto-, czasem tylko czterocyfrowe, albo była pomiędzy nimi jakaś grupa cyfr. Wszystkie miały ze sobą coś wspólnego, coś, czego nadal nie potrafił pojąć.

Spokojnie i rytmicznie jak na morzu, którego fale liżą brzeg, liczby poruszały się po ścianach.

Misza był skonsternowany.

Wiedział, że to w nich tkwi rozwiązanie zagadki. Musiał sobie tylko coś przypomnieć. Kim był przed labiryntem i kim prawdopodobnie jest nadal. Pojawiało się przed nim coraz więcej liczb i nagle przestały być znajome, a stały się groźne. Niespodziewanie pojawiła się nowa liczba, większa od pozostałych, czerwona. Widniała pośrodku każdej ściany. Liczba była nieruchoma, a inne ślizgały się wokół niej, jak gdyby jej ustępowały.

24:00

Liczba powoli migąła jak wyzwanie, ale po co? Potem się zmieniła. Misza uparcie ją obserwował.

23:59

23:58

23:57

Po chwili zrozumiał. Trwało odliczanie. Ktoś mierzył czas. A czas mijał. Pomyślał, że gdy licznik dotrze do zera, coś się stanie i nie będzie to nic dobrego. Zgrzytnął zębami.

Dwadzieścia cztery?

Dwadzieścia cztery godziny.

Czas, który mu został, żeby coś zrobić?

Nie musiał się nad tym zastanawiać. Dwadzieścia cztery godziny, żeby wyjść z tego pomieszczenia i znaleźć bramy, które przeniosą go w kolejny świat.

„Cholera” – pomyślał.

Gdzie byli pozostali?

Jebowi brakowało tchu. Odkąd wylądował w tym pomieszczeniu, czuł ucisk w krtani. Przyciskał pięści na przemian do piersi i do ust, chwycił powietrze, pompował tlen do płuc, więcej i coraz więcej, a mimo to miał wrażenie, że się dusi.

Znalazł się w jasnej zamkniętej przestrzeni. Bez okien i drzwi. To zamknięcie zdusiło w nim wolę działania. Nie wiedział, skąd wziął się ten lęk, ale kiedy drząc, przykucnął na podłodze, opanowały go obrazy z przeszłości. W błyskawicznym tempie przed oczami pojawiły się strzępy wspomnień.

Pijany ojciec wyzywa matkę. Ciasnota małego domu. Wolność jedynie w pobliskich lasach, w domu cicha rozpacz, która wydawała się wypełniać każdą cząstkę dzieciństwa.

Pojawił się przed jego oczami obraz matki. Niegdyś błyszczące czarne włosy teraz były siwe i bez blasku, podobnie jak jej spojrzenie. Widział w nich brak nadziei, kiedy po

czternastu godzinach ciężkiej pracy wracała do domu i wynosiła do kosza butelki po wódce. Zgarbiona ciężarem życia płaciła cenę za to, że zakochała się w tym mężczyźnie.

„Dlaczego nie odejdziesz?! – bezgłośnie krzyczał na nią każdego dnia. – Dlaczego go nie zostawisz?”

Została ze względu na niego. Tyle lat. A teraz było za późno, by zacząć wszystko od nowa.

„Mam do ciebie tak wiele pytań, mam, i teraz czuję się tak, jak ty musiałaś się czuć każdego dnia. Czy to, co się tu dzieje, to kara za to, że cię zostawiłem w potrzebie?”

Jeb oddychał z trudem. Czuł, jak jego płuca się kurczą, a klatka piersiowa się zaciska. Zacharczał. Chwytał się rękami za gardło, jakby chciał je zmusić, żeby się otworzyło.

Później nagle zapadła wokół niego ciemność. Jego krtań gwałtownie się zacisnęła. Dysząc w ciemności, próbował nabrać powietrza, ale gdy rozpaczliwie starał się unieść klatkę piersiową, by wpuścić do płuc zbawienny tlen... brakowało mu sił. Jakby ciało zbuntowało się przeciwko niemu, jakby Jeb sam chciał się udusić. Próbował krzyknąć, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku.

Gdy chwilę później znów stało się trochę jaśniej, Jeb leżał bez ruchu na podłodze.

Nie widział liter i liczb, które przesuwają się po ścianach. Nie zauważył licznika, który się pojawił, gdy jego skurczone palce próbowały wczepić się w pustą podłogę. Nie ruszał się.

Nagle światło znów się zmieniło i ściany spowiła czerwona poświata. Rozległo się skamlenie. Jeb drgnął, podniósł głowę, jego wargi układały się w nieme słowa. Wzrok miał mętny, ale czuł, co się dzieje.

Powoli i bezgłośnie ściany wokół niego zapadały się w podłogę. W każdym kierunku rozciągała się z pozoru nieskończona przestrzeń, nad którą wydawało się unosić jasne światło. Jeb czuł, jak tlen wdziera się do jego płuc, miał pustkę w głowie i nie był w stanie myśleć. Ponad tym wszystkim słyszał szum krwi w swoich żyłach. Coś skłoniło go jednak do poruszenia się, do ucieczki z tego więzienia. Z trudem i stękaniami przesunął ciało kawałek naprzód. Jak ranne zwierzę czołgał się w stronę światła.

Leóna obudził dziwny dźwięk. Gdy ściany się poruszyły, zerwał się na równe nogi i stanął pośrodku pokoju. Obrócił się wokół własnej osi, instynktownie szukając wzrokiem wrogów i niebezpieczeństwa.

Ale wokół była tylko pustka, biała przestrzeń. Zrobił krok naprzód i gdy nic się nie wydarzyło, podchodził do miejsc, gdzie ściany zniknęły w podłodze. Pochylił się, przeciągnął palcami po gładkiej, prawie nieskazitelnej podłodze. Nie dało się niczego wyczuć. Jakby ściany nigdy go nie otaczały.

León wyprostował się i powoli, starannie się rozejrzał.

Pusta przestrzeń rozpościerała się przed nim we wszystkich kierunkach. Wydawało się, że horyzont albo jakakolwiek ściana za tą powierzchnią nie istnieją. *La nada*. Nie, to było więcej niż nic. *El infierno blanco*.

Jedna myśl gonila drugą. Co ta pusta przestrzeń ma oznaczać? Czy zawsze tu była, za murami jego pomieszczenia? A może znajdowało się tu więcej pomieszczeń, tylko nie mógł dostrzec, bo nie było ich ścian?

Kiedy bezradnie kręcił się wokół własnej osi, zauważył w oddali jakiś ruch. Właściwie cień, który poruszył się kawałeczek z prawej do lewej, ale León instynktownie poczuł, że tam w oddali był jakiś człowiek. Może ktoś z jego grupy? Ułożył dłonie wokół ust i zawołał tak głośno, jak mógł.

– Halo!

Żadnej reakcji.

Jeszcze raz wrzasnął na całe gardło.

Bez sensu. Nie posunął się ani o krok dalej. Szybko pobiegł w stronę cienia.

„Skąd wiesz, że ten cień nie jest wrogiem?” – León szybko porzucił tę myśl, gdy zostawiał za sobą metr za metrem. Mógł to być przecież jeden z tych, którzy na nich polowali. Jak Mary ich nazwała?

Duszopijcy? Nie, prześladowcy ze stepu nie ścigali ich w poprzednim świecie, dlaczego więc mieliby pojawić się tutaj, w tym osobliwym otoczeniu?

To musiał być ktoś z jego grupy. León miał nadzieję, że to ktoś z nich.

Wydawało mu się, że ma za sobą sto metrów albo i więcej, a do cienia się nie przybliżył. Rzucił spojrzenie przez ramię, żeby sprawdzić, czy w ogóle porusza się naprzód. Nie wiedział jednak, skąd wyruszył. Próbował dostrzec jakieś detale, ale obraz przed oczami drgał i nie był wyraźny. Oddech mu się rwał, a puls galopował z wysiłku. Pot zalewał oczy i sprawiał, że jeszcze trudniej było cokolwiek rozpoznać.

Po chwili...

...postać się poruszyła.

León wrzasnął, najgłośniej jak mógł, i cień się odwrócił. Wydawało się, że patrzy w jego stronę.

To przemykanie się, ten delikatny ruch...

„To Mary – pomyślał. – To musi być Mary”.

Zawołał ją po imieniu, ale znów zabrzmiał ten dziwny żałosny dźwięk, który poprzedził zniknięcie ścian.

León czuł, co to może oznaczać. Biegł coraz szybciej. Gdzie teraz pojawią się ściany? Ściany bez okien i drzwi: jego więzienia. Nic nie mógł na to poradzić, nie wiedział, co ma zrobić, więc stanął zdyszany i rozejrzał się dookoła. Z podłogi podnosiły się nowe mury, nieprzerwanie rosły niezliczone ściany w najróżniejszych odstępach i pod różnymi kątami.

Nie było czasu na przemyślenia, jedynie czas na reakcję. León przeskoczył przez mur, który sięgał mu już do kolan, i stanął pośrodku nowo powstającego pomieszczenia. Zafascynowany i jednocześnie speszony przypatrywał się, jak ściany rosą ze wszystkich stron i zlewają się z sufitem, który nagle pojawił się na górnej krawędzi jednej ze ścian, wysunął się i chwilę później tworzył ze wszystkimi ścianami zamknięte jasne pomieszczenie. Jego więzienie.

Zaklął. Ten syf, w którym tkwił, zaraz go pochłonie razem z głową, a on nie ma bladego pojęcia, co się dzieje.

Odkrył tu Mary i przekonał się, że ściany jego więzienia mogą zniknąć. To go trochę uspokoiło. Nie miał jednak żadnej kontroli nad tym, co się tutaj dzieje. I nienawidził tego uczucia. Bycia na czyjeś łasce.

Bycia więźniem.

Co powinien zrobić, gdy ściany następnym razem znikną? O ile tak się stanie. Czy odnajdzie Mary?

Kiedy te przeklęte mury znów się zapadną w ziemię? Gdzie są Jeb, Misza i Jenna? Nie widział ich, chociaż patrzył na wszystkie strony.

León westchnął i dokładnie rozejrzał się po nowym pomieszczeniu. Nie różniło się od poprzedniego.

Miał wrażenie, jakby nie ruszył się z miejsca. Z czoła kapał mu pot, wargi były słone i przypominały, że dawno niczego nie pił. Nogi mu drżały. Uśmiechnął się.

„Bywałem już w lepszej formie” – pomyślał.

Stanął pośrodku pomieszczenia. Następnym razem będzie gotowy, tego był pewien. Jego wola walki była niewzruszona.

„Wyjdę stąd. Nikt i nic mnie nie zatrzyma” – obiecał sobie.

Odchylił głowę i wykrzyczał swój gniew: – Kimkolwiek jesteś, ty, który mi to robisz, znajdę cię, *cabrón*, przysięgam!

Nagle poczuł ruch za swoimi plecami. Błyskawicznie się odwrócił. Podniósł pięści, gotowy do walki.

– Kogo chcesz znaleźć, stary buntowniku? – Roześmiał się Misza i wszedł przez otwór do pomieszczenia. Przez otwór taki jak drzwi. León mógłby przysiąc, że wcześniej ich tu nie było. Ale stał przed nim Misza, który wszedł do jego pomieszczenia przez drzwi.

León czuł, jak uśmiech wkrada mu się na twarz.

Misza najpierw nie wiedział, jak zareagować, ale po chwili padł w objęcia Leóna i rozkoszował się jego bliskością. Nawet w najśmielszych snach nie wyobrażał sobie, że dotknie tego niedostępnego chłopaka, że będzie go trzymał w ramionach.

Ten uścisk przyszedł niespodziewanie i Misza wstrzymał oddech, żeby nie zepsuć nastroju chwili.

Czuł ramiona Leóna, które z mocą obejmowały jego barki, a jego dłonie gładziły Leóna po plecach.

León cofnął się o krok i promieniał.

– Chłopie, jak dobrze cię widzieć.

– I vice versa.

Misza niechętnie go puścił. Chociaż wciąż jeszcze czuł dotyk Leóna na swoim ciele, już tęsknił za jego bliskością.

– Widziałeś pozostałych? – León przerwał myśli Miszy.

Pokręcił głową.

– A ty? Znalazłeś kogoś?

– Myślę, że widziałem Mary, gdy ściany się zapadały w ziemię. Biegłem do niej, wołałem ją, ale mnie nie zauważyła, tak myślę.

– Ściany co zrobiły?! – zapytał zdziwiony Misza.

Na twarzy Leóna odmalowało się zdziwienie.

– A jak tutaj wszedłeś? – Jego wzrok powędrował do ściany, przez którą Misza wszedł do pomieszczenia, ale drzwi zniknęły. Zamiast nich była idealnie gładka ściana.

Misza wzruszył ramionami.

– Matematyka.

– Co?

Misza wskazał ściany wokół nich, po których bez przerwy wędrowały kolumny liczb.

– Zagadka kryje się w tych liczbach, a rozwiązanie jest proste, jeśli się wie...

– To są zagadki? – przerwał mu speszony León i uniósł brwi. Jego wytatuowane czoło przecinały równe zmarszczki, pomiędzy którymi błyszczały krople potu.

Misza chętnie wyciągnąłby rękę, żeby powieść palcami po czarnoniebieskich liniach. Zauważył jednak, że León wciąż patrzy na niego z ciekawością, i stłumił to mimowolne pragnienie.

– Tak, jeśli się umie je dostrzec. To zagadki matematyczne.

– A ty oczywiście umiesz je rozwiązać, zwariowany profesorku, i dzięki temu otworzyć drzwi, których nie ma.

– Właśnie tak. Nie mam pojęcia dlaczego, ale lubię łamigłówki. Wydaje się, że matematyka to moja specjalność. Gdy zobaczyłem te liczby, nagle pojawiły się wspomnienia i wiedza.

– To dobrze, bo... – zaczął León.

– ...więcej niż dobrze, bo potrafię nas stąd wydostać – dokończył Misza.

– I znajdziemy tu gdzieś bramy.

– Tak, wszystko inne nie ma sensu. To przecież wynika z przesłania Jeba. Sześć światów, które trzeba przebyć, a ten jest dopiero trzeci. Jeśli przesłanie jest nieprawdziwe... to po co tyle zachodu?

Ktokolwiek, czy cokolwiek, za tym stoi, na pewno dociągnie to aż do gorzkiego końca. Ktoś lub coś chce patrzeć, jak cierpimy, zabić nas, gdy będziemy walczyć o przeżycie.

León przy ostatnich słowach spojrzał na niego przenikliwie, a potem się odwrócił.

– Co teraz robimy?

Misza poufale klepnął go po ramieniu.

– Cóż nam zostało innego? Wędrujemy od jednego zasranego pomieszczenia do następnego, dopóki nie znajdziemy bram.

– A reszta?

– Prawdopodobnie tak jak ty próbuje przebić głową mur.

– Dlaczego cię nie widziałem na odkrytej przestrzeni? – León krytycznie spojrzał na Miszę.

– Nie wiem, byłem pewnie zajęty kodem liczbowym. – Misza próbował z ostrożnym

uśmiechem przełamać znów, teraz jawną, nieufność Leóna.

León odwrócił się do jednej ze ścian.

– Jak mamy tu znaleźć resztę naszej grupy? To niemożliwe.

– Znajdziemy ich po drodze.

– A jeśli nie?

Misza zastanawiał się, co się stanie, jeśli wszyscy dotrą do bram. Może dojść do walki, jeśli po drodze nikt się nie... podda.

„Jeb sprzymierzy się z Jenną, a León prawdopodobnie będzie chronił Mary, jak to robił przez cały czas” – pomyślał gorzko Misza.

A on? Przez chwilę miał nadzieję, że będzie u boku Leóna – ale ten czuły uścisk był jedynie wyrazem radości ze spotkania. Misza wiedział, że gdy pojawi się Mary, znów będzie po wszystkim. León miał do niej słabość, mimo że ciągle dawała mu kosza.

León uratował Mary ze straszliwego położenia. A droga od wdzięczności do miłości nie jest długa.

Czy taki zamknięty facet jak León jest w ogóle zdolny do uczuć? Czy Misza nadal musi się obawiać, że ten wytatuowany chłopak w decydującym momencie obróci się przeciwko niemu?

Misza miał nadzieję, że znajdzie bramy, zanim spotkają Jeba, Jennę czy Mary, ale León nie musiał o tym wiedzieć.

Powiedział więc tylko: – Gdzieś ich tu przecież znajdziemy. Ten świat nie może nie mieć końca, a jeśli nadal będę otwierał drzwi, jest tylko kwestią czasu, kiedy znów będziemy razem.

– Naprawdę potrafisz wyczarować te zasrane drzwi?

Misza się uśmiechnął.

– Wiesz, czym jest ciąg Fibonacciego?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Spójrz tu. Ciąg Fibonacciego zaczyna się od jednego, każda kolejna liczba jest sumą dwóch poprzednich. Jeden, dwa, trzy. Jeden plus dwa daje trzy. Czyli następnym krokiem będzie dodanie liczb dwa i trzy, by uzyskać kolejną liczbę w ciągu Fibonacciego.

– Czyli pięć, prawda?

– Zgadza się. Chwilę trwało, zanim na to wpadłem, ale to właściwie całkiem łatwe. – Misza wskazał ścianę. – To wszystko są liczby z ciągu Fibonacciego i żeby stąd wyjść, muszę tylko przedłużyć ten ciąg o kolejną liczbę.

– To takie proste?

– Jeśli się to rozpozna, owszem. Ale myślę, że dalej to nie będzie łatwe, bo z ciągiem Fibonacciego można stworzyć setki zagadek. Każdą bardziej skomplikowaną od wcześniejszej. To tutaj prawdopodobnie jest tylko rozgrzewka.

León milczał przez chwilę.

– Bez ciebie byłbym tu sam i uwięziony.

– Niezupełnie. Mówiłeś, że te ściany mogą zniknąć. Co tu widziałeś?

– Niewiele. Ściany zapadały się w podłogę i przede mną rozpościerała się biała pusta równina, która wyglądała na nieskończoną. Jak okiem sięgnąć nie było żadnych przedmiotów, żadnych punktów orientacyjnych czy czegokolwiek. Nic.

– Ale widziałeś Mary.

– Tak sędzę. Nie ruszała się i nie reagowała na moje wołanie.

– A Jenna i Jeb?

– Ich ani śladu. Nie rozumiem, dlaczego nie widziałeś, jak ściany się zapadły. Gdzie wtedy byłeś? – dopytywał się León.

Misza machnął ręką.

– W pomieszczeniu takim jak to. Odkąd się tu pojawiłem i rozwiązałem zagadkę z liczbami, wędruję od jednego pomieszczenia do drugiego. Wszystkie były puste. Ciągnęło mnie coraz dalej, bo szczerze mówiąc, jestem wściekle głodny i spragniony.

León spojrział na niego przenikliwie.

– Nie musisz mi tego mówić. To następny punkt, który budzi moje podejrzenia. Dotychczas znajdowaliśmy wyposażenie, ubranie, jedzenie i wodę, a tu nic. Nie ma nawet broni. Nóż, który miałem, zniknął. Jesteśmy bezbronni.

Misza skinął głową.

„Ale na szczęście nie ma też śmiertelnego zagrożenia – pomyślał. – Jesteśmy skazani na siebie, jeden na drugiego”.

Misza tłumił każdą kolejną myśl o tym, co by było, gdyby musieli się zwrócić jeden przeciw drugiemu, żeby przeżyć. Nie miał żadnych wątpliwości, że do tego dojdzie. Powiedział jednak głosem pełnym nadziei: – Może znajdziemy coś w kolejnych pomieszczeniach. Cała ta historia wydaje się podobna do eksperymentu, w którym wpuszcza się do labiryntu szczury, aby odnalazły wyjście lub karmę.

– Człowieku, *compañero*, masz naprawdę perwersyjną wyobraźnię. – Lewy kącik ust Leóna uniósł się w górę, a potem zatrzymał. – Ale możesz mieć rację, to mi trochę przypomina pewien kwartał ulic w moim mieście, ich układ. Tego, kto go zna, nie tak łatwo wytropić.

– Znów o jedno wspomnienie więcej. Więc jak?

– Co jak?

– Zabieramy się do rzeczy?

León kiwnął głową, a Misza odwrócił się do ściany. Jego wzrok przemykał po liczbach. Potem obrócił się wokół własnej osi i obserwował trzy pozostałe ściany.

– To jest łatwe – powiedział w końcu. – Obydwie największe liczby z ciągu Fibonacciego to 89 i 144, co w sumie daje nową liczbę: 233.

Podszedł do ściany i dotknął miejsca, po którym właśnie wędrowała dwójka. Wydawało się, że liczba się rozświetliła i nagle zatrzymała. Misza dotknął dwóch trójek. Teraz cała liczba migotała i w ścianie bezszelestnie otworzyło się przejście.

– Mówiłem przecież – stwierdził Misza, wzruszając ramionami. – To całkiem proste.

León się uśmiechnął.

– Jesteś cholernym geniuszem.

Weszli do pomieszczenia, które było podobne do poprzedniego w najdrobniejszych szczegółach.

Jedyna różnica leżała przed nimi, pośrodku pomieszczenia. Brązowy plecak.

– Jak myślisz? Jedzenie? – zapytał Misza i najchętniej od razu by się na nie rzucił.

León zatrzymał go wyciągniętą ręką.

– Uważaj, to może być pułapka. Lepiej, żebyśmy byli przygotowani na wszystko.

Podszedł do plecaka i go sprawdził. Gdy podniósł wzrok, Misza zadrżał na widok jego przerażonej twarzy.

– Wiesz, co to jest? – zapytał León zachrypniętym głosem.

– Co takiego?

– To ten zasrany plecak, który straciłem pierwszego dnia na równinie. A teraz wyjaśnij mi

jeszcze, do cholery, jak on się tu znalazł.

Korytarz przed Mary był pogrążony w mroku. Prowadziło ją tylko słabe światło w oddali, na końcu z pozoru niekończącego się przejścia. Jak robot poruszała się w jego kierunku.

Ogarnął ją lęk i zmuszała się do każdego kroku. Opierała się ręką o ścianę, gdy z wahaniem i powoli stąpała naprzód. Powłócząc nogami, podążała w ciemność za bolesnym wołaniem braciszka o pomoc.

W mrok, w którym rządziły duże, prostackie ręce. Tam będzie jej ojciec. Musi obronić przed nim Davida.

„Tak trzeba – myślała Mary. – David jest delikatny jak ptaszek. Ojciec złamie mu skrzydła i David już nie będzie mógł latać. Nie, nie, nigdy! Choćbym miała umrzeć”.

Czuła wszechogarniający strach. Trzymał Mary w swoich szponach, zapierał dech i zmuszał do dygotu.

Szloch brata wypełniał cały korytarz, odbijał się od wszystkich ścian. Rozdzierał serce Mary. Mocno zacisnęła zęby, wyprostowała się i przyspieszyła. I chociaż stopy wydawały się kleić do podłogi i rósł strach przed tym, co zobaczy, Mary zrobiła kolejny krok.

„Davidzie, wytrzymaj. Idę. Zaraz będzie po wszystkim”.

Jej stopy słabo odbijały się od podłogi, ale Mary czuła, że biegnie coraz szybciej. Wkrótce biegła jak szalona, ale światło na końcu korytarza coraz bardziej się oddalało. Wyczerpana Mary zatrzymała się.

Dyszała. Co się tu dzieje?

– Mary! – żałośnie zawołał z ciemności jej brat.

Mary podniosła głowę, a światło zniknęło. Zdecydowanym ruchem wyciągnęła ramiona, zrobiła kilka kroków naprzód i natknęła się na solidną ścianę. W ataku paniki pomyślała, że wylądowała w ślepej uliczce, ale gdy obmacywała ścianę, zauważyła, że korytarz przed nią się dzielił. Jedna droga prowadziła w lewo, druga w przeciwnym kierunku. Jedna od drugiej niczym się nie różniła. Obie otaczała głęboka ciemność. Dokąd teraz iść? Zmusiła się do uspokojenia oddechu i nasłuchiwała.

Po lewej szeptał jej brat. Po prawej tak samo, tylko że z tego korytarza dochodziły jeszcze inne dźwięki.

Potem z prawej usłyszała ciężki oddech mężczyzny. Dotarł do niej słaby jęk.

„Ojciec! – pomyślała. – I... czyżby to był blady blask światła?”.

Mary czuła, że na jej twarz wpełza zimny uśmiech. Czas najwyższy. Stawi ojcu czoła. Nogi mogły ją zawieść, dłonie drżeć w niekontrolowany sposób, ale lęk nie zapanuje nad nią.

Mary zagryzła wargi, jej usta wypełnił metaliczny smak.

„Ojciec, jestem gotowa”.

Bez wahania weszła w prawy korytarz.

Nie miała już siły na wściekłość. Jeśli to była gra, Jenna chciała poznać jej zasady. Dlatego nie ruszyła na ślepo, gdy ściany zapadły się w podłogę, tylko sprawdziła otoczenie. I rzeczywiście znalazła maleńką ryse w tej białej jednorodności. Z początku ledwie ją zauważyła, ale gdy już ją odkryła, trudno było to zlekceważyć.

Na podłodze Jenna dostrzegła słabe oznaczenia, o których myślała, że były liniami rozgraniczającymi ściany, i które później, jak sądziła, miały tworzyć pomieszczenie. Opadła na kolana i podążyła za tymi liniami, aż natknęła się na dwie biegnące równolegle, w równej, mniej więcej dwumetrowej odległości od siebie. Prowadziły gdzieś w dal.

„Korytarz – przemknęło jej przez myśl. – Korytarze dokądś prowadzą. Być może do wyjścia”.

Zanim ściany znów się podniosły, stanęła pomiędzy liniami i pozwoliła się otoczyć ścianom.

Rzeczywiście wylądowała w korytarzu.

I teraz nim podążała. Prowadził ją coraz głębiej w tę... tajemniczą konstrukcję.

„Albo też na zewnątrz” – pomyślała Jenna, chociaż próbowała pohamować nadzieję.

Powietrze tu w środku było przyjemnie chłodne i suche. Ale Jenna miała problem: palące pragnienie i głód. Ponieważ nie znalazła żadnych zapasów, nie pozostało jej nic innego, jak maszerować dalej z nadzieją. Musiała znaleźć Jeba i resztę grupy.

Jeb był prawdopodobnie uwięziony podobnie jak ona, ale też był silny. Pokazał w niejednej sytuacji, że potrafi przeżyć o własnych siłach. Jenna była niespokojna. Mogła zrezygnować z ochrony Jeba, ale nie z jego bliskości.

„Gdybyś wiedział, co do ciebie czuję...” – pomyślała.

Jenna przysięgła sobie, że wyzna mu swoje uczucia, gdy go znajdzie. Powinien wiedzieć, co się dzieje w jej sercu.

Była tak głęboko pogrążona w myślach, że nie zauważyła, jak w korytarzu robi się jaśniej. Nie mogła dostrzec bezpośredniego źródła światła, ale biel ścian zdecydowanie intensywniała, a światło wydawało się świecić niemalże ze środka.

Nieskazitelnie biały, niemal oślepiająco jasny korytarz był przed nią, bez żadnych drzwi i okien.

Nieskazitelny?

Coś jednak zaburzało idealnie białą powierzchnię ścian. Najpierw Jennie wydawało się, że czuje drgania, ale gdy podeszła bliżej i obejrzała ścianę na prawo od siebie, pojęła, że można powiedzieć wiele, ale nie to, że ta powierzchnia jest nieskazitelna.

Ktoś nabazgrał coś na niej koślawym pismem.

Jenna wstrzymała oddech.

„Kathy tu była!”.

León wciąż jeszcze gapił się na plecak.

– Nie pojmuję tego!

– Jesteś pewien, że to twój plecak? – zapytał Misza.

– Rozpoznałbym to cholerstwo pośród miliona innych. – León pogładził się po łysej głowie i podniósł wzrok. Jakoś go ten gest uspokajał, lecz mimo to nie rozumiał, co ten plecak ma oznaczać.

Misza, nie spuszczać z niego oczu, zapytał: – Coś w nim jeszcze jest?

– Nie, już nic. Tylko skarpetki, których nigdy nie włożyłem.

León nie pokazał Miszy, jak bardzo zaniepokoiło go to znalezisko. Jeśli plecak ponownie pojawił się w tym świecie, to mogło tak być też z każdą rzeczą z poprzednich światów. Czyżby jednak byli ścigani, choć tego dotychczas nie zauważyli? Jak, na Boga, ten plecak

się tu znalazł?

León wiedział, że od tej chwili muszą się liczyć ze wszystkim. Trzeba się przygotować nawet na pojawienie się wrogów. A nie mają żadnej broni.

– Co teraz? – wyrwał go z zamyślenia Misza.

– Idziemy dalej, co innego możemy zrobić?

Misza podszedł krok bliżej. Łagodnie położył rękę na ramieniu Leóna. Przez ciało Leóna przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Nie lubił, gdy ktoś go dotykał, nie w ten sposób, a już na pewno nie mężczyzna.

Mimo to pozwolił Miszy na to, a chłopak prawdopodobnie nie miał nic złego na myśli. Chciał go pocieszyć, bez względu na powód. Jednak w końcu León nie wytrzymał i odwrócił się gwałtownie, udając, że się rozgląda.

– Ile właściwie tu jest takich zasranych pomieszczeń?

Misza wzruszył ramionami.

– A czy to ma jakieś znaczenie?

– Tak, ma.

– Dotychczas labirynt, czy gdzie tam wylądowaliśmy, dawał nam uczciwą szansę ucieczki ze świata, w którym się znaleźliśmy.

– Walkę o przetrwanie nazywasz uczciwą szansą?

– Dobra, powiedzmy: realną szansę. Dlaczego teraz ma być inaczej? – Misza patrzył na niego rozluźniony, a León nie rozumiał, skąd bierze się jego spokój. – Będziemy się przebijać przez ten świat, dopóki nie natkniemy się na bramy, żeby odkryć inny świat.

León pokręcił głową.

– To brzmi zbyt prosto. I jeśli czegoś jestem pewien, to tego, że nic nie jest łatwe. A co na przykład z resztą grupy?

– Gdzieś tu są, wcześniej czy później ich znajdziemy.

– Nie słyszę w twoim głosie, żebyś się do tego specjalnie spieszył. A w ogóle – skąd to wiesz?

– Co się z tobą dzieje? – chciał wiedzieć Misza. Jego twarz przybrała gniewny wyraz. – To ty zawsze byłeś samotnym wilkiem, groziłeś, że zostawisz grupę, żeby walczyć w pojedynkę. Dlaczego dotychczas tego nie zrobiłeś? Dlaczego zostałeś, chociaż wyglądało na to, że cię tylko wstrzymywaliśmy?

„Mary – odpowiedział mu w myślach León. – Zostałem z powodu Mary i samotności, której nie mogę już znieść, odkąd znalazłem się w grupie”.

– To przecież wszystko jedno dlaczego. Zostałem i już.

– Mary! To ona jest powodem, prawda?

Misza patrzył na niego wyzywająco.

– Co to ma teraz do rzeczy?! – warknął León.

– Możesz to spokojnie przyznać – stwierdził Misza.

Intensywność, z jaką wpatrywał się w niego Misza przy tym niewinnym pytaniu, zaskoczyła Leóna.

Coś mu się nie podobało w spojrzeniu rozmówcy.

– Chcesz być przy niej?

– Nie jestem przy nikim. Co to za durna pytanina?

– Będzie nas coraz mniej, walka o bramy będzie coraz bardziej zajadła. I chcesz mi wmówić, że nie jesteś po niczyjej stronie?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Założmy, że znajdziemy resztę grupy i wszyscy dotrzemy do bram. Co wtedy zrobimy?

– Będziemy musieli losować.

León przeczuwał, dokąd zmierza Misza. Czy gdyby to głośno przyznał i ułatwił atak, nie osłabiłby swojej pozycji?

Misza się roześmiał. Jego oczy błyszczały.

– Nawet gdybyśmy losowali, myślisz, że Jeb zostawi Jennę albo odwrotnie? – Misza energicznie pokręcił głową. – Na początku było nas siedmioro i szansa, że wyciągniemy zły los, była niewielka. Los innych nas nie obchodził. Teraz jest inaczej.

León chciał się przeciwstawić, ale Misza podniósł rękę.

– Wiesz, co się wydarzy, i ja też to wiem. Nie wiem, czy jest coś między tobą a Mary. W poprzednim świecie ryzykowałeś życie, żeby ją ratować. Co z tego wynika dla mnie? – Pochylił się do przodu, aż czubek jego nosa znalazł się tuż przed twarzą Leóna. – Dostanę uczciwą szansę czy stanę za każdym razem naprzeciwko dwóch par? – Misza z powrotem się wyprostował. – Zrozum mnie, Leónie, chcę wiedzieć, na czym stoje.

León uważnie na niego popatrzył.

– Rozumiem cię, ale między mną a Mary nic nie ma.

– I mam ci uwierzyć?

Teraz León się pochylił.

– Możesz wierzyć lub nie, wszystko mi jedno.

Nie miał już ochoty na dalsze pytania Miszy, na jego świdrujące spojrzenie. W innym życiu pewnie by go po prostu tak zostawił. Albo spuścił mu manto. Umiał przemawiać ciałem. Słowa nigdy nie były jego ulubionym środkiem obrony. Zdawało mu się, że za pytaniami Miszy coś się kryje, ale nie umiał złożyć tego w całość.

León czuł się w obecności Miszy coraz bardziej nieswojo. Ale Misza był niezbędny, żeby się stąd wydostać. Teraz to się liczyło. Wydawało mu się natomiast, że Miszy niespecjalnie zależy na tym, by znaleźć resztę grupy. León wątpił w to, że Mary, Jeb albo Jenna posiadali podobne do Miszy umiejętności. To oznaczało, że byli zależni od niego, czy tego chcieli, czy nie.

„Może być jeszcze całkiem gorąco” – pomyślał.

León spojrzął na swojego towarzysza. Misza próbował rozwiązać kolejną matematyczną zagadkę na ścianie. Nagle przyszło mu do głowy, że Misza już nie mówi o swoich uszkodzonych żebrach. Czyżby uraz się wygoił? Czy tylko zaciska zęby?

Wpatrywał się w Miszę, który spokojnie i z opanowaniem przesuwiał dłoń po liczbach, jakby ich kłótnia w ogóle się nie zdarzyła.

– Powiedz mi, Misza – zaczął bardzo spokojnie – jak jest z twoimi żebrami? Jeszcze bolą?

Misza z początku nie zareagował. Potem odwrócił się, a na jego twarzy błąkał się wyraz konsternacji.

– Nic – odpowiedział po chwili i pokazał, że może wykonać krążenie ramieniem. – Wszystko w porządku. Dziwne, w ogóle o tym nie myślę. Chyba wszystko się już wygoiło. Może nie było aż tak źle.

„Och, owszem, było – pomyślał León. – Jedno albo dwa z twoich żeber były co najmniej mocno stłuczone, a teraz twierdzisz, że już nie czujesz bólu?”

– No to dobrze – mruknął León.

W ścianie, przed którą stał Misza, pojawiły się drzwi. Przeszedł przez nie bez wahania, a León podążył za nim.

Jenna obmacywała wyskrobane litery. Wciąż od nowa. Jak to możliwe? Czy Kathy udało się wejść do następnego świata? Czy były jeszcze inne drogi albo inne bramy?

»Kathy tu była« – pomyślała. – Czy to było przesłanie dla grupy? Chciała ich nastraszyć, zagrozić im?».

Nie można było niczego wykluczyć. Nikt z nich dokładnie nie wiedział, co się stało z Kathy po tym, jak wykluczyli ją z grupy. Nie wiedzieli, czy Kathy żyła. Czy to możliwe, że Kathy wróciła? Bez pokonania bramy nie było tutaj drogi, tak przynajmniej wynikało z tajemniczej informacji z przesłania odczytanego przez Jeba. A co, jeśli wszystko zaczynało się od początku? Czy Tian też był wśród nich?

Czy przesłanie Jeba mogło być kłamstwem?

Gdyby Kathy wróciła, to mieliby problem. Jakie miała zamiary?

Kathy była zdolna do wszystkiego.

„Kathy tu była” – krążyła myśl w głowie Jenny.

Tu *była*. Czy to oznaczało, że Kathy była uwięziona w tym labiryncie przed nimi? To przecież niemożliwe!

„Może ktoś wydrapał to przesłanie na ścianie, żeby napędzić mi strachu” – zastanawiała się Jenna.

Ta myśl trochę ją uspokoiła.

„To tylko litery – powtarzała sobie. – Tylko litery”.

Westchnęła, rzuciła ostatnie spojrzenie na nieszczęsne przesłanie i poszła dalej. Przed nią biegł korytarz z pozorów bez końca. Myśli Jenny poszybowały do przeszłości. Przy równomiernym rytmie kroków i monotonii białych ścian łatwiej było dać się im ponieść.

„Naprawdę chce to pani zrobić?” – pytał jakiś głos należący do mężczyzny, którego twarz była rozmyta.

„Tak” – odpowiedziała zachrypniętym głosem.

„Czy poinformowano panią o ryzyku?”.

„Podpisałam dokument, w którym zapewniam, że zostałam wyczerpująco poinformowana o wszelkim możliwym ryzyku i że ten eksperyment wykonywany jest na moje życzenie”.

„Eksperyment? To pojęcie nie jest adekwatne do sytuacji nawet w najmniejszym stopniu. Na to, co ma pani zamiar zrobić, nigdy przedtem nie odważył się żaden człowiek, a ja wątpię w to, że nie będzie ono miało skutków”.

Jenna milczała.

„Jest bardzo prawdopodobne, że wyjdzie pani z tego z nieodwracalnym uszczerbkiem na zdrowiu. To wszystko to nieznany teren, musi pani to wiedzieć”.

„Wiem”.

„Dobrze, jest więc pani gotowa? – zapytał ten cień. – Dam pani zastrzyk uspokajający. Będzie pani tylko mgliście dostrzegać, jak panią przygotowujemy. Później zrobimy pani infuzję, która panią we wszystko zaopatrzy. A potem się zacznie”.

„Czy będę przytomna, kiedy włączycie te aparaty?”.

„Nie. Będzie pani głęboko i mocno spać”.

„Czyli żadnego bólu”.

„W założeniu nie, ale jak mówiłem... – Wzruszył ramionami. – Również my wchodzimy na nieznany teren. A gdy wszystko dobrze pójdzie... sprowadzimy panią z powrotem – dokończył zdanie. – Jest pani gotowa?”

„Tak”.

To słowo było ostatnim, jakie Jenna sobie przypominała. Choć scena wyraźnie się przed nią pojawiła, nie potrafiła sobie wyjaśnić, co miała oznaczać ta rozmowa.

„Co ja zrobiłam?” – myślała.

Była mowa o jakimś eksperymencie, aparatach, ryzyku i o tym, że odważyła się na coś, czego nie zrobił nikt przed nią.

Ale co to było?

Czy była chora? A może zahipnotyzowana? Brała udział w jakimś eksperymencie? Dobrowolnie? Ale po co? Co miało zostać zbadane? Została wybrana, a jeśli tak – to przez kogo?

Nie, to nawet w jej myślach brzmiało zbyt absurdalnie. To było niemożliwe. Nie naraziłaby się na takie niebezpieczeństwo, gdyby o tym wiedziała. Po co to wszystko? To czyste samobójstwo, nie mówiąc już o nieprzewidywalnych skutkach.

W przesłaniu, które znalazł Jeb, nie było o tym mowy. I co to miało wspólnego z Miszą, Jebem, Tianem, Leónem, Kathy i Mary? Gdzie było wyjaśnienie tego tak zwanego labiryntu, jak się go określało w przesłaniu Jeba?

Nie, nie, nie. Za całą sprawą kryło się coś innego. Ktoś lub coś postawił ich w takim położeniu i teraz przypatrywał się, jak walczą o życie.

Jenna była tak zatopiona w myślach, że potknęła się o własne stopy, gdy odkryła przed sobą na podłodze ciemny przedmiot. Ze strachu, że go nadeptnie, niezgrabnie odskoczyła na bok i oparła się o ścianę. Dopiero potem mogła go spokojnie obejrzeć.

To był kawałek materiału.

Podniosła go i obejrzała. Wzór na nim wydawał się znajomy. Końce materiału były związane. Zsupła wystawały krótkie rogi.

Jenna gapiła się na zwisające luźne nitki. Materiał nie był odcięty nożyczkami, ktoś go od czegoś oddarł. I był przesiąknięty krwią. Rozpoznała, że to wzór z jednej z koszul, które nosiła ona i reszta grupy.

Zaparło jej dech.

Ten kawałek materiału, który trzyma w ręku, był opaską własnej roboty. Kathy zrobiła ją dla Tiana, żeby nie słyszał tak bardzo głosów tych, którzy ich ścigali.

„Jak ta opaska tu się znalazła?”

Jenna wyprostowała się, spojrzała w obydwu kierunkach, ale nikogo nie było widać.

„Kathy, czy ty tu jesteś?”

Jeb, zataczając się, szedł korytarzami, które się przed nim otwierały. Gdy ściany znikły, przez chwilę poczuł się lepiej i łatwiej chwycił powietrze. Był tak słaby, że przez jakiś czas posuwał się naprzód na czworaka. Szybko zorientował się, że daleko tak nie zajdzie. W którymś momencie znów wyrosły wokół niego ściany i utworzyły korytarz, którym podążał bez orientacji.

Miał pustkę w głowie. Wszelkie myśli były tylko dalekim echem jego lęków. Niepokój przychodził falami i choć był ich świadomy, nie mógł się im przeciwstawić. Jego wytrzymałość została złamana. Jeb bezsilnie poddawał się lękowi.

Przez większość czasu miał zamknięte oczy, szedł jak ślepiec, macając ściany. Wiedział,

że koniecznie musi do czegoś dojść, ale nie miał najbledszego pojęcia, co by to miało być ani gdzie. Próbował przypomnieć sobie, co się zdarzyło, ale czuł tylko pełen tęsknoty ucisk w piersi. Musiał się o coś zatroszczyć, bo był ktoś, o kogo się martwił. Przestał o tym myśleć, gdy znów wszystko się w nim skurczyło i przeżywał kolejny paraliżujący napad lęku. Zimny pot wystąpił mu na czoło, dłonie były wilgotne i drżały. Jeb, dysząc, czekał, aż ten lęk z całą swoją nużącą mocą się przez niego przewali.

Porzucił wszelkie nadzieje. Coś jednak pchało go do przodu. Tylko dalej. Nogi niosły go naprzód, chociaż im tego nie nakazywał.

Jeb nie wiedział, jak szybko mijał czas. I czy w ogóle było jeszcze coś takiego jak czas. Czuł, że może tak iść wiecznie, nie wiedząc, co tu robi, gdy nagle w korytarzu przed nim się ściemniło. Poczł zmianę mimo zamkniętych powiek i zatrzymał się na drżących nogach. Otworzył oczy, ale miał przed sobą rozmazany obraz. Zauważył, że po jego prawej stronie coś się zmieniło. Odwrócił się w tamtą stronę.

Część ściany się cofnęła, odsłaniając szklaną tafłę, słabo oświetloną ze znajdującego się za nią pomieszczenia.

Jeb zatoczył się w kierunku światła i boleśnie uderzył głową w szybę. Ból odrzucił go do tyłu i jednocześnie obudził z zamroczenia. Pierwszy raz od wielu godzin Jeb dostrzegał swoje położenie.

Powoli docierała do niego świadomość, gdzie się znajdował i jak tutaj trafił.

„Jenna” – powiedział w myślach.

Jedno słowo. Jedno imię. Potem powstała z niego twarz. Twarz Jenny. I jej uśmiech.

„Gdzie jesteś?”

Jego myśli po kolei porządkowały się i przypominał sobie to, co się działo od niewyjaśnionego przebudzenia w pierwszym świecie.

Jenna, Misza, León, Mary. Tian nie żyje. Kathy nie żyje.

Bramy.

Znowu myślał. Poczł ulgę. Znał i lubił tego Jeba, który prowadził grupę przez otchłanie pierwszych światów.

Jego uwagę zwrócił ruch za szklaną szybą. Światło w pomieszczeniu stało się jaśniejsze i Jeb coś dostrzegł.

Jego umysł z trudem składał w całość obraz przed oczami.

Jakiś pokój. Białe ściany. Stół i dwa krzesła. Szafka nocna obok łóżka na kółkach. Wszystko białe.

„To sala szpitalna” – pomyślał.

Jakiś mężczyzna siedział na brzegu łóżka, trzymał za rękę jakąś kobietę, wypowiadał słowa, które nie przenikały przez szybę.

Twarz tej kobiety wymęczona. Wycieńczona chorobą.

Czarne włosy leżały na poduszce. Ciało, kiedyś jak z brązu, teraz stało się bladożółte. Oczy były pełne bólu.

Mama?

Jeb wykrzyczał to słowo: – Mama!

Walił pięścią w szybę, ale obydwie postacie w sali go nie zauważały.

Gdy Jeb przestał, dostrzegł, kto siedział na łóżku umierającej matki. Ojciec!

To była ta część jego wcześniejszego życia, o której przypominał sobie już w pierwszym świecie i o której opowiadał Jennie. To, co widział, było jednoznaczne. To ostatnie chwile życia jego matki, tuż po tym, jak wybiegł z tej sali, bo nie mógł znieść jej cierpienia.

Jeb oparł dłonie na szybie. Spuścił głowę, przyłożył czoło do zimnego szkła. Łzy toczyły mu się po twarzy, były słone. Był tu, ale matka go nie widziała.

Jeb patrzył, jak ojciec się pochylił, łagodnie pogładził twarz umierającej. Coś powiedział i Jeb mógł to odczytać z ruchu warg. „Kocham cię. Nie bój się. Jestem przy tobie”.

Matka odpowiedziała: „Ja też cię kocham”.

Potem jedno słowo: „Jeb”.

„Jestem tu – chciał krzyknąć Jeb. – Spójrz tu, mamó. Jestem przy tobie”.

Ale jego usta się nie poruszyły.

Ojciec odpowiedział coś, czego Jeb nie zrozumiał, ale jego słowa chyba uspokoiły matkę.

„Już pora – odczytał z jej warg. – Muszę iść”.

Ojciec jeszcze raz się pochylił i Jeb widział, że płakał bez oporów. Obydwoma rękami objął twarz swojej żony i pocałował ją ostatni raz. Na ustach matki pojawił się uśmiech, potem jej rysy zmiękły i całe napięcie ulotniło się z ciała.

Jeb obserwował, jak ojciec zamyka jej oczy, składa dłonie, a potem kładzie głowę na piersi zmarłej.

Cały drżał. Jebowi wydawało się, że słyszy szloch. Bez sił opadł na podłogę.

„Również ciebie zostawiłem samego – pomyślał. – Proszę, wybacz mi”.

Czuł się nędznie. Jedyne wspomnienie wcześniejszego życia, które mu zostało, bardzo go zasmucało.

Był rozczarowany. Przede wszystkim sobą.

„To wszystko jest bez sensu – pomyślał. – O co walczę?”.

Matka nie żyła. Nie wsparł ojca w tym momencie. Gdyby kiedykolwiek miał wrócić do swojego świata, niczego by tam nie było. Nikogo, kto by na niego czekał. Może słusznie znalazł się tutaj. Może to była pokuta za to, że zawiódł. Jeśli tak, to chciał skosztować tej goryczy aż do ostatniej kropli.

„Już nie będę walczył” – postanowił.

Ta decyzja natychmiast go uspokoiła. Drżenie ciała ustąpiło.

„Nie będę już walczył” – powtórzył w duchu.

Ta myśl pozwoliła, by zapanowało w nim coś na kształt spokoju. Pierwszy raz od całej wieczności był znów panem swojego ciała i swoich myśli.

„Jenna? – zadał sobie pytanie. – Co z tobą będzie?”.

Oczy mu się zamknęły. Odpowiedź była jak kamień, który się wrzuca do stawu. Na wodzie rozchodzą się coraz większe kręgi.

„Zasłużyła na coś lepszego” – pomyślał.

Jeszcze zanim ta myśl zamieniła się w pewność, duch Jeba uleciał. Tam, gdzie nie ma bólu.

Aha – mruknął triumfalnie Misza, kiedy stał przed następną ścianą, a jego wzrok przelatywał po liczbach. – Coś nowego. To liczby palindromiczne. Wiesz, co to jest?

León się skrzywił. Mądrzenie się Miszy już od jakiegoś czasu działało mu na nerwy. W każdym z wielu pomieszczeń, przez które przeszli, musiał wysłuchiwać wykładu o genialności zadań matematycznych. I po cichu współbrzmiał w nich oczywiście hymn pochwalny dla geniuszu tego, kto potrafił je rozwiązać. Do wyrzygania.

Dowiedział się, że suma kwadratów dwóch sąsiednich liczb z ciągu Fibonacciego zawsze bez wyjątku była liczbą z tego ciągu. Miały z tym coś wspólnego liczby pierwsze. Misza mówił coś o złotej liczbie i o jakimś przybliżeniu czegoś z dokładnością. León nie rozumiał ani słowa i było mu to zupełnie obojętne. Dla niego liczyło się jedynie to, że Misza był w stanie otwierać niewidzialne drzwi. Nic poza tym go nie interesowało. Niczego więcej nie potrzebował.

– Wiesz, co to jest? – zapytał Misza.

– Co?

– Co to są liczby palindromiczne?

– Nie. I nie chcę wiedzieć.

Ale Misza, niezrażony, kontynuował swój wykład: – Liczby palindromiczne to liczby naturalne, które odczytywane od przodu i od tyłu mają taką samą wartość. Na przykład 421124 od... *Mierda!*

Mierda! León najchętniej zatkałby sobie uszy albo jeszcze lepiej, pokazał Miszy, jak można skłonić kogoś, by zamknął przekłętą jadaczkę. Nawet jeśli bardzo nie chciał tego przyznać, potrzebował jednak Miszy. Przynajmniej na razie. Lepiej nie psuć mu humoru i nie podnosić na niego ręki.

León musiał się przemóc, ale sobie z tym poradził. Zrobił głęboki wdech, a potem się wyłączył.

Błądził wzrokiem po pokoju. A wszystkie pokoje wyglądały tak samo. Bez wyjątku.

„Pić mi się chce, z głodu mam dziurę w brzuchu, a na karku tego oszalałego *hombre de los nombres* – León musiał się uśmiechnąć. – Ten *nombrero* prawdopodobnie nie potrzebuje niczego do szczęścia, bo tak jest szczęśliwy ze swoimi liczbami”.

Kiedy León wymyślał kolejne idiotyczne przezwiska dla Miszy, żeby tylko nie myśleć o jedzeniu i burczącym żołądku, coś się zmieniło na ścianie naprzeciwko niego. Pojawiła się nowa liczba.

W odróżnieniu od innych nie poruszała się, stała nieruchomo pośrodku ściany. Liczba była podzielona dwukropkiem i nagle zaczęła migać. Potem się zmieniła.

19:23

19:22

– Misza! – zawołał León przez ramię.

– Nie przeszkadzaj mi, tym razem rzecz jest skomplikowana – odpowiedział matematyk, nie odwracając się. – Jeśli się...

– Powinieneś na to spojrzeć – przerwał mu León, patrząc cały czas na liczbę przed sobą.

– Na co? – Misza sprawiał wrażenie podenerwowanego, mimo to się odwrócił. Wydawało

się, że wystarczyło mu jedno spojrzenie, bo nawet szybciej niż po sekundzie rzucił spokojnie: – Ach, to licznik.

Prawdopodobnie pokazuje czas, który nam pozostał, by znaleźć bramy. Dziewiętnaście godzin i dwadzieścia dwie minuty.

– Wiedziałaś o tym? – zapytał speszony León. – I nic mi nie powiedziałaś?

– Zapomniałem.

– Zapomniałaś?! Cholera, jaki ty jesteś głupi! Tu nie chodzi o twoje porypane zagadki liczbowe, lecz o to, że zostało nam mniej niż dwadzieścia godzin, żeby znaleźć grupę i bramy. Nie wiemy, ani gdzie są Mary, Jenna i Jeb, ani gdzie znajdują się bramy. Nie ma żadnej zasranej gwiazdy, która nas prowadzi, nie znaleźliśmy nic za tymi drzwiami, które otwierasz jedne po drugich, a ty udajesz takiego spokojnego?! – León zauważył, jak rośnie w nim tłumiona złość.

– Uspokój się, mamy dość czasu.

– A skąd to wiesz, profesorku?

– Czuję to. – Misza, patrząc na niego, wzruszył ramionami.

Ten drobny gest sprawił, że León niemal wyszedł z siebie. Z trudem odpowiedział z pozorów spokojnie: – Aha, tak *czujesz*. – Nie potrafił sobie jednak darować pogardliwego tonu.

– Tak. Rozwiążę te zagadki liczbowe i wyciągnę nas stąd.

– A ja pytam: a co, jeśli twoje genialne zagadki prowadzą nas donikąd? Albo jeśli w którymś momencie nie będziesz dość dobry. Co wtedy, ha? Pomyślałaś o tym, profesorku?

– To się nie zdarzy.

– Potrafisz też zobaczyć przyszłość? Podszepnęły ci to twoje liczby czy co? – León taksował go wzrokiem. – A może przemilczasz przede mną coś jeszcze, co powinienem wiedzieć?

Twarz Miszy skamieniała.

– Niczego przed tobą nie przemilczałem, ja...

– Tak, ty tylko *zapomniałaś* – niegrzecznie przerwał mu León. – Zatem co jeszcze wiesz, czego ja nie wiem?

– Nic.

León zauważył wyzywające spojrzenie Miszy.

– I jesteś tego pewny? I niczego też nie *zapomniałaś*?

– Pocałuj mnie gdzieś! – odszczeknęła się Misza.

W rozwścieczonym do czerwoności Leónie aż się zagotowało. Nagle wyciągnął dłoń, chwycił Miszę za kołnierz koszuli i przyciągnął do siebie.

– Co powiedziałaś?! – wyszczał.

– Przecież mnie słyszałaś. – Misza wysunął brodę, rozciągając wargi w wąską kreskę. – Ja przynajmniej coś robię. Cóż ty robisz takiego, żeby stąd wyjść, co?

To zmniejszyło napięcie. León się uśmiechnął.

– Masz rację. To nie powinno się więcej zdarzyć.

– To mnie puść.

León pogładził koszulę Miszy, jakby chciał strzepnąć nitki z materiału.

– Proszę, możesz liczyć dalej.

Misza bez słowa obciągnęła koszulę, a potem podszedł z powrotem do ściany z liczbami.

„Teraz jest jeszcze urażony” – pomyślał.

León postanowił sobie, że przy okazji przeprosi Miszę. Gdy się stąd wydostaną. Albo

przed bramami, jeśli do nich dotrą. Ale nie teraz.

Misza tymczasem chodził przy ścianie i dotykał palcem liczb.

Pojawiły się drzwi.

– Możemy iść.

W momencie gdy chcieli opuścić pomieszczenie, zabrzmiał dźwięk, który był Leónowi aż za dobrze znany. Ściany zaczęły świecić na czerwono.

León chciał wytłumaczyć Miszy, co się dzieje, ale on jednym susem odskoczył do tyłu i wpadł na Leóna. Twarz Miszy zmieniła się w zastygłą maskę, zaczął z szeroko otwartymi oczami chwytać powietrze i dyszeć.

– Co się dzieje, Misza? – zapytał zaniepokojony León.

– Nadchodzą... Chcą mnie zabić...

– Misza. Tu nie ma nikogo. Ściany opadają, przedtem był sygnał, to wszystko. Nie ma żadnego zagrożenia.

– Widzę ich! – wrzeszczał Misza.

León szybko się odwrócił. Nikogo nie było. Ściany powoli i bezgłośnie zapadały się w podłogę.

Misza *nie mógł* niczego widzieć, bo przed nimi była tylko rozległa pustka.

– Tam *niczego* nie ma!

– Oni chcą mojego ojca... jest w samochodzie... kierowca mówi mi, że mam się położyć na podłodze...

León skoczył do przodu, chwycił Miszę za ramiona i potrząsnął nim.

– Misza, *compañero*. Przysięgam ci, że tu nikogo nie ma. Jesteśmy sami. Ten sygnał nie oznacza zagrożenia.

Ale Misza go nie słuchał, tylko wpatrywał się nad jego ramieniem w rozciągającą się przed nimi pustkę.

– ...ja... podchodzą do mnie. Mężczyźni w czarnych maskach. Mają broń maszynową... widzę, jak kule trafiają w przednią szybę... nie dosięgają mnie... ale ten hałas. Wszyscy wrzeszczą... dwóch ochroniarzy na zewnątrz, zaraz ich zastrzelą... cisza... pojedynczy mężczyzna podchodzi do pojazdu. Coś trzyma w ręku... Zdejmuje maskę... Uśmiecha się do mnie i wiem, że teraz umrę. Potem wybuch... wszystko czerwienieje...

Nagle Misza upadł. To stało się tak szybko, że León nie mógł temu zapobiec. Misza twardo uderzył potylicą o podłogę.

„*Mierda!* Cholera, jasna cholera!” – zaklął pod nosem.

León ukląkł obok nieprzytomnego chłopaka. Oczy Miszy były otwarte, ale nie reagowały. León przyłożył palce do tętnicy szyjnej i w zdenerwowaniu nie wyczuł pulsu. Pochylił się do warg Miszy i wsłuchiwał się, czy ten oddycha.

Oddychał, wprawdzie słabo, ale żył. León wyprostował się i jeszcze jedno przekleństwo opuściło jego usta. Nie było jednak nikogo, kto usłyszałby jego rozpacz. Jedyne człowiek, który był w stanie otwierać te zagadkowe drzwi, leżał teraz nieprzytomny na podłodze.

León musiał znaleźć inną drogę wyjścia. Wmawiał sobie, że musi się uspokoić, żeby odzyskać jasność umysłu, i wtedy poczuł coś ciepłego na dłoni, na której opierał się obok Miszy. Dłoń była czerwona od krwi.

Przestraszony patrzył, jak wokół głowy Miszy rozlewa się krew. Wyływała i tworzyła małe czerwone jezioro na nieskalanej białej podłodze.

Wołanie brata, które cały czas prowadziło Mary, umilkło. Dziewczyna stała bezradnie przed

kolejnym rozgałęzieniem korytarza. Co teraz zrobić? W którą stronę pójść? Na lewo czy w prawo?

Nasłuchiwała z wysiłkiem. Nic, żadnego dźwięku.

– David?! – zawołała. Potem jeszcze raz: – David?!

Mary przyłożyła prawą dłoń za uchem. Starła się oddychać płytko i cicho.

– Gdzie jesteś? Powiedz coś!

Żadnego dźwięku. Pierwszy raz dostrzegła swoje położenie. Dotychczas jak we śnie, potykając się, szła korytarzem w poszukiwaniu brata, ale teraz kręciła się speszona w obie strony.

„To musi być nowy świat – pomyślała. – León uratował mnie w lodowym świecie, potem przeszliśmy przez bramy i... gdzie ja jestem?”

Obmacała jasne ściany i podłogę. Wszystko było tak inne niż poprzedni świat, który składał się z ruin, gruzu i popiołu.

„Gdzie oni są? Gdzie jest León?” – zastanawiała się.

Myśl o wytatuowanym chłopaku zakłuła ją w sercu. Oczywiście, że tęskniła za wszystkimi, ale jej myśli były przy Leónie.

„Dlaczego myślenie o nim boli? – rozważała. – Przecież go nie znoszę”.

Pomyślała o jego szerokim uśmiechu, żywych brązowych oczach, o chwilach, w których był blisko.

O jego pocałunku o świecie na pokrytej śniegiem ulicy. Zupełnie niespodziewanym. Ten pocałunek miał ją rozgniewać, zagrzać do walki. I zadziałał. Wymierzyła mu policzek, ale León tylko się uśmiechnął. Wtedy czuła wyłącznie wściekłość, ale teraz bezwiednie położyła palce na wargach. Tam pozostał, bardzo blisko. Teraz była sama w obcym miejscu.

Mary spojrzała jeszcze raz w dół i w górę korytarza. Wszystko tu było takie surowe, zimne i bez życia.

Gdzie była gwiazda, która miała ich prowadzić? Gdzie bramy? Czy kiedykolwiek się stąd wydostanie, czy umrze tu samotna i opuszczona?

„Po czym mam rozpoznać, jak płynie czas i ile jeszcze mi go zostało?” – pomyślała.

Rosła w niej rozpacz, ale odsunęła to uczucie na bok.

„Wszystko, co było dotychczas, przetrwałam. Jestem silna, wytrzymam i tutaj” – postanowiła.

Nie wiedziała, skąd przysłała ta wewnętrzna siła, może na myśl o Leónie. Był gdzieś w tym labiryncie.

Znajdzie go i razem opuszczą ten świat.

Była czujna i stała teraz na drżących nogach w długim korytarzu, który rozjaśniało jakieś niewidoczne źródło światła. Rozejrzała się, ale nie było widać nikogo z reszty grupy, ani śladu człowieka.

Jak się tu dostała?

„Musiałam umrzeć” – pomyślała.

Dobrze pamiętała ostatnie świadome chwile. Byli tam mężczyźni, którzy ją gonili. Ścigali ją aż na dach wielopiętrowego domu. Gdy nie było innego wyjścia, rzuciła się w otchłań. Już się nie bała.

Upadek wydawał się trwać bez końca. Uderzenia nie czuła.

„Czy jestem w niebie?” – zastanawiała się.

Zagryzła wargę i jęknęła. Nie, nie mogła być martwa, a to nie było niebo. To tylko

kolejny z tych zasranych światów, do których ją zagnało.

„Nie skorzystałam z bramy – przypomniała sobie. – Jak więc się tu dostałam? Nie mogę tu być”.

– Jeb! Jenna! – zawołała głośno. – Misza, Mary, León?

Nasłuchiwała.

– Słyszysz mnie ktoś?

Żadnej odpowiedzi. Co teraz zrobić? Szukać bramy na własną rękę? Bez gwiazdy jako punktu orientacyjnego, w zamkniętych pomieszczeniach nie miała praktycznie żadnej szansy. A jeśli to było wyzwanie? Uwielbiała wyzwania, bo miała ducha zwycięzcy.

„Gdzie zatem prowadzą te przeklęte korytarze?” – zaczęła się zastanawiać.

Nagle zauważyła, że trzyma coś w ręku.

Duży, umazany krwią nóż. Ten, którym w poprzednim świecie zabiła jednego z prześladowców.

Upuściła go przestraszona. Brzęk zabrzmiał nieskończenie głośno w cichym korytarzu.

„Zostawiłam ten nóż na dachu – przypomniała sobie. – Dlaczego teraz jest tutaj?”.

Spojrzała na podłogę, zobaczyła krew zaschniętą na ostrzu i się cofnęła. Nie, więcej go nie użyje. Była zdana tylko na siebie i nikogo nie potrzebowała. Była gotowa, cokolwiek na nią czekało. Albo dotrze do bram przed nimi, albo będzie z Jenną, Jebem, Miszą, Leónem i Mary ciągnąć o nie los. Tym razem chciała dostać uczciwą szansę.

„Albo umrę” – pomyślała.

Jeszcze trochę niepewnie Kathy zrobiła pierwsze kroki. Podążała korytarzem, który wiódł prościutko w bladą ciemność. Nie zdołała rozpoznać, co było za nią. Miała nadzieję, że nie czeka jej tam nic strasznego.

Czas ciągnął się bez końca. Na podstawie przebytej drogi nie mogła ustalić, jak daleko zaszła ani czy w ogóle szła we właściwym kierunku, który gdzieś ją zaprowadzi. W końcu natknęła się na rozgałęzienie.

Miała teraz dwie możliwości, w lewo albo w prawo. Kathy krzyknęła w obydwa korytarze. Nikt nie odpowiedział.

Który korytarz był właściwy? Czy w ogóle było coś właściwego albo niewłaściwego? Może wszystkie drogi prowadziły do celu?

Nie, w to Kathy nie wierzyła. Przed nią były nagie białe ściany, gładka biała podłoga. Nigdzie wskazówek ani znaków. Żadnych przedmiotów, które mogłyby pomóc, i żadnych ludzi.

Nie, nie, nie, Kathy czuła, była pewna, że to kolejna próba, tylko tym razem bez punktów orientacyjnych. Oddzielono ją od grupy. Była głodna, spragniona i wciąż miała na sobie rzeczy z lodowego świata. Żadnego punktu zaczepienia, jeśli chodzi o czas, który jej pozostał.

„Dokąd więc teraz? – zastanawiała się. – W lewo czy w prawo?”.

Czyż ktoś nie powiedział, że kiedy się człowiek zgubi i natknie na rozdroże, powinien zawsze wybierać drogę w prawo. Prawdopodobieństwo, że się znów odnajdzie, było największe.

„Kto mi to opowiadał?” – próbowała sobie przypomnieć.

Nie ustaliła tego, ale rada brzmiała logicznie, bo jeśli na każdym rozdrożu będzie zmieniała kierunek, to prawdopodobieństwo, że się zgubi, jest duże.

„A zatem w prawo”.

Zmęczonym krokiem Mary podążała korytarzem, w którym już od dłuższego czasu nie słyszała głosu brata. Nagle zatrzymała się i wpatrzyła w podłogę.

Leżał tam nóż.

Wyglądał groźnie. Ostrze połyskiwało w świetle. Od razu go rozpoznała.

„Nóż Kathy. Uwolniła mnie nim”.

Mary podniosła nóż i go obejrzała. Leżał w jej dłoni ciężki i zimny. Widziała zaschnięte ślady krwi na ostrzu. Przeleciał jej po plecach dreszcz. Dla obecności tego noża tu, w tym miejscu, było tylko jedno wyjaśnienie.

Kathy wróciła. Jakoś przeżyła. Walka o bramy znów się zaczęła. Dla Kathy było najbardziej oczywiste, że ona, Mary, była najstarsza z grupy.

„Dlaczego zatem w ostatnim świecie mnie uratowała?” – zastanawiała się.

To wciąż pozostawało zagadką, a Kathy była jak wiatr, który zawsze mógł się odwrócić. Któż wiedział, co się działo w jej głowie? Gdy tylko Mary o niej pomyślała, od razu poczuła na szyi wspomnienie duszenia, które jej zafundowała Kathy.

„Kathy jest szalona, znajdzie mnie i zabije. A tym razem nie ma tu nikogo, żeby mnie chronić” – pomyślała.

Te słowa wciąż odbijały się echem w jej myślach.

„Kathy mnie odnajdzie i zabije”.

Za każdym razem Mary była coraz bardziej przekonana o tym, że tak się musi stać. Nie było innej możliwości: Kathy ją znajdzie i zabije.

Mary przełknęła ślinę. Wszyscy uważali ją za słabą, jakby niczego nie mogła wytrzymać. Wiele już wycierpiała, więc da sobie radę i teraz. Mary zacisnęła zęby i chwyciła nóż.

„Tym razem jestem sama, ale za to uzbrojona. Pierwsza cię znajdzie. A potem zobaczysz, ty bestio”.

Mary się wyprostowała. Gdzieś w labiryncie była Kathy, jej wróg.

Polowanie mogło się zacząć w każdej chwili.

Gdy ściany zaczęły wysuwać się z podłogi, aby znów stworzyć wokół nich zamknięte pomieszczenie, León szybko przeniósł Miszę w bezpieczne miejsce.

Nie było czasu na szukanie grupy, najpierw musiał zatamować krew, która wciąż ciekła z głowy Miszy.

León przycisnął kawałek materiału z koszuli Miszy do rany na jego głowie. Miał nadzieję, że tak zatamuje krwawienie.

Siedział na gołej podłodze, a głowa Miszy spoczywała na jego kolanach. Oddech jasnowłosego chłopaka stawał się wyraźniejszy. Misza był bledszy niż kiedykolwiek. Oddychał spokojnie i miarowo, ale nie odzyskiwał przytomności.

León po cichu wołał go po imieniu, prosił, by się obudził, ale powieki chłopaka pozostawały nieruchome. Aby nie stracić odwagi, León podniósł głowę i patrzył na liczby, które nieustannie przemykały po ścianach, nie zdradzając mu, jak rozwiązać zagadkę.

„Dlaczego lepiej się nie przysłuchiwałem, gdy Misza to objaśniał?”

Oczywiście, wiedział, że te zagadki były dla niego nie do rozwiązania bez względu na to, ile razy Misza objaśniłby mu system. Nawet on potrzebował coraz więcej minut, żeby otwierać kolejne drzwi.

„Co teraz zrobię?” – zastanawiał się.

Pozostawało mu tylko czekać na jedną z dwóch możliwości: albo Misza się obudzi i ich stąd wydostanie, albo ściany znów znikną w podłodze, a on poniesie Miszę do bram albo do grupy.

Zostawienie tu Miszy nie wchodziło w rachubę. Jednego się ostatnio nauczył – więzi międzyludzkie były dla niego najważniejsze. Dopiero w ostateczności przebijały się sam, tak jak jeszcze przed kilkoma dniami oznajmił na stepie. Z grupy pozostał mu tylko Misza i León wiedział, że tak jak w gangu w grupie nigdy nie zostawia się kogoś w potrzebie.

Westchnął. Tak czy owak ich szanse się skurczyły. Być może na nic innego nie zasłużył. Może zasłużył na to, co go spotkało? León nabrał przekonania, że to była kara. Wszystko, co się tu działo, było pokutą za śmierć chłopaka, którego zastrzelił.

W innym życiu, w innym czasie.

Pojawiły się obrazy. Zniekształcone. Niewyraźne, ale widział je przed sobą.

A potem już tam był.

Czuł wibrujący nad asfaltem upał, który tak naprawdę nigdy nie mijał. Zapach ulicy. Smoła, benzyna, odpadki i uryna. Zapach biedy. Zapach domu.

„Dlaczego czuję się coraz bardziej zmęczony?” – zastanawiał się.

León spojrzał w dół. Jego dłonie spoczywały na piersi Miszy, nie miał nawet siły, żeby go podtrzymać.

„Co się ze mną dzieje? – dziwił się. – To nie tylko wyczerpanie. To jest...”

Oczy mu się zamknęły.

Po chwili szeroko je otworzył.

W którymś momencie już nie był w stanie się przed tym bronić. Po co ma tracić siły, żeby się temu przeciwstawiać? Tylko na chwilę zamknie oczy, a gdy ściany znów będą znikać w podłodze, alarm i tak go obudzi. O ile oczywiście ściany jeszcze raz znikną. O ile dostaną z

Miszą kolejną szansę, by dalej walczyć. Ale León przez jedną chwilę nie chciał już walczyć. Porzucił resztki oporu i zasnął.

Gdy Misza odzyskał przytomność, nie wiedział, co się stało i ile czasu minęło. Wyprostował się oszołomiony. W głowie boleśnie mu dudniło, kłuło tępo, jak po ciężkim upadku. Jeszcze zamroczony dostrzegł, że z jego piersi zsunęła się ręka Leóna. Misza odruchowo odwrócił głowę i natychmiast tego pożałował. Z bólu zrobiło mu się ciemno przed oczami. Kiedy się pozbierał, spojrzął na Leóna. Chłopak spał, a jego broda spoczywała na szerokiej piersi.

Rysy twarzy Leóna złagodniały, to sprawiało, że tatuaże wydawały się delikatniejsze i mniej groźne.

Misza długo siedział naprzeciwko Leóna i go obserwował. W jego wnętrzu rozprzestrzeniło się dobroczynne ciepło, mimo bólu czuł spokój. Gdy chciał przeczesać rękami włosy, odkrył prowizoryczny opatrunek. Z lękiem go obmacał i wyczuł na materiale zastygłą krew.

„Musiałem stracić przytomność i uderzyć się w tył głowy. Ale teraz wszystko wydaje się w porządku” – wywnioskował.

Misza ostrożnie zdjął opatrunek. Kraciasty materiał nasiąkł krwią, ale nie było już wilgotnych miejsc.

Jeszcze raz obmacał głowę. Zasnęta krew uniemożliwiała mu ocenę, jak duża jest rana.

Z wdzięcznością spojrzął na Leóna.

„To ty mnie opatrzyłeś. Z troszczyłeś się o mnie. Czujesz do mnie więcej, niż jesteś gotów przyznać”.

Misza ostrożnie pogładził policzek Leóna, tak by go nie obudzić. Jego skóra była szorstka, ale jednocześnie miękka i sprężysta. Pozwolił swoim palcom wędrować po tatuażach na szyi chłopaka.

Misza miał w głowie tak wiele obrazów Leóna. Przypominał sobie, jak León wstawał i się rozciągał.

Jak grały mięśnie pod jego skórą, pamiętał sprężystość podkradającego się drapieżnika, z jaką się poruszała. I dziki uśmiech. I uśmiezek, który emanował siłą i pokazywał światu, że on, León, każdemu wejdzie w drogę.

Misza widział go, jak siedzi w świetle ogniska, widział migotanie ognia na oliwkowej skórze. Cienie na jego twarzy, gdy podpalili step. Zdecydowany wyraz twarzy w lodowym mieście.

Miszy imponowała siła Leóna, jego zaciętość i z pozoru bezgraniczna wola przetrwania. Misza wiedział też, że czuje do Leóna jeszcze więcej.

Gdy sobie to uświadomił, twarz Miszy zapłonęła, a serce zaczęło bić jak oszalałe, jeszcze zanim zdążył swoje uczucia ubrać w słowa.

Jeszcze raz pogładził Leóna po twarzy, po gładko ogolonej głowie, jeszcze mocniej niż przed chwilą.

Nie odwracając wzroku od Leóna, pochylił się.

León śnił. Szedł z Mary nocą przez jakiś park. Popołudniowy upał ustąpił, a wiatr od morza przynosił przyjemną ochłodę. Letnia sukienka Mary poruszała się na wietrze jak skrzydła motyla. Czarne włosy powiewały, a jej oczy były tak wielkie i ciemne, że można się w nich

było zagubić.

León obserwował, jak pochyliła się w świetle latarni i coś podniosła. Z małym kwiatkiem, który zerwała, podeszła do niego. Wyciągnęła rękę.

– Dla ciebie – powiedziała cicho.

– Dla mnie? – zapytał i się uśmiechnął. – Czy dookoła nie powinno być inaczej, a ja nie powinienem zgrywać dżentelmena?

Roześmiała się.

– To prawda. Następnym razem będzie, jak trzeba. Mamy cały czas świata.

Skinął głową i uśmiechnął się do niej.

– Tak, mamy.

León nie potrafił sobie wyjaśnić, skąd wziął tę pewność. Ale tu i teraz wiedział: z Mary czas nie miał żadnego znaczenia. Ważne było tylko to, że byli razem.

Wziął do ręki pasemko jej włosów i się nim bawił. Jej włosy pachniały latem, swobodą, wolnością.

Wszystkim, za czym tęsknił.

Zamknęła oczy, uśmiechnęła się, jej usta były lekko otwarte.

Jego oddech chyba ją łaskotał, bo zachichotała. Potem wyszeptala: – Siła jest w nas, wiesz? Musimy ją tylko znaleźć.

León skinął głową, nie rozumiejąc, co miała na myśli. Bo jego spojrzenie zawisło na jej wargach, gdy formułowały zagadkowe słowa, które w tej chwili wydawały się mieć wiele sensu.

León zamknął oczy, a jego usta znalazły wargi Mary. Potem świat wokół niego zgubił się w jej pocałunku.

Nagle ta chwila minęła. Coś wszystko zniszczyło i León gwałtownie wrócił do siebie. Twarz Miszy była bardzo blisko, tuż przy jego twarzy. Najpierw nie rozumiał, ale potem uświadomił sobie, co się stało.

Z dzikim okrzykiem León odepchnął chłopaka.

Misza upadł do tyłu, ale zaraz znów był na nogach. León też skoczył na równe nogi, teraz zupełnie przytomny. Żaden sen nie był tak realny, żeby dało się posmakować ust. Przed oczami tańczyły mu czerwone światełka i wypełniała go wściekłość. Można ją było ugasić jedynie krwią. León bez słów rzucił się na Miszę. Jego pięść dosięgła go za pierwszym razem. Misza zatoczył się na ścianę, upadł i przez chwilę tam leżał.

W Leónie kipiowało. Ledwie czuł ból w pięści i wyginał palce, aż trzeszczało, kiedy Misza się prostował. Ranny i oszołomiony patrzył na Leóna. Z nosa leciała mu jasnoczerwona krew. Zrobił krok w kierunku Leóna.

– Nie podchodź do mnie za blisko! – warknął León.

Misza podniósł rękę, może dla uspokojenia, może by go znowu dotknąć. León z opuszczoną głową znów natarł na Miszę, ale ten odparował atak, odwracając się w bok i obejmując tułów Leóna. Niemalże zaskoczony tym, że Misza się broni, León próbował go odepchnąć. Misza nie powinien myśleć, że może go dotykać. Nikomu tego nie wolno, nikomu.

Ale teraz León nie miał żadnych szans. Próbował uwolnić się z chwytu Miszy. Obaj mocowali się w milczeniu, ale żaden nie zyskiwał przewagi. León zamachnął się głową. Z zaciśniętymi zębami wbił Miszy swoją czaszkę w skroń. Ta metoda zawsze działała i zazwyczaj trafiała w zupełnie nieprzygotowanego przeciwnika.

I rzeczywiście. Misza, dysząc, rzucił się do tyłu i w tym samym momencie uderzył Leóna. León plecami huknął o ziemię, a ból na krótką chwilę wycisnął mu powietrze z płuc.

Rozgniewany patrzył na Miszę. Jego dłonie kurczowo otwierały się i zamykały. Cały drżał. Ugryzł się w język, wściekły splunął na podłogę pomiędzy nimi.

Chciał się podnieść, ale Misza już był nad nim. Z każdym ciosem szum w uszach Leóna był coraz głośniejszy.

Spadał na niego cios za ciosem i León był całkowicie zajęty obroną swojej głowy. Nagle ciosy stały się słabsze i León wiedział, że gniew, który w nim kipi, doda mu sił. Nie tylko, żeby znieść ciosy, których nie mógł uniknąć, lecz także, by w odpowiedniej chwili wyprowadzić jeden, ostateczny cios.

Misza, nie mogąc się już utrzymać na nogach, teraz na całej długości leżał na nim. W Leónie przelewały się odraza i gniew i z niemal nadludzkim wysiłkiem zepchnął Miszę na bok. Dysząc, bez słowa, leżeli obok siebie.

Jednak przerwa nie trwała długo.

Obydwaj powoli podnieśli się z podłogi. León zobaczył swoją krew na białych ścianach i podłodze.

Jasnoczerwone smugi były wszędzie. Kałuża krwi, w której Misza jeszcze kilka godzin temu leżał po upadku, miała ciemny kolor. León zauważył, że rana Miszy na potylicy chyba się otworzyła. Jego zaczerwieniony nos krzywo wystawał z twarzy.

Misza na drżących nogach oparł się o jedną ze ścian. León czuł, jak w jego wnętrzu kipi adrenalina.

Przecięgnął językiem po piekących wargach. Czuł smak krwi, ale nie czuł bólu. Szalał w nim gniew.

Jeszcze nie skończył z Miszą. Wyszczерzył zęby.

Mary podejrzewała, że Kathy była w pobliżu, dlatego musiała być wyjątkowo ostrożna. Zdjęła wysokie buty, związała je sznurówkami i zawiesiła na szyi. Po cichutku skradała się w skarpetkach, z nożem w prawej ręce.

„Nie uciekniesz mi” – pomyślała.

Mary szła dalej, powoli. Korytarz przed nią skręcał i ostrożnie zerknęła za róg, ale zanim cokolwiek dostrzegła, czyjaś dłoń chwyciła ją za krtań. Druga dłoń zamknęła się wokół prawego nadgarstka ręki, tej z nożem, a napastnik przycisnął ją do ściany. Wyrywała się i szarpała, ale chwyt się nie rozluźniał. Mary przestała, gwałtownie odwróciła głowę, żeby zobaczyć napastnika.

Kathy.

Obydwie, pełne nienawiści, wpatrywały się w siebie, a w iskrzących się oczach Kathy rysowało się coś na kształt zdziwienia. A może to była żądza walki?

– Dlaczego się za mną skradasz? – wysyczała Kathy. – Nawet zdjęłaś buty. Rzniesz detektywa? Wiesz przecież, że małe dziewczynki nie powinny biegać z nożami w garści. To niebezpieczne. – Kąciki ust Kathy powędrowały do góry. Szyderczo, protekcjonalnie.

– Nie napędzisz mi strachu – wydyszała Mary. – Już nie.

– Nic ci nie zrobię, jeśli ty mi nic nie zrobisz. To takie proste – spokojnie powiedziała Kathy.

– Oszczędź sobie tych obietnic, nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

Kathy pokręciła głową i uśmiechnęła się do Mary. Prawie przyjaźnie ten uśmiech wyglądał, prawie uczciwie. Mary jednak aż za dobrze wiedziała, że wszystko w Kathy było

falszywe.

– Puść, Mary, ten nóż, proszę, to będziemy mogli porozmawiać.

Mary najchętniej głośno by się roześmiała.

„Za jaką idiotkę mnie uważasz?” – pomyślała.

Próbowała uwolnić swój nadgarstek, ale chwyt Kathy stał się jeszcze silniejszy. Ta dziewczyna miała siłę, której nie było po niej widać.

– Skończ z tą szamotaniną i puść w końcu nóż – nalegała Kathy. – Wiem, co myślisz. Śmierć Tiana, tak, to była moja wina. Nie mogę tego zmienić, ale czy nie uratowałam ci życia? Jesteśmy kwita.

W porządku?

Mary nie wiedziała, czy może ufać Kathy. Prawdopodobnie nie, ale gdyby Kathy chciała ją zabić, mogłaby to zrobić w poprzednim świecie. Nawet teraz mogłaby zabrać nóż, gdyby tylko tego chciała.

Mary przypisywała Kathy niewątpliwie jeszcze jedno morderstwo z zimną krwią – ale nie miała też żadnych wątpliwości co do tego, że teraz odstąpiła od takich zamiarów.

– Mary, chcę tylko dotrzeć do jednej z bram, tak jak ty. Co ty robisz, co robią pozostali, jest mi obojętne.

– Jasne – prychnęła pogardliwie Mary i próbowała przeciwstawić coś argumentom Kathy.

– Ale żmija pozostaje żmiją. Nie masz skrupułów, zabiłaś Tiana i mnie też chciałaś zabić. Nie sądzę, abyśmy kiedykolwiek były kwita.

– Masz rację. Ale czy wszyscy nie potrzebujemy drugiej szansy? – odpowiedziała pytaniem Kathy. – Ty wykorzystujesz swoją, ja swoją. Zostaw mnie w spokoju, a ja zostawię w spokoju ciebie.

– Nie wierzę w ani jedno twoje zasrane słowo.

Spokój, który bił od Kathy, budził w Mary lęk. Przypomniała sobie, jak Kathy z zimną krwią przecięła sznur, na którym wisiał Tian. *Nie wolno* jej było zaufać Kathy. Nigdy.

Twarz Kathy przybliżyła się, w jej głosie pojawił się błagalny ton.

– Ach, Mary, uwierz mi wreszcie. Nie opowiadam ci przecież tego wszystkiego, bo mam ogromną potrzebę podzielenia się tymi słowami z tobą. Wypuścisz w końcu nóż?

Mary plunęła Kathy w twarz.

– *Fuck you!*

Kathy zastygła. W jej zielonych oczach zabłysła wściekłość. Wszystko w Kathy wyrażało pogardę i to Mary знаła aż za dobrze. Czuła mrowienie w prawej ręce, Kathy bardzo mocno zacisnęła na niej swoją dłoń.

Ale Kathy się do niej uśmiechnęła.

– Nie, to nie, mała Mary.

Mary zaczęła krzyczeć.

Jenna wciąż podążała korytarzem w poszukiwaniu Jeba i reszty grupy. Nie wiedziała, ile czasu minęło, ale była pewna, że powinna się pospieszyć.

„Gdzie jesteś, Jeb?” – zadawała sobie pytanie.

Straciła już o wiele za dużo czasu w tych korytarzach bez początku i bez końca. A gdzieś pomiędzy nimi był Jeb. Jego obraz kazał Jennie iść jeszcze szybciej. A jeśli coś mu się stało? Jenna musiała go znaleźć.

Język przykleił jej się do podniebienia, a wargi były suche, choć często je oblizywała. Cała krtań z braku wilgoci paliła jak ogień. Jenna tłumiała pragnienie i ból i szła dalej.

„Gdzie jest wyjście z tego labiryntu? – zastanawiała się. – Gdzie są bramy? Czy w ogóle można stąd wyjść?”

Nękały ją wątpliwości i niewiele brakowało, aby porzuciła nadzieję, bo w otoczeniu nic nie pozwalało wnioskować, że posuwała się naprzód, do celu, do którego miała dotrzeć. Wszystko wyglądało tak samo. Było tak, jak gdyby to nie ona, ale ściany się poruszały, a ona tkwiła w jednym miejscu. Wmawiała sobie, że to bzdura, a perspektywa znalezienia Jeba popychała ją naprzód. Musiała wytrzymać.

Znów go zawołała, ale jak zwykle nie było odpowiedzi, tylko echo odbiło się w korytarzu, jakby chciało przed nią uciec. Potem znów zrobiło się cicho, jak w pomieszczeniu bez powietrza.

Jenna nie porzuciła nadziei, że Jeb ją usłyszy. Kiedy go wołała, jej wzrok opadał w dół, na nadgarstek, jego wewnętrzną stronę.

Znów tam był.

Dziwny tatuaż w kształcie gwiazdki pojawiał się, a potem znów blakł i znikał, jakby go nigdy nie było.

„Skąd ten tatuaż i dlaczego znika? – zastanawiała się. – Czasem tu jest, a po chwili moja skóra jest gładka i czysta, a tatuażu nie ma”.

Z nikim o tym nie rozmawiała. Bo co miała powiedzieć? Pokazać swój czysty, gładki nadgarstek i bredzić o gwiazdce, która czasami była tam wytatuowana?

Jenna najpierw nie wierzyła własnym oczom, a teraz nie było nikogo, komu mogłaby o tym powiedzieć.

„Kiedy i gdzie kazałam sobie zrobić ten tatuaż? Co on ma oznaczać?”

Próbowała przypomnieć sobie, ale obrazy w jej głowie pozostawały rozmyte. Były tylko ciche słowa.

To był jej głos, który mówił: „Ta gwiazda jest znakiem naszej miłości, zaprowadzi mnie do ciebie, gdziekolwiek będziesz”.

Do kogo mówiła te słowa? I dlaczego? Nie знаła odpowiedzi.

Czy był w jej życiu ktoś, o kim zapomniała? Ktoś z czasów przed labiryntem, kogo kochała i kto kochał ją? Ale jeśli był ważny, to jak mogła o nim zapomnieć?

Ta myśl przestraszyła Jennę. Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdzie, to kto wie, czy ci, którzy ją kochali, rodzina, bliscy będą na nią czekać. Może będzie w domu, ale samotna tak jak tutaj. Czują, że straci siły i musi się oprzeć o ścianę.

„Nie, nie mogę się poddać – pomyślała. – Nie jestem sama, jest tu Jeb i mam poczucie bezpieczeństwa, które pamiętam. Cokolwiek nadejdzie później, będzie lepsze niż to, co jest”.

Myśli o Jebie i decyzji labiryntu, że tylko jedno z nich przeżyje, Jenna odsunęła daleko od siebie.

I znów stawiała jeden krok za drugim. Nie poddawać się, iść dalej.

Myśli Jenny nieprzerwanie krążyły. Jak można nie pamiętać człowieka, do którego się tak wiele czuje, że robi się tatuaż, by dać wyraz swojej miłości?

„Dlaczego zakochałam się w Jebie, jeśli gdzieś jest chłopak, który na mnie czeka?”

Może ta gwiazdka była dziewczęcą głupotą, bo myślała, że dzięki takiemu symbolowi jej miłość stanie się jeszcze silniejsza? Być może ta miłość już dawno się skończyła, a tatuaż był tylko pozostałością po niej. Myślenie o tym było stratą czasu – wszystko to było już za nią. I za zasłoną pamięci.

Tu i teraz były tylko przeklęte korytarze, w których musiała znaleźć Jeba i resztę grupy.

Jenna zaczęła robić większe kroki, a potem ruszyła biegiem. Przez chwilę czuła się dobrze. Puls dudnił w jej uszach, a energia falami pędziła przez ciało. Wydostaną się stąd. Od wielu dni Jenna nie miała tak wiele wiary.

Wszystko będzie dobrze, po prostu *musi* być.

W końcu nie dała rady utrzymać tempa. W biodro wwiercił jej się kłujący ból, który zmusił ją do zatrzymania się.

Dyszała. Pochyliła się i oparła ręce na kolanach. Kłuło ją w boku. Klatka piersiowa unosiła się przy każdym oddechu. Gdy Jenna się wyprostowała, ból w boku stał się jeszcze gorszy i musiała się znów pochylić.

Pomyślała o Miszy, który ze złamanymi żebrami wspinał się na skałę, by potem iść przez wrogi, leżący w głębokim śniegu świat. Teraz czuła, co musiał przeżywać.

A co u Miszy? Czy on też podąża tymi niekończącymi się korytarzami w poszukiwaniu jakiejś drogi?

A inni? León? On prawdopodobnie burzy ściany w poszukiwaniu wyjścia.

Mary? Nie miała wiary w siebie, ale była zawzięta. Pokonanie kolejnych światów kosztowało ją najwięcej wysiłku, a mimo to dzielnie posuwała się naprzód. Nie, Mary nie wolno było lekceważyć.

W pewnej chwili rozbrzmiał krzyk. Dziki, długi krzyk.

Jenna natychmiast rozpoznała ten głos.

Mary.

Była w niebezpieczeństwie, to było dla Jenny jasne. Mary walczyła o życie.

Jenna zapomniała o wszystkich swoich bólach i wyczerpaniu. Pobiegnęła w stronę Mary.

Przykucnęli naprzeciwko siebie, każdy plecami oparty o ścianę. Misza był mocno pobity. Bolało go całe ciało, czuł się tak, jakby ktoś go obtłukł młotkiem. Podobnie też wyglądał. Wrócił ból żeber i utrudniał mu oddychanie. Misza otworzył oczy i patrzył na Leóna.

León odrzucił głowę do tyłu. Z nosa płynęła mu krew i wydawało się, że nie sposób jej zatamować.

Mimo tatuaży Misza mógł rozpoznać po jego twarzy, że León czuł się nie lepiej niż on. Wyglądał, jakby przejechał po nim autobus.

Bili się na poważnie, bez skrupułów i z całej siły, dopóki nie byli za słabi na kolejną rundę. Żaden nie pokonał drugiego, ale nie o to chodziło.

Porwany chęcią dotknięcia Leóna, może nawet sprawienia mu bólu, i zachęcony nienawiścią tego drugiego Misza zaatakował. León chciał go nienawidzić, ale uczucia Miszy były silniejsze. Bo go pożądał. Reakcja Leóna go nie zaskoczyła, uciekał w to, co znał – w przemoc. I z tym Misza się liczył, bo sprawy między nimi – i sprawa z sobą samym – teraz były jasne. Ich walka ujawniła wszystkie konflikty, teraz wiedział, jaki jest stosunek Leóna do niego. Misza zmienił pozycję i jęknął, gdy ból przeleciał przez jego ciało jak złowrogie błyski. Każdy oddech prawie rozrywał mu klatkę piersiową. León opuścił głowę i wpatrywał się w niego.

– Mam nadzieję, że teraz jesteś zadowolony, dupku! – warknął.

Misza odpowiedział na jego spojrzenie.

– Mogę to wyjaśnić.

– Tu nie ma nic do wyjaśniania – León wyduszał z siebie słowa, jakby go bolały.

– ...nie mogę przecież nic poradzić na moją...

– *Mierda*, do cholery, zamknij gębę! – León wyszczerzył zęby, ale nadal siedział. – Biada ci, jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, żeby opisać jakieś zaszrane uczucia. To przecież chore!

– Nie, to twoja miłość do przemocy jest chora. Jakbyś rozkoszował się tym, że ktoś cię bije.

León gapił się na niego. Prawe oko zaczęło mu drgać.

– Uważaj, co mówisz, Misza, bo przyczolgam się do ciebie i będę cię tak długo bił po pysku, aż zobaczysz na podłodze wszystkie swoje zęby.

– Już mnie nie przestraszysz. Spójrz na siebie, ledwie się możesz ruszyć. Tego się nie spodziewałeś, prawda? Że ktoś może stawić ci czoła, a nie od razu po pierwszym ciosie paść na kolana. Pamiętam, że przez długi czas mieszkałem w internacie. Coś wciąż ściągało na mnie nienawiść innych, a wtedy człowiek uczy się, jak się bronić.

– Mogę sobie świetnie wyobrazić, dlaczego cię nienawidzili.

– Nie, nie możesz. Nienawidzili mnie z powodu mego ojca. Dawali mi to odczuć. Wielokrotnie stłukli mnie na kwaśne jabłko, ale zawsze tak, żeby po tym, co ze mną zrobili, nie było śladu z wyjątkiem paru siniaków. Tak było przez kilka pierwszych lat. Ale urosłem, uprawiałem sport i zapisałem się do klubu bokserskiego. A potem przyszedł dzień, kiedy się odpłaciłem. Jednemu po drugim. Wszystkich pokonałem.

– Cóż za piękna historia – skomentował zjadliwie León, ale na Miszy to nie zrobiło wrażenia.

Misza splunął. W jego ślinie było mnóstwo krwi.

– Wiem, co ty i grupa we mnie widzicie. Popatrzcie, to ten miły Misza, zawsze w dobrym humorze, wciąż uśmiecha się i zawsze gotów pomagać, taki miły chłopiec. – Zawahał się chwilę. – Potrafię też być inny. Więc oszczędź sobie gróźb, nie robią na mnie wrażenia.

– Skończyłeś już?

Misza milczał. Musiał zapanować nad bólem i szybko wrócić do sił. Pogoń przez labirynt trwała dalej. Być może właśnie dopiero na dobre się zaczęła i na Leóna nie mógł liczyć.

„W razie czego będę przebijał się sam” – pomyślał zdecydowany.

Już się nie bał. I tak stracił wszystko, co miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

„Dawny Misza umarł, od teraz myślę tylko o sobie – postanowił. – Niech się dzieje, co chce, będę walczył, nieważne z kim”.

Misza wpatrywał się w ściany. Licznik bez względu na to, co się działo, odmierzał czas.

15:43

15:42

15:41

Czas mijał, ale on wciąż nie mógł się ruszyć. Gdy się odwrócił, zobaczył, że León podciągnął kolana i położył na nich głowę. Wydawał się drzemać.

„Dobrze – pomyślał Misza – bo jeszcze z tobą nie skończyłem”.

Mary czuła w sobie zimną wściekłość. I strach, ale wściekłość była silniejsza. Rzuciła się do tyłu i ugryzła Kathy w nadgarstek. Kathy krzyknęła i odskoczyła. Mary długo nie zwlekała, tylko na oślep pchnęła nożem. Teraz, gdy miała broń, czuła się mocna. Kathy dopisało szczęście, że umknęła przed pierwszym pchnięciem, ale drugie do niej dotarło. Ostrze głęboko wwierciło się w brzuch Kathy.

– Co ty zrobiłaś? – wyszeptwała Kathy. Ich twarze były tylko kilka centymetrów od siebie, czubki nosów prawie się stykały. Kathy się skurczyła, położyła dłonie na pięści Mary, nadal zaciśniętej wokół trzonka noża.

Mary powoli zaczynała rozumieć, co się stało. Przerazenie własnym czynem było tak wielkie, że teraz chętnie puściła nóż.

– Nie chciałam tego – szepnęła cicho. Prawie niesłyszalnie.

Kathy z niedowierzaniem patrzyła na swój brzuch. Objęła nóż i z bólu wykrzywiła twarz, bo nóż się w niej poruszył. Potem z krzykiem go wyrwała ze swego ciała i rzuciła na podłogę. Metaliczny dźwięk zabrzmiał echem w uszach Mary.

„Co ja zrobiłam?”.

Mary patrzyła, jak jasnoczerwona krew tryska z rany, obserwowała, jak ubranie Kathy nią nasiąka.

„Nie chciałam tego”. Tak układały się jej wargi, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Kathy przycisnęła obydwie dłonie do krwawiącego miejsca. Była spokojna, nawet nie oddychała ciężko, tylko w milczeniu patrzyła na Mary. Jej zielone oczy były szeroko otwarte, wyglądała na zaskoczoną, a nie na przestraszoną. Na jej twarzy pojawił się zmęczony uśmiech.

„Czuje, że umrze – pomyślała Mary. – A ja się jej przyglądam. Ja, morderczyni. Jak mogłam...?”.

„Kathy...” – Te słowa nie przeszły jej przez gardło, ale spojrzała na swoje dłonie. To one wepchnęły nóż w brzuch Kathy. Nikt nie będzie mógł jej pomóc.

Gdy Jenna skrzyła za róg, znalazła Mary przykucniętą na podłodze. Jej spojrzenie było skierowane na wewnętrzne powierzchnie dłoni, odwróconych do góry, jak gdyby coś trzymała. Nie było w nich nic.

– Mary? – ostrożnie zapytała Jenna.

Mary podniosła głowę i spojrzała na nią błagalnie.

– Nie chciałam tego, naprawdę nie chciałam.

– Czego nie chciałaś?

– Kathy, nie chciałam... żeby ona...

W żołądku Jenny rozchodziło się dziwne mrowienie. O czym Mary mówiła?

– Spotkałaś ją? Naprawdę tu jest?

Mary wyciągnęła do Jenny jedną rękę, a drugą wskazała na podłogę przed sobą.

– Nie widzisz krwi? *Ja* to zrobiłam, ja ją zabiłam!

Krtań Jenny się zacisnęła. Ręce Mary były bez skazy.

– Mary, tu nic nie ma.

– Czerwona, tak czerwona jak róże... a potem... ten nóż, gdy przede mną stała... zagrażała mi... i nagle ta cała krew...

Mary znów patrzyła na swoje dłonie. Naraz jakby zbudziła się ze snu. Jednym susem skoczyła na równe nogi i Jenna się cofnęła. Twarz Mary była blada, całe ciało drżało. Prerażona podniosła ręce przed twarz, wciąż się odwracała i jęczała: – To niemożliwe! To niemożliwe!

Jenna chwyciła ją za ramię.

– Co się stało? Wszystko sobie tylko wyobraziłaś, Mary. Dlaczego myślisz, że zabiłaś Kathy?

Spojrzenie Mary przemykało od Jenny do podłogi i z powrotem.

– Zabiłam ją nożem, naprawdę! Tu była jej krew, wszystko było... czerwone i... – Mary krzyknęła. – Zwłoki? Gdzie są zwłoki? I nóż!

– Co za nóż? – dopytywała się Jenna.

– Należał do Kathy. Musiała go zabrać z poprzedniego świata, a potem ja go znalazłam.

Jenna drgnęła. A jeśli naprawdę był jakiś nóż? Do kogo należał? A przede wszystkim: kto go teraz ma?

Widziała napis wydrapany na ścianie i znalazła opaskę Kathy. Sięgnęła do swojej torby, żeby ją wyjąć, ale potem przypomniała sobie, że przecież upuściła ten kawałek materiału na podłogę. Nie było żadnego dowodu na to, że Kathy naprawdę udało się z powrotem trafić do labiryntu. A tym samym żadnego przekonującego wyjaśnienia dziwnego zachowania Mary.

„To był sen, to musiał być sen – przekonywała sobie Jenna. – Może Mary miała nadzieję na zemstę, ale... czy mogłaby kogokolwiek zabić?”

Jenna nie była pewna, czy wierzy, że Mary byłaby zdolna do takiego czynu. Ale jakkolwiek było, jeśli Kathy naprawdę wróciła, musieli się mieć na baczności. Nie było tu noża. Nie było krwi, również na rękach Mary. Gdyby naprawdę zasztyletowała Kathy, zostałyby ślady!

Jenna chwyciła Mary obydwiema rękami za barki i spojrzała jej prosto w oczy.

– Mary, gdzie to było? Tutaj?

– Tak... tutaj... ja... nie rozumiem tego wszystkiego... moje ręce... tu wszędzie była krew. Gdzie jest Kathy? – Głos Mary był coraz bardziej żalony i Jenna rozumiała ją aż za dobrze: jeśli to wszystko prawda i Kathy miałyby przeżyć, Mary była w niebezpieczeństwie.

Jenna zmusiła siebie i Mary do uspokojenia się.

„Nie ma ani jednego powodu, by uciekać przed upiorami” – mówiła sobie Jenna.

– Tu nie ma niczego ani nikogo. Proszę, skup się i powiedz mi, co się stało, odkąd się tu zjawiałaś.

Mary mrugała oczami, potem jej spojrzenie się rozjaśniło.

– Byłam w jakimś pomieszczeniu. Było ciemno, tylko przez szparę wpadało światło. Potem usłyszałam wołanie mojego brata i wyszłam, żeby go poszukać. Ale tam ciągnął się tylko pusty korytarz, może to wszystko sobie tylko wymyśliłam... Przecież już dawno musiałabym znaleźć Davida. A potem znalazłam nóż Kathy. Jak ostrzeżenie. A więc Kathy wróciła i byłam pewna, że znów spróbuje mnie zabić.

– Ale Kathy... Ona została w lodowym świecie, poświęciła się dla ciebie.

Mary, nic nie rozumiejąc, pokręciła głową.

– A jeśli jakoś się tu dostała? – Oczy Mary błyszczały.

Jenna wzruszyła ramionami.

– Poszłam za nią. Gdy skręciłam za róg, już na mnie czekała. Doszło do walki i... zabiłam ją nożem.

– Mary, spójrz na mnie! – rozkazała Jenna, gdy czarnowłosa dziewczyna znów spuściła głowę i zaczęła płakać. – To niemożliwe. Nie ma tu zwłok, krwi i noża. Jeśli więc stało się to gdzie indziej...

– To było tutaj!

– To znaczy, że jej nie zabiłaś.

„Jak komuś powiedzieć, że ma urojenia? – zastanawiała się Jenna. – A do tego jeszcze, że się podejrzuje siebie o to samo?”

W żadnym wypadku nie opowiedziałyby teraz Mary o napisie na ścianie i zakrwawionej opasce.

Prawdopodobnie to by Mary dobiło, a co najmniej byłaby już tylko kłębkim nerwów. A kłębek nerwów nie byłby dobrym sprzymierzeńcem w obcym świecie.

Jenna starała się, by jej głos brzmiał mocno i pewnie.

– To wszystko nie było prawdziwe.

Niestety, Jenna nie mogła już wybić sobie z głowy obawy, że ktoś tu wszystko kontroluje i gra z nimi w perfidną grę. Może sprawił, że są pod wpływem narkotyków? Tylko jak? W tym labiryncie nie jadła ani nie piła..., więc jak...?

Błysnęła jej pewna myśl. Czy to możliwe, że powietrze tu było zatrute? Wywoływało halucynacje?

Nie mogła w to uwierzyć. Tak, działy się tu rzeczy, które trudno było pojąć, ale Jenna czuła, że ma jasny umysł. Z Mary było inaczej, tego Jenna była pewna. Dziewczyna sprawiała wrażenie rozchwianej emocjonalnie.

„Musimy się stąd wydostać i znaleźć Jeba, Leóna i Miszę. Znalazłam Mary, to oznacza, że Jeb, Misza i León też muszą tu być”.

Miała sucho w ustach. Jej wargi były spierzchnięte, a język wydawał się kawałkiem wysuszonej skóry.

Mary patrzyła na nią wyczekująco.

Westchnęła.

– Czy możesz iść dalej? Musimy poszukać chłopaków.

Mary skinęła głową.

Misza czekał, dopóki nie nabrał pewności, że León zasnął. Gdy usłyszał jego równy oddech, ostrożnie się podniósł. Jego bok natychmiast przeszły silne klucie.

„Tym razem są złamane – pomyślał. – Prawdopodobnie mam szczęście, że żadne z żeber nie przebiło mi płuc”.

Zagryzł wargi i pokuśtykał najciszej, jak mógł, do następnej ściany, po której nieustannie wędrowały liczby. Jakaś kropla spadła na jego dłoń. Zdziwiony Misza spojrzął na grzbiet dłoni, po którym powoli spływała kropla krwi. Złamany nos znów zaczął krwawić. Rozzłoszczony wytarł twarz rękawem koszuli.

„Ten dupek ładnie mnie urządził – pomyślał. – Ale pożałujesz tego, Leónie”.

Gdy stał przed ścianą, wymknął mu się jęk. Pospiesznie odwrócił się do Leóna, ale ten się nie poruszył, spał dalej ze świszczącym oddechem. Misza z zadowoleniem zarejestrował ten dźwięk. León miał co najmniej równie ciężkie urazy jak on.

„Kiedy się obudzisz, będzie cię wszystko bolało tak jak mnie i dokładnie na to sobie zasłużyłeś” – ocenił.

Misza uśmiechnął się, ale nawet to bolało. Z ręką przyciśniętą do żeber stał schylony i obserwował zagadkę liczbową. Była trudniejsza niż poprzednia i z początku nie wiedział, czego się w niej od niego oczekuje. Potem nagle mgła się rozwiła i usłyszał głos ze swoich wspomnień: „Jeśli się wartość liczbową dowolnej liczby pierwszej przeniesie na miejsce w ciągu Fibonacciego, to ta liczba z ciągu Fibonacciego również zawsze będzie liczbą pierwszą”.

Dobra, ale o którą liczbę pierwszą chodzi i jakie jest jej miejsce w ciągu Fibonacciego?

Dłoń Miszy szybowała, poszukując miejsca wśród wędrujących liczb, aż po chwili ją zobaczył. Rzucił jedno szybkie spojrzenie na Leóna, potem dotknął odpowiednich liczb. Jego dotyk pozostawił krwawe odciski palców na ścianie i natychmiast bezszelestnie otworzyły się drzwi. Znów spojrzął na Leóna i się przestraszył.

León miał szeroko otwarte oczy i wpatrywał się w niego. Prawdopodobnie obudził go ciąg powietrza!

Cholera!

Misza zrobił pospiesznie duży krok przez drzwi. W tym samym momencie León się pozbierał, stanął na nogach i zaklął.

– Ty świnió, chciałeś... spieprzyć beze mnie. Ale nic z tego! – León stanął z zaciśniętymi pięściami przy ścianie za Miszą.

Misza tymczasem przeszedł przez niewidzialny próg i stał jak zaczarowany po drugiej stronie drzwi.

Modlił się, by się zamknęły.

Akurat gdy León dotarł do drzwi, ściana się zasunęła i Misza był bezpieczny.

Nasłuchiwał. León na pewno wykrzyczał swoją wściekłość, ale on niczego nie słyszał.

„Dźwiękoszczelne” – pomyślał.

Spojrzął na białą ścianę dzielącą go od chłopaka, który wywołał w nim całkowity emocjonalny chaos.

Poczuł jednocześnie ulgę i smutek. Czy czuł skruchę, że zostawił Leóna?

Nie, León nie zasłużył na nic innego.

„Razem moglibyśmy pokonać labirynt, ale zdecydował się walczyć przeciwko mnie”.

Głośno westchnął. Opadł na kolana, czuł zmęczenie w całym ciele, musiał jednak iść dalej, oddalić się od Leóna, na wypadek gdyby ściany znów znikły. Pozwolił sobie na chwilę odpoczynku, potem z trudem się podniósł.

Jego ciało bolało, pulsowało i drżało, czuł się wyjałowiały, wewnątrznie był otępiały i prawie martwy. Musiał jednak iść. Wciąż dalej i dalej, aż znajdzie bramy do następnego świata.

Misza przeszedł przez kolejnych osiem pomieszczeń, ale zmęczenie zmusiło go do padnięcia na podłogę. Nos przestał krwawić, ale za to dręczył go piekielny ból głowy. Nos miał opuchnięty i mógł oddychać tylko ustami. W ostatnich dwóch pomieszczeniach ledwie mógł się skupić na zagadkach i działał bardziej na intuicję, niż korzystał z wiedzy. Mimo to zadziałało. Polegał na swoich matematycznych umiejętnościach.

Teraz siedział i obmacywał złamany nos. Obcy i gruby wyrastał z jego twarzy. Przy najbliższym dotknięciu nieznośny ból promieniował do czoła.

Podniósł rękę do nosa i ją opuścił, strach przed bólem był zbyt wielki. Próbował przejrzeć się w białych ścianach, ale nie dostrzegł własnego cienia. Jakby te ściany pochłaniały każdy obraz i każdy dźwięk.

Znów podniósł rękę. Policzył w duchu do dziesięciu, nabrał powietrza... jednym ruchem chwycił nos kciukiem i palcem wskazującym i szarpnął go w lewo. Przeniknął go jaskrawy, bolesny błysk. Słyszał swój krzyk.

Potem wszystko pociemniało.

León wściekły patrzył na liczby, które niezmordowanie ślizgały się po ścianach i wydawały się z niego kpić. Przeklinał Miszę i wyobrażał sobie, co dałby mu odczuć, gdyby go znów spotkał. Ale później dotarło do niego, że gniew na Miszę go stąd nie wyciągnie.

Z bólem obszedł ściany, wpatrywał się w przemykające liczby, ale nic mu nie mówiły.

Co mógł zrobić?

Nic. Samemu nigdy nie uda mu się stąd wydostać. Musiał czekać, aż ściany znów znikną w podłodze.

„*Mierda!* Potem będę mógł się posunąć o kilka metrów, zanim z powrotem mnie otoczą” – złościł się.

Wszystko przez Miszę. Co w niego wstąpiło?

„W obydwu światach zachowywałeś się po koleżeńsku, ryzykowałeś życie nad przepaścią, żeby nas ratować – myślał León. – A teraz?”

Misza mówił coś bez ładu i składu, zamknięcie w czterech ścianach musiało go zupełnie dezorientować. Wspominając dukanie Miszy i jego osobliwe zachowanie, León znów wpadł w furję. To niemożliwe, to po prostu niemożliwe.

„Jak mężczyzna mógłby mieć tak miękkie wargi?” – zadawał sobie pytanie.

Wściekły splunął na podłogę.

„Cholera, jak to wszystko wygląda – złościł się. – Można by pomyśleć, że ktoś zarznął tu świnię”.

Ale nie zginęło tu żadne zwierzę, tylko rozpadło się koleżeństwo wykraczające daleko poza zwykłą miarę. Na zawsze.

León zaczął odczuwać coś w rodzaju skruchy. Uczucie, którego nie znał.

„Co powinienem być zrobić? Człowiek po prostu wie, kim jest! Cholera, nie!”

Głos w jego wnętrzu umilkł i León musiał przyznać, że popełnił potężny błąd. Życie było walką, a na wyzwania odpowiadało się przemocą. Gest Miszy nie był jednak wyzwaniem, on to zrobił – Leona omal nie zemdlilo – z sympatii. I z bezradności.

„Gdybym mógł, poprosiłbym cię o wybaczenie” – pomyślał.

Czuł jednak, że nigdy by mu to nie przeszło przez gardło i że Misza by mu nie wybaczył.

Byli już tylko wrogami i musiał się nastawić na to, że Misza zrobi wszystko, żeby mu zaszkodzić.

Z tym León umiał sobie radzić, bo pierwszy krok w tym kierunku Misza już zrobił – zostawił go. León nie chciał sobie wyobrazić, do czego jeszcze był zdolny ten jasnowłosy chłopak. Że tkwił w nim wojownik bez skrupułów, już dowiódł. Co czekałoby Leona, gdyby jeszcze raz spotkał Miszę i gdyby musieli walczyć o bramę?

Nie mógł oczekiwać po Miszy współczucia ani łaski.

„Poza tym on umie przechodzić przez te pomieszczenia, jak chce, a ja tu beczynnienie siedzę” – pomyślał z goryczą.

Zaklął.

„Kiedy w końcu te cholerne ściany znów opadną?”

Jeb leżał skurczony na podłodze. Miał wrażenie, że obudził się z głębokiego snu. Leżał z

jakąś dziewczyną w łóżku i po przebudzeniu łaskotały go jej długie włosy. Było mu ciepło i czuł się bezpiecznie, gotów był zrobić wszystko, by chronić tę dziewczynę. Przez całą noc bezpiecznie trzymał ją w ramionach, nigdy by nie dopuścił, żeby coś jej się stało. Kochał ją ponad wszystko i od długiego czasu to ona była tym, co mu się najlepszego przydarzyło w jego żalonym życiu. Znowu coś połaskotało go w nos, ręka mu drżała. Z ust płynęła ślina. Oczy miał zamknięte, był jeszcze zbyt zmęczony, żeby wstać, i nie chciał burzyć tej chwili, choć już nie spał. Jego umysł umykał stąd, zagubiony w obrazach ze wspomnień.

Światło w korytarzu osłabło i zaczęło migotać. Powietrze wypełniły trzaski niczym wyładowania elektryczne.

A potem nagle ściany zaczęły się poruszać. Nie zapadały się w podłogę, tylko wydawało się, że puchły i się kurczyły, pulsowały w równym rytmie, jakby nie były murami, które tworzyły korytarz, lecz żyłami, które się kurczyły i nabrzmiwały.

Jeb tego nie widział.

Po chwili wszystko się skończyło. Pusty korytarz rozciągał się w obydwu kierunkach. Światło już nie migotało, tylko świeciło z góry na Jeba.

Leżał tak otulony ołowianym mrokiem.

Po chwili w jego otoczeniu zmienił się pewien drobiazg. Jeb nieświadomie podniósł powieki. Widział najpierw niewyraźnie, ale potem oczy skupiły się na czymś małym, co poruszało się przed jego twarzą.

Potrzebował minuty, żeby rozpoznać, co to jest.

– Mrówka! – powiedział.

Małeńki owad biegał niespokojnie w jedną i drugą stronę, jakby czegoś szukał. Może śladu zapachu?

Wciąż przystawał, podnosił opancerzoną główkę. Potem gorliwie poruszał czułkami, ale nie znajdował tego, czego szukał, i kontynuował swój bezcelowy marsz.

– Mrówka! – powtórzył.

Jeb obserwował daremny wysiłek zwierzątka. Powoli wracały wspomnienia. Był w labiryncie i mrówka też w nim była.

– Jak się tu znalazłaś? – zapytał.

Mrówka nie dbała o niego, a jemu myślenie przychodziło ze zbyt dużym trudem, by znaleźć odpowiedź. Chciał wrócić do swojego miękkiego kokonu nieświadomości, ale działania mrówki coraz bardziej przykuwały jego uwagę.

„Jesteś jak ja – rozmyślał. – Szukasz drogi z tego labiryntu. Tylko że ty masz jeszcze szansę, a ja się poddałem. Nie poddawaj się, mała mrówko”.

Ostatnie zdanie przywodziło na myśl dziecięcą piosenkę, choć nie pamiętał ani tekstu, ani melodii.

Nagle zabrzmiał cichy gwizd. Jeb próbował zignorować dźwięk. Stracił zainteresowanie mrówką, a wszystko inne było mu obojętne, bo chciał tylko jednego – spać.

Znowu ktoś gwizdnął. Jeb z wysiłkiem odwrócił głowę i w odległości kilku metrów zauważył zarys człowieka. To był mężczyzna, niespecjalnie wysoki. Jeb mrużył oczy pod światło, ale nie widział szczegółów.

Wszystko, co dostrzegał, to czarny zarys na jakimś rozproszonym tle.

– Dlaczego tu leżysz? – zapytał cień.

– Dziadek? – zdziwił się Jeb.

– Dlaczego tu leżysz?

– Nie wiem, dziadku.

- Dlaczego nie wstajesz?
- Nie mam siły. Jestem taki słaby, chcę spać.
- Dlaczego upadamy?

Jeb stęknął. Nie rozumiał sensu tego pytania. Jego umysł dryfował, a oczy się zamykały.

- Spójrz na mnie! – rozkazał cień ze złością.

Jeb szeroko otworzył oczy.

- Dlaczego upadamy?
- Nie mam pojęcia – wychrypiął Jeb.
- Jeśli nie wstaniesz, umrzesz.
- Wszystko mi jedno. – Jeb opadł na podłogę.

Cień zniknął z jego pola widzenia.

- Dlaczego upadamy?

„Żebyśmy się nauczyli znów wstawać” – przyszło mu do głowy.

Z trudem i na drżących nogach Jeb się wyprostował, oparł plecami o ścianę i zrobił głęboki wdech. To była tylko myśl, nie, o wiele więcej, to było wspomnienie – to znacznie więcej, niż doświadczył w ostatnich godzinach. Dodało mu otuchy. I nadziei. Pytanie, dlaczego się upada, zadał mu dziadek, gdy był jeszcze małym chłopcem i upadł. Z płaczem, leżąc na ziemi, poddał się bólowi. Potem pojawił się obok niego dziadek. Wyciągnął szorstką dłoń i pomógł stanąć na nogi.

„Dlaczego upadamy, Jebie?”

Jeb tylko patrzył na niego ogromnymi oczami.

„Żebyśmy się mogli nauczyć znowu wstawać”.

Prawda tych kilku słów zdeterminowała jego życie. Jeśli mu się coś nie udawało, próbował od nowa.

Bez litości dla siebie samego wciąż zaciskał zęby i walczył.

„A teraz siedzę na podłodze, lamentuję i folguję sobie” – pomyślał.

Obejrzał swoje dłonie. Drżały. Cóż, ponieważ odzyskał świadomość, klaustrofobiczne myśli znalazły do niego dostęp i znów go sparaliżowały: zaraz umrzesz, dostaniesz zawału serca i będzie po wszystkim.

Jeb patrzył w korytarz, a ściany rozmywały mu się przed oczami. Tym razem jednak nie ustąpił, zmusił się, aby mieć oczy otwarte. Ściany tańczyły, a jemu kręciło się w głowie.

„Nie wolno mi się teraz poddać! – coś w nim krzyczało. – Muszę wstać, dziadku”.

Wbrew rozsądkowi oparł ręce i podnosił się, dopóki, sapiąc, nie stanął na nogach. Wydawało się, że podłoga zmieniła się w gigantyczną trampolinę.

Jeb zrobił pierwszy ostrożny krok. Z prawą ręką na ścianie po omacku powoli poruszał się naprzód.

Wciąż jeszcze falami zalewał go strach. Dłonie mu drżały, gdy podniósł je przed oczy. Oddech był urywany, jakby ktoś ścisnął jego klatkę piersiową i przeszkadzał mu swobodnie oddychać. A potem powtórzyły się zawroty głowy, przy których rozmywało się wszystko dookoła niego. Jeb patrzył w głąb korytarza. Ściany były tak blisko siebie, że nawet dziecko by się między nimi nie przecisnęło.

„To nie rzeczywistość. To tylko sobie wyobrażasz” – mówił do siebie.

Nie potrafił już rozróżnić, co było prawdą: czy to, co pokazywały mu oczy, czy to, co sobie wmawiał.

Gdyby ściany jeszcze bardziej się zsunęły, zgmiotłyby go.

„To nie jest rzeczywistość” – powtórzył w myślach.

Jeb zacisnął zęby, aż zazgrzytały.

„To nie może być prawda – powtarzał. – Czegoś takiego nie ma. Twój mózg ci coś pokazuje, zamknij oczy, odrzuć to wszystko i skup się tylko na sobie. Jesteś silny, niosłeś Jennę przez równinę i przeszedłeś z nią przez lodowy świat. Gdzieś, może całkiem niedaleko od ciebie, ona czeka na to, aż do niej przyjdiesz”.

Ta myśl dodała mu sił i pomogła zaczerpnąć tchu. Przez chwilę koncentrował się na tym, by znów poczuć swoje ciało i podłogę pod stopami, i gdy w końcu otworzył oczy, mógł znów widzieć jasno.

Sapał, było mu słabo, ale też poczuł niewiarygodną ulgę, jakby ktoś zdjął z niego wielki ciężar.

„Widzisz, chłopie, można” – powiedział sobie w duchu.

Jeb czuł, jak na jego twarzy pojawia się uśmiech. Wciąż jeszcze był słaby, miał niewiele sił i nie miał pojęcia, jak wyjść z labiryntu.

Powoli wracały instynkty. Gdy z trudem poruszał się naprzód, próbował się pozbierać. Nie widać było śladu jego grupy, nie widział również bram. Nic na razie nie zrobił, a być może trudności będą jeszcze większe. Mimo to tu i teraz był prawie szczęśliwy. Stał na własnych nogach i stawiał czoła labiryntowi.

Koniec z lamentami i czołganiem się. Przyłożył do ust trąbkę z dłoni.

– Jenna?! – zawołał tak głośno, jak tylko mógł. Wołał wciąż i wciąż.

Słyszałaś? – zapytała Jenna i zatrzymała się.

– Co takiego? – pytaniem odpowiedziała Mary.

– No, to wołanie. Jak gdyby ktoś mnie wołał.

Jenna powoli okręciła się w kółko i z dreszczem strachu pomyślała o równinie. Również tam ktoś ją wołał – ktoś, kto miał jej głos i wyglądał jak ona.

Tym razem głos brzmiał inaczej, brzmiał jak... Nagle Jennę ogarnęła ogromna ulga.

– To jest Jeb. Jeb!... Słabo go słyszać i jest daleko. Ale to musi być on. Woła moje imię! – Jenna roześmiała się ze wspaniałym uczuciem ulgi.

– Ja nic nie słyszę. – Mary zatrzymała się i nasłuchiwała.

– Tak, tak, tak. To on, jestem tego pewna. – Jenna zawołała Jeba, najgłośniej jak umiała, ale gdy przestała, jego wołanie też ucichło. – Słyszał mnie?

Jeszcze raz zawołała jego imię.

– Dobra, i co teraz robimy? – zapytała Mary.

Jenna spojrzała na nią zdziwiona.

– Cóż innego? Podążamy oczywiście za tym wołaniem! Dochodzi gdzieś z tego korytarza przed nami.

– A jeśli to znów jest złudzenie? Tak jak z krokami i wołaniem Davida o pomoc. – Mary niepewnie patrzyła na Jennę. – Ja też powinnam je słyszeć.

Jenna odwróciła się w stronę, z której słyszała głos. Zmarszczyła czoło. Musiała przyznać, że coś było na rzeczy. Właściwie Mary też powinna usłyszeć wołanie Jeba, bo ciche to ono nie było. Czy to możliwe, żeby się myliła? Że coś jej się wydawało?

Nagle w jej głowie znów pojawiły się obrazy. Dziwne, odmienne od wszystkiego, co sobie przypominała. Wszystko było jak we mgle, ukryte za gęstym welonem. Nad nią znajdował się biały sufit, do którego w regularnych odstępach przymocowane były jarzeniówki rzucające na nią zimne surowe światło. Chyba leżała na plecach i nie mogła się ruszyć. Słyszała cichy głos, ale nie rozumiała słów i nie widziała nikogo, kto je wypowiadał. Chociaż była unieruchomiona, posuwała się do przodu, bo lampy na suficie się przesuwaly. Potem były wielkie drzwi, których skrzydła się otworzyły i ją pochłoneły.

Jenna otrząsnęła się, by przegonić te obrazy. Nie wiedziała, jak ma rozumieć to wspomnienie.

Wysłuchała się jeszcze raz w otoczenie, ale Jeb już jej nie wołał. Jenna spojrzała na Mary i podjęła prostą decyzję.

– Właściwie to wszystko jedno, czy tam coś jest, czy nie, tak czy owak możemy pójść tylko tym korytarzem. Wcześniej czy później znajdziemy Jeba.

– A co, jeśli szybciej natkniemy się na bramy? – dopytywała się Mary. – Nie wiemy, ile czasu minęło.

Może będziemy musiały szybko się zdecydować.

– Nie przejdę bez Jeba.

Mary spojrzała na nią.

– Tak bardzo go kochasz?

– Nad życie.

– A jeśli to oznacza...? – Mary nie dopowiedziała.

– Że muszę tu zostać? – dokończyła za nią Jenna. – To tak zrobię. Najważniejsze, żebyśmy byli razem.

– Zazdroszczę ci tej pewności – cicho powiedziała Mary. Milczała przez chwilę, a potem nieśmiało zapytała: – Jenno, czy mogę cię o coś zapytać?

– Jasne, zawsze.

– Myślisz, że każdy może kochać? – Mary splotła palce i patrzyła teraz na Jennę wielkimi oczami. – Hm... to znaczy, czy można stracić prawo do swojej wielkiej miłości?

Jenna długo na nią patrzyła.

– Jaki wielki ciężar nosisz na barkach? Kto cię tak okradł? Wiesz, najchętniej bym tych ludzi...

– Odpowiedz na moje pytanie! – Mary sprawiała wrażenie niemal wściekłej, aż Jenna zatrzymała się zaskoczona.

– Myślę, że każdy sam decyduje o tym, czy dopuszcza miłość, czy też nie.

Mary spojrzała na nią smutno.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– Czego? Co się stało?

– Dałam mu po pysku.

– Leónowi? – zapytała speszona Jenna.

– Pocałował mnie.

– I dlatego go spoliczkowałaś? – Jenna musiała się rozeźmiać, po prostu nie mogła się powstrzymać.

To było dla Mary znacznie bardziej typowe, niż gotowa była przyznać.

– To się po prostu stało. Byłam wściekła i zmęczona.

– Niezbyt dobry początek dla związku – stwierdziła Jenna i puściła do Mary oko.

– Wiem – przyznała zakłopotana Mary. – Gdyby przynajmniej teraz tu był, mogłabym mu powiedzieć...

– Przerwała.

Jenna patrzyła na nią natarczywie.

– Nie wolno nam tracić nadziei. Nigdy. Ja muszę wierzyć w miłość, w przeciwnym razie sfiksuję.

– Ale... bramy... przeżyje tylko jedno z nas. Co będzie potem?

Jenna skinęła głową.

– Dlatego muszę mieć nadzieję. Nadzieję, że znajdziemy jakiś sposób, my wszyscy, także Jeb i ja. Że wszyscy nie umrzemy, ale przede wszystkim, że nie umrą ci, dla których żyjemy.

Mary przez chwilę milczała, a potem powiedziała: – Myślę, że potrafiłabym to zrobić. To znaczy poświęcić się dla kogoś. Oddać Leónowi bramę i zostać. Gdyby nie on, już dawno bym nie żyła.

– Może nie powinnaś mu była dawać po pysku – powiedziała Jenna i nie mogła się nie uśmiechnąć.

Na twarzy Mary pojawił się nieśmiały uśmiech.

Misza ocknął się i z trudem wstał. Zbyt szybko, bo ból od razu dał o sobie znać. Jęknął. Jego ręka instynktownie powędrowała do nosa, ale natychmiast oderwał ją z krzykiem. Pozostało tępe, ogłuszające pulsowanie, które wypełniało wszystkie zakamarki jego czaszki.

– Marnie się miewam – wycharczał i roześmiał się na dźwięk swego głosu, który brzmiał zupełnie nie jak własny, tylko jak głos starego mężczyzny. Prawdopodobnie coś było na rzeczy, bo czuł się jak stary wór.

Misza chciał się zabrać do następnej zagadki, gdy tańczące liczby nagle zniknęły ze ścian, ustępując miejsca ruchomym obrazom.

Pojawił się nadnaturalnej wielkości mężczyzna, pewny siebie stanął za mikrofonem i zaczął mówić.

Ponieważ obrazom nie towarzyszył dźwięk, Misza nie wiedział, co mężczyzna mówi. Wyglądało na to, że przemawiał, ponieważ gestykulował, a od czasu do czasu uderzał pięścią w pulpit, za którym stał.

Misza przyjrzał mu się uważniej. Coś w tym mężczyźnie wydawało mu się znajome.

A potem go olśniło.

„To mój ojciec!” – pomyślał.

Ciemny garnitur, biała rozpięta koszula, szczupła sylwetka, wyrazista twarz z mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi, przystrzyżone na milimetr włosy przechodzące w łysinę. Wszystko to znał.

„To on!” – potwierdził w duchu.

Misza na chwilę zapomniał o bólu. Potem obraz ojca nagle zniknął i ustąpił miejsca kolejnym zdjęciom.

Kamera była skierowana na płonący wrak samochodu. Obok stały pojazdy podziurawione kulami. Nad tą scenerią unosił się gęsty dym, mimo to można było dostrzec trupy na ulicy. Leżało tam z pół tuzina mężczyzn, chyba zastrzelonych.

Pod zdjęciem wyświetliła się informacja:

Prezydent nie żyje!

Te słowa wżarły się w mózg Miszy, ale chwilę potrwało, zanim je pojął. Mężczyzna, który przedtem przemawiał, nie żył. Jego ojciec nie żył.

A on był synem prezydenta Rosji.

„Nazywam się Misza Olegiejow – pomyślał. – Mam siedemnaście lat i urodziłem się na Kaukazie.

Moja matka nie żyje od wielu lat. Została zastrzelona przez jakiegoś rosyjskiego starszego szeregowego podczas zamachu na ojca. Wtedy on przeżył, ale tym razem i jego dopadli”.

Ta myśl w ogóle nie zburzyła spokoju Miszy. Bo wraz ze wspomnieniem powróciła też nienawiść do ojca.

„To ty jesteś winny śmierci mamy. Nie chciała jechać z tobą na uroczyste otwarcie bazy wojskowej, ale ją zmusiłeś, mówiąc, że to ma być publiczne wystąpienie i ma służyć uspokojeniu ludności, która cierpiała wskutek trwającej od lat wojny w Czeczenii. Ceny ropy i koszty żywności osiągnęły rekordową wysokość, ludzie marzli i głodowali, a ty chciałeś ich nakarmić wspaniale brzmiącymi przemówieniami.

Zamiast jedzenia dawałeś im bojowe hasła.

Aż w końcu jeden z nich miał dość. Andrej Gregori Anaszenko. Podczas parady stanął, wyciągnął ukryty wojskowy pistolet i celował w ciebie, ale trafił matkę. Nabój zmienił tor i zabił Słońce Rosji, jak nazywał mamę lud. Ty przeżyłeś. Za to cię nienawidzę. Teraz, wiele lat później, ty też nie żyjesz, a ja jestem sam”.

Misza odchylił głowę i prawie przestał oddychać. Miał jakieś życie, miał jakąś przeszłość. Nie był bezimiennym chłopakiem w pustym labiryncie pełnym ścian z liczbami.

„Byłem przy tym. Jechałem czarną limuzyną za tobą i ministrem obrony. Omawialiście w samochodzie sytuację. Zatrzymali nas na ulicy wiodącej na lotnisko. Stojący w poprzek samochód dostawczy zablokował przejazd, a dwa czarne minibusy z przyciemnianymi szybami wsunęły się za nas. Wskoczyli z nich mężczyźni i natychmiast otworzyli ogień. Leciały ręczne granaty. Potem podszedł do mnie Czeczeniec. Z uśmiechem na twarzy i granatem w dłoni. A potem już nic. Czy tego dnia umarłem? A to tutaj to zaświaty?”

Misza energicznie pokręcił głową, co natychmiast przyprawiło go o nowy ból. To niemożliwe. Nie był martwy. Gdyby nie żył, nie miałby już ciała, a co się z tym wiąże, nie czułby bólu. Nie, nie, nie, to tutaj było czymś zupełnie innym. Przeżył. Ale na jak długo?

„Być może zamachowcy mnie porwali i podali narkotyki?” – zastanawiał się.

Nie, to nie wyjaśniało, skąd wzięli się Jeb, Jenna i reszta grupy. Misza nigdy przedtem nie widział tych młodych ludzi. Nie byli Rosjanami i nie wyglądali na dzieci dyplomatów. A już na pewno nie León.

Na myśl o wytatuowanym chłopaku splunął z wściekłości na podłogę. León pochodził chyba z samego piekła. Nawet nie umiał porządnie czytać. Jeba by sobie przypomniał, gdyby go kiedyś spotkał. To samo dotyczyło Kathy. Co do pozostałych, nie mógłby przysiąc, ale był prawie pewny, że nigdy ich nie spotkał.

„Przeżyłem, ale jestem w innym miejscu, które nie ma związku z moim dotychczasowym życiem. Tylko matematyka jest częścią mojej przeszłości, a teraz jestem uwięziony w jakimś labiryncie. Labirynt. Tak nam przeczytał Jeb”.

Na ścianie tymczasem pojawiło się zdjęcie przedstawiające jego ojca w młodości. W idealnie leżącym mundurze podnosił dłoń do czoła w geście wojskowego pozdrowienia. Na jego piersi błyszczały orderzy. Potem zdjęcie zgasło i ustąpiło miejsca licznikowi.

11:26

11:25

11:24

Czas uciekał. Misza obrócił się na pięcie. Gdzie były liczby? Zniknęły.

A potem rozległ się dźwięk alarmu.

Misza zaklął. Teraz wiedział, co to oznacza. Zaraz ściany znikną. Musi się liczyć ze spotkaniem z Leónem. Musi się liczyć ze wszystkim.

„Utrudnię mu życie, jak to tylko możliwe” – postanowił.

Gdy ściany zapadły się w podłogę, León był gotowy. Natychmiast dostrzegł Miszę. W odległości może pięćdziesięciu metrów stał i gapił się w jego stronę.

„Wygląda marnie. Co ja narobiłem?” – pomyślał.

Nawet z tej odległości León widział, jak go urządził. Kanciasta twarz była spuchnięta i zmieniła Miszę w potwora. Zasnęta krew tworzyła ślad od złamanego nosa aż do nasady szyi. Jedno oko było podpuchnięte i nadawało twarzy Miszy wyraz dziwnego smutku. Był jednym wielkim oskarżeniem.

León chciał podnieść rękę, pokazać Miszy swoje pokojowe zamiary, ale jasnowłosego chłopak gwałtownie się odwrócił i pospiesznie pokuśtykał w drugą stronę. Dystans między nimi się powiększał.

– Misza! – wrzasnął León, a raczej myślał, że go zawołał, bo nic nie było słychać. Jeszcze raz zawołał go po imieniu. Nic nie było słychać. Ani jednej głoski.

„Czyżbym nagle ogłuchł?” – zdziwił się.

Wydawał się sobie postacią z niemego filmu.

„Czyżby ciosy Miszy były tak skuteczne, że pękły mi błony bębenkowe?” – zastanawiał się.

Nie, to niemożliwe. Przecież słyszał ostrzegawczy dźwięk przed zapadnięciem się ścian. Na próbę pstryknął palcami. Ten dźwięk słychać było czysto i wyraźnie.

Znów krzyknął.

„Jestem niemy” – przestraszył się.

León obmacał swoją szyję, dotknął jabłka Adama. Wszystko wydawało się w porządku. Żadnych ran, żadnego bólu w tym miejscu. O ile sobie przypominał, Misza go tam nie uderzył. Na szczęście, bo jeden jedyny, dobrze wymierzony cios w krtań mógłby być śmiertelny. Dlaczego, u diabła, nagle nie mógł usłyszeć własnego głosu?

„Misza!” – pomyślał.

Spojrzał na jasnowłosego chłopaka, który tymczasem oddalił się o kolejne trzydzieści metrów.

„Cholera jasna, stań wreszcie! – złościł się w duchu León. – Nie chcę ci nic zrobić”.

Misza nieugięcie pospiesznie kuśtykał naprzód. Podskakiwał przy tym, jak gdyby miał sztywną prawą nogę.

„Potrzebuję twojej pomocy, kiedy te przeklęte ściany znów pójną w górę”.

León podjął pościg. Już pierwszy krok spowodował palący ból od stóp po czaszkę.

Przed jego oczami zaczęły tańczyć czerwone kropeczki i na chwilę stracił Miszę z oczu. Zaraz potem znów go dostrzegł. Odległość między nimi niewiele się zmniejszyła. León starał się ignorować ból i próbował iść szybciej. W końcu wyglądało na to, że zbliżył się do Miszy, który akurat obejrzał się przez ramię.

León znów zawołał, ale bezgłośnie, i zaczął dziko wymachiwać rękami. Na to ten drugi przyspieszył i dystans, który właśnie się skrócił, znów się powiększył.

León miał pewność, że dla Miszy wyglądało to tak, jakby był wściekłym wariatem, który go ściga i grozi śmiercią.

„Gdybym tylko mógł zawołać, że nie mam zamiaru go jeszcze raz pobić”.

Ale ta myśl była tylko stratą czasu. Nie mógł i koniec, kropka, basta. Musiał spróbować go dogonić.

Przyspieszył. Dysząc, sapiąc i plując co kilka metrów, biegł za Miszą.

Jeszcze czterdzieści metrów.

Potem tylko trzydzieści.

Misza znów się odwrócił. Jego twarz wykrzywił strach. Jedyne niepodpuchnięte oko było szeroko otwarte. Staął. Czekał na Leóna z opuszczonymi rękami.

Serce Leóna aż podskoczyło z radości. Zaraz będzie obok Miszy, poprosi go o wybaczenie, zadba o jego rany. Jeśli się tu czegoś nauczył, to że nie jest samotnym wilkiem i idiotą bez serca. A jeśli kiedykolwiek znów zobaczy Mary, to chciałby jej bez wyrzutów sumienia spojrzeć w twarz. Może być dobrym przyjacielem Miszy. Misza to zrozumie, dostrzeże, że...

Zabrzmiał alarm. Ostry dźwięk przeleciał przez uszy Leóna i gwałtownie zamilkł. Jego oczy gorączkowo obszukiwały podłogę. W każdej chwili ściany będą się znów podnosić. Musi być gotowy, jeśli będzie stał w niewłaściwym miejscu, mury go rozgniotą.

Zaczęły się wysuwać. Bezszelestnie wysunęły się z podłogi, wolna przestrzeń znów zmieniała się w więzienie. Przeskoczył bez zastanowienia przez kilka wyrastających ścian. Spojrzenie jego i Miszy jeszcze raz się spotkało, ale Misza tyłem oddalał się od niego.

W jego oczach była czysta nienawiść, ale też zadowolenie. Powoli podniósł rękę w górę i pokazał Leónowi środkowy palec.

Nie zważając na ból, León rzucił się na ścianę, która ich dzieliła. Odbił się i potoczył na podłogę, jego poranione ciało krzyczało, a on niemo wykrzykiwał swoją wściekłość i rozpacz.

Prawie dogonił Miszę, ale teraz znów byli rozdzieleni, nie mógł mu powiedzieć, jak bardzo mu przykro.

León był znowu sam.

A na ścianach pojawiły się przesuwające się wciąż liczby.

Misza głęboko odetchnął, gdy ściany wokół niego znów się zamknęły. Niewiele brakowało, a ten wariat by go dopadł.

„Co za miny robił?” – myślał Misza.

Z bezpiecznej odległości mógłby bez końca patrzeć na Leóna. Jak tam stoi za murem, z napiętymi mięśniami, wyraźnie widocznymi pod skórą. Siła i charyzma Leóna elektryzowały go.

Ogarnął go smutek, ale zaraz zmienił się we wściekłość.

„Nie dopadniesz mnie, Leónie – pomyślał. – Na wszystko, co jest dla mnie święte, dotrę do bram przed tobą i jeśli uda ci się za mną podążyć, w następnym świecie będę na ciebie czekał. I nie będziesz miał żadnej szansy”.

Misza postanowił myśleć teraz tylko o sobie. Wszyscy inni mają mu być obojętni. Po Leónie może się tak czy owak spodziewać tylko przemocy, a Jeb, Jenna i Mary będą się nawzajem wspierać i z pewnością zdecydują się wystąpić przeciwko niemu.

„Czworo na jednego, ale jako jeden potrafię coś, czego wy nie umiecie”.

Znów zaczęły się pojawiać liczby, ale Miszy wydawało się, że wciąż widzi zdjęcie ojca w tle.

Również on go zostawił na lodzie, dlaczego więc miałby teraz na kimś polegać? Tylko liczby, one były niezmiennie. One go nie oszukają.

Misza podążał za ich biegiem po ścianach, ale tym razem rozwiązanie nie przychodziło.

Zaczął się pocić. Zapomniał o bólu. Wpatrywał się w ścianę, aż mu oczy łzawiły.

Nic!

„No już, Misza! – poganiał się w duchu. – Czy tym razem jest inaczej?”.

3 1 3 8 6 0

„Jest mniej liczb niż zwykle, o wiele mniej, ale co mam z tym począć? – zastanawiał się. – Z ciągiem Fibonacciego nie ma to nic wspólnego. A może?”.

Rozwiązanie powoli się krystalizowało. Misza roześmiał się chrapliwie. Chodziło o złotą liczbę, o liczbę *fi*, najbardziej niezwykłą ze wszystkich. Nadzwyczaj często występowała w przyrodzie. Była liczbą złotego podziału i złotego kąta.

Misza gorączkowo się zastanawiał. Liczba *fi* zaczynała się od jednego i po przecinku miała nieskończoną ilość cyfr, ale jaka była kolejność tych pierwszych? Wiedział. Liczba *fi* to były kolejno: 1,618033

Pierwsze sześć cyfr po przecinku to były zatem: 618033

Misza stanął przed ścianą i dotykał palcami liczb we właściwej kolejności. W mgnieniu oka część ściany przesunęła się na bok i pojawił się otwór. Misza wypuścił wstrzymywany oddech i przeszedł przez drzwi. Ku swemu zaskoczeniu znajdował się teraz nie w kolejnym pomieszczeniu, lecz w korytarzu, który wydawał się nie mieć końca.

W duchu się ucieszył. To mogło oznaczać tylko jedno: znajdował się w pobliżu bram, a korytarz wprost tam prowadził. W przeciwnym razie dlaczego już żadne ściany z zagadkami liczbowymi nie zagraadzały mu drogi?

„Dokonałem tego – pomyślał. – Sam. To jeszcze nie koniec”.

Misza był głodny i bardzo spragniony. Język w poranionych i spuchniętych ustach był jak obce ciało.

Jeszcze niedawno myślał, że to koniec, ale w jednej chwili jego los się odmienił. Szczęście do niego powróciło i był na fali.

Jenna szła korytarzem dużymi krokami. Nadzieja, że znajdzie Jeba, z początku się nie spełniła, ale nie miała zamiaru się poddać. Za nią ciężko dyszała Mary, która wyraźnie miała problem z dotrzymaniem jej kroku.

– Jenna, już nie mogę. Odpocznijmy.

Jenna stanęła. Sama czuła się jeszcze bardzo silna, prawie niewyciężona. Nie było jej to na rękę, ale się zatrzymała, poczekała na Mary, która powoli podchodziła.

Spojrzała z troską na Mary, która ciężko opadła na podłogę i wyciągnęła przed siebie nogi. Jej klatka piersiowa podnosiła się i opadała w szybkim rytmie.

„Dziesięć minut – pomyślała Jenna. – Nic się przecież przez to nie stanie. Dotychczas nie znalazłyśmy Jeba i kto wie, czy nie uroiłam sobie jego wołania”.

Jenna przykucnęła obok Mary.

– Znajdziemy chłopaków. Nie może być inaczej.

– Skąd ta pewność? – dopytywała Mary.

– Nazwij to intuicją. I mówi o tym przesłanie. Zawsze jest o jedną bramę mniej niż tych, którzy przeżyli. Rzecz byłaby przecież bez sensu, gdyby przynajmniej większa część z nas nie dotarła do bram.

Jaką miałyby zabawę z tego ten, kto nam tego piwa nawarzył?

– Myślisz, że ktoś to sobie wymyślił? Ale kto miałby zrobić coś takiego i po co?

Jenna wzruszyła ramionami.

– Zakładam, że tego dowiemy się dopiero w ostatnim świecie.

– Wówczas dowie się tego już tylko jedno z nas. Prawdopodobnie León.

– Albo znajdziemy jakąś inną drogę wyjścia z tego gnoju. – Jenna nie chciała szybko porzucić nadziei na to, że wszystko może się jeszcze odwrócić. Na dobre. Teraz, ponieważ słyszała głos Jeba, była o tym przekonana jak nigdy dotąd.

– To się chyba nazywa pozytywnym myśleniem. – Mary krzywo się uśmiechała.

Jenna spojrzała na nią.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– To stwierdzenie? Nie mam pojęcia, ale nie potrafię sobie wyobrazić wyjścia z tej sytuacji.

W każdym razie zanim gra się skończy.

– Nazywasz to grą?

– A co to jest? – Mary gniewnie pokręciła głową. – Jedna wielka, zaszana, potworna gra, w której tylko jedno przeżyje. Dostanie potem jakąś zaszana nagrodę i będzie mogło żyć dalej z myślą, że inni umarli.

Jenna była zdziwiona, ale w duchu musiała przyznać Mary rację. To wszystko tutaj tak właśnie wyglądało: jak perfidna gra o własne przeżycie. Mimo to musiała coś zrobić, aby obydwie nie straciły nadziei. Bezwiednie pokręciła głową.

– Jeszcze nigdy cię takiej nie słyszałam.

– Taaak, właśnie, nie jestem tą szarą myszą, jak prawdopodobnie sobie myślisz. Przeżyłam już trochę okropności i je przetrwałam. To mnie poraniło, ale nie zniszczyło. Nawet więcej, sprawiło, że jestem silniejsza. I nauczyłam się, że sama nadzieja nic nie zmienia. Chodzi o wewnętrzną siłę. A ona tkwi w każdym z nas.

– Chcesz pogadać o okropnościach ze swojego życia?

Mary spojrzała Jennie w oczy i ta przestraszyła się otchłani, którą tam zobaczyła.

– Spójrz na mnie, Jenno! Co widzisz?

– Zbitą z tropu dziewczynę – cicho odpowiedziała Jenna.

– Nie, tego nie widzisz, bo tak nie jest. Stało się dla mnie jasne, że jestem tu zasłużenie, bo nie należy mi się nic innego, i jeśli umrę, to będzie w porządku.

Jenna zastygła w samym środku ruchu.

– Nie wolno ci tak mówić, a nawet myśleć! Masz takie prawo do przeżycia jak my wszyscy. Być może nawet większe niż my. Nigdy się nie poddawaj.

Mary długo patrzyła na nią ze smutkiem. Potem lekko pokręciła głową i wstała.

– Nawet jeśli stąd wyjdę, jakie czeka mnie życie? W twoim świecie, Jenno, być może wszystko jest piękne i promienne. Istnieją szczęśliwe zakończenia. Powinam ci to powiedzieć: twój świat nie jest realny, Jenno, dla każdego. Nie ma w nim szczęśliwych zakończeń, przynajmniej dla mnie.

Jenna i Mary podążały korytarzem w milczeniu, gdy nagle usłyszały przed sobą sapanie. Obydwie stanęły przestraszone i nasłuchiwały.

Potem Jenna pędem rzuciła się naprzód.

– To Jeb!

Korytarz przed nią zakręcał. Gdy wbiegła za róg, zobaczyła Jeba, który ciężko dysząc, opierał się o ścianę.

Jego twarz była wymizerowana i blada. Pasemka włosów kleiły się do spoconego czoła. Z nogami ugiętymi w kolanach, obiema dłońmi przyciśniętymi do ściany, głęboko wdychał i wypuszczał powietrze.

Podniósł wzrok, gdy usłyszał kroki, i podciągnął do góry kąciki warg w uśmiechu.

– Jenna – powiedział cicho.

Próbował się wyprostować. Jenna rzuciła mu się w ramiona. Jej wargi pokrywały mu czoło, policzki i usta pocałunkami i wciąż szeptała jego imię. Jeb odpowiedział na ten uścisk, ale nie był w stanie utrzymać się na nogach pod naporem Jenny.

– Co z tobą? Jesteś ranny? – Do piersi Jenny zakradł się lęk.

– Nie – odpowiedział ledwo słyszalnie.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

Krzywo się uśmiechnął.

– Bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić. Jenno, ja... – znów musiał, sapiąc, nabrać powietrza – ... mam klaustrofobię. Odkąd się tu znalazłem, z trudem przychodzi mi oddychanie. Mięśnie mam tak zmaltretowane, że ledwie stoję. Już nie mogę... Jenno, muszę się stąd wydostać. Natychmiast.

Wsunęła rękę pod jego ramię, chciała go podeprzeć, chociaż wiedziała, że jest zbyt ciężki i że w razie potrzeby go nie utrzyma.

Tymczasem dołączyła do nich Mary, która najwyraźniej słyszała ostatnie zdania.

– Wyciągniemy cię stąd, Jeb. Znajdziemy bramy.

Jenna dziwiła się sile, jaka tkwiła w tych słowach. Nawet jeśli Mary nie liczyła na nic dla siebie, to była gotowa pomagać innym. Jenna spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Mary – szepnął Jeb. – Miło cię widzieć. A León i Misza?

Obydwie dziewczyny pokręciły głowami.

– Nie znalazłyśmy ich – odpowiedziała Jenna. – Ale są gdzieś tu w labiryncie. Jeszcze się na nich natkniemy – zapewniła z dużo większą pewnością w głosie, niż w istocie myślała.

Stan Jeba wprowadził ją w przerażenie. Wiedziała, czym są stany lękowe i ataki paniki, ale żeby mogły się dać we znaki tak silnemu i wytrzymałemu chłopakowi jak Jeb, nie uważałyby nigdy za możliwe.

– Ile czasu minęło? – Jeb trochę się wyprostował, na jego twarz wróciło nieco koloru.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Jenna. – Nie powinno minąć więcej niż dwadzieścia cztery godziny, po więcej niż jednym dniu bez wody bylibyśmy już w zupełnie innym stanie.

– To macie jeszcze szansę – powiedział Jeb.

– Macie? – Jenna gwałtownie obróciła głowę.

– Ja tylko będę opóźniał. Jestem po prostu za słaby, ale wy możecie dotrzeć do bram. – Gdy Jenna chciała się sprzeciwić, podniósł rękę. – Nie próbuję rzucać bohatera i oczywiście zrobię wszystko, żeby dotrzeć do bram, ale muszę to zrobić w swoim tempie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dam radę, ale wy nie powinniście ryzykować.

– Nie zostawię cię.

Te słowa zabrzmiały mocniej, niż Jenna chciała.

– Jenna...

– Zapomnij, Jeb. Tak się cieszę, że cię znalazłyśmy, że w żadnym wypadku cię nie zostawię. Kto wie... – spojrzała na Mary – ...czy poza tym Kathy cię nie znajdzie. Uważamy, że mogła podążyć za nami do nowego świata.

– Tak, i jest taką samą psycholką, jaką zawsze była. Dlatego ci pomożemy – dodała Mary i nerwowo zagryzła wargi. – Kto wie, co mogłaby zrobić z zemsty?

– Zatem żadnego sprzeciwu: my obie mamy się dobrze. Nie mamy żadnych urazów, podeprzemy cię.

Jeb pozostał sceptyczny.

– Co wy mówicie? Kathy wróciła? Nie potrafię sobie tego wyobrazić i nie chcę. To ważne: co z twoją stopą?

Po raz pierwszy od dawna Jenna pomyślała o swoim urazie z pierwszego świata.

– Wszystko w porządku. Już nie boli.

Jeb westchnął.

– Naprawdę chcecie to zrobić... – szepnął, kręcąc głową.

– Obejmij mój bark ramieniem – powiedziała Mary. – Jenna podeprze cię z drugiej strony.

– Wystarczy, jeśli wezmę was pod ręce – opierał się Jeb.

Dziewczyny splotły ręce i razem zrobili pierwszy krok.

– O ludzie, ale niezręcznie się czuję.

Jenna się roześmiała.

– To typowe. Wy, chłopaki, zawsze musicie rzucać bohaterów. Kto miałby cię tu zobaczyć?

Jeb się do niej uśmiechnął, co dodało jej otuchy.

– Myślałem o Leónie i Miszy.

– Których tu nie ma.

– Ale których znajdziemy, prawda?

„Wydaje się, że Jeb z każdym krokiem odnajduje w sobie wiarę” – pomyślała Jenna.

– Tak – potaknęła Mary. – Znajdziemy ich.

Misza ukrył się za zakrętem korytarza i nasłuchiwał. Z daleka usłyszał głosy. Najpierw to był tylko pomruk, ale wciąż się zbliżał, aż w końcu rozpoznał, kto mówi.

Wszedł w korytarz i spojrzał wzdłuż białych ścian. Od tła odcięły się trzy postacie: Jenna, Mary i Jeb.

Misza natychmiast dostrzegł, że z chłopakiem coś jest nie tak.

„Jest ranny” – pomyślał.

Patrzył na tę trójkę, a teraz i oni go dostrzegli. Mary krzyknęła zaskoczona. Chciała zrobić krok w jego kierunku, ale się zatrzymała, by dalej podpierać Jeba. Jenna do niego pomachała, a ucieszony Jeb kiwnął do niego głową.

„Zdziwicie się” – pomyślał Misza.

I tak też było. Im bliżej do niego podchodzili, tym bardziej byli zaskoczeni. Jenna i Mary

wydawały się nawet przerażone jego wyglądem. Nie mógł im mieć tego za złe. Jeb wpatrywał się w niego jak urzeczony.

Misza próbował się nie uśmiechać, chociaż był przeszczęśliwy, że widzi tę grupę i już nie jest sam.

Uśmiech go bolał. Nie tylko dlatego, że twarz była mocno poraniona i spuchnięta, lecz także dlatego, że jeszcze niedawno, w wężozie, należał do tej grupy. Teraz jednak skazany był tylko na siebie. Jeden przeciwko wszystkim. Nigdy więcej nie będzie jednym z nich. Jego decyzja była ostateczna.

Stanęli w odległości dwóch metrów. Oczami lustrowali jego twarz, poranione knykcie, umazane krwią ubrania. Mógł sobie wyobrazić, jakie robił na nich wrażenie.

– Wygląda gorzej, niż jest – powiedział na luzie.

Oczy Mary były szeroko otwarte.

– Co się stało? Ktoś cię zaatakował? Duszopijcy? Są tutaj?

Misza pokręcił głową na tyle, na ile się dało, żeby mu się znów w niej nie zakręciło.

– Nie, upadłem.

Jeb pokuśtykał do niego.

– Ale solidnie.

– Owszem.

Jenna rozłożyła ręce, jakby chciała objąć Miszę, ale on powstrzymał ją gestem. Skinęła głową i pomyślała, że to z obawy przed bólem. Misza był jej za to wdzięczny i jego połamane żebra również.

I nie tylko dlatego.

– A teraz mów, co się stało? – dopytywała się.

– Macie wodę? – zapytał Misza.

– Nie. Ty też nie?

Zrobił przeczący gest.

– Cholera – cicho zaklął.

– Wiesz, gdzie jest León? – zapytała Mary. – Widziałeś go?

Misza liczył się z tym pytaniem Mary i ułożył sobie w myślach odpowiedź. Tak spokojnie, jak to możliwe, powiedział: – León nie żyje. Widziałem, jak umierał.

Mary krzyknęła. Ten krzyk jej się wyrwał, nie mogła nic na to poradzić. W jej wnętrzu zapłonęło coś, co wydawało się ją spalać jak fala najgłębszej rozpacz.

„León! – wszystko w niej wrzeszczało. – On nie mógł umrzeć. Nie wolno mu było umrzeć, zanim się dowiedział, co czuję”.

Mary wsunęła pięść pomiędzy zęby i zagryzła ją z całej siły. Może ten ból przegoni pierwszy i myśl, że na zawsze straciła Leona, nie będzie już tak bolesna.

Nie pomogło.

Smutek, wściekłość i rozpacz nie dawały się przegnać, klucha w jej gardle, która wydawała się zatykać krtań, też nie.

„León mnie chronił, przeganiał stąd cienie przeszłości, gdy byłem blisko niego – myślała. – Jego dziki uśmiech dodawał mi odwagi i siły, że to wszystko przetrwam. Nie mogę żyć bez niego”.

Znów krzyknęła.

Brzmiało to tak, jakby dzikie zwierzę cierpiało męki. Jenna drgnęła. Nigdy przedtem nie słyszała takiego krzyku. Nawet krzyki na równinie nie były tak wstrząsające. Z początku

Jenna nie wiedziała, jak się zachować, ale potem chwyciła Mary, która natychmiast zaczęła dziko walić dookoła pięściami, i mocno ją trzymała. Bezsilne pięści waliły Jennę po twarzy, ale nie puszczała. Mary teraz już tylko kwiliła.

Jeb i Misza bezradnie się temu przyglądali.

Jenna mocno przytuliła ją do siebie i zmusiła do opadnięcia na podłogę. Objęła Mary obydwoma rękami, a mimo to ledwie udawało jej się nad nią zapanować. Stopy Mary waliły o podłogę, a jęki jej bólu przeszły w urywany szloch. Podciągnęła do góry kolana i chciała odepchnąć Jennę, lecz Jenna spokojnie odczekała i pochyliła się nad Mary. Twarz czarnowłosej dziewczyny na chwilę się odsłoniła.

Jenna objęła ją dłońmi i odgarnęła Mary z czoła mokre pasemka.

– Mary, Mary – łagodnie powtarzała Jenna. Potrząsnęła nią. Raz. Potem jeszcze raz.

– Uspokój się, Mary – powiedziała kategorycznie.

Oczy Mary były zalane łzami, spojrzenie skierowane w sufit.

– On nie żyje – powtarzała.

– Tak, ale ty żyjesz – szeptała Jenna i głaskała ją po twarzy.

– León nie żyje.

Kątem oka Jenna widziała, jak Jeb zbliża się do Miszy.

– Czy to prawda? – słyszała, jak pyta.

Misza skinął głową.

– Umarł w moich ramionach.

– Jak to się mogło stać?

Misza zaczął opowiadać. Najpierw zrelacjonował swoje pojawienie się w labiryncie i opowiedział o wędrujących liczbach, zagadkach matematycznych.

Jenna przysłuchiwała się jak urzeczona, nawet Mary wydawała się słuchać jego opowiadania. Gdy Misza wspomniał o liczniku czasu, Jenna jęknęła. A więc rzeczywiście było tak, że czas im uciekał.

– W końcu natknąłem się na Leóna, który był uwięziony w jednym z pomieszczeń. Dalej poszliśmy razem aż do tego... – Głos Miszy się załamał, przełknął ślinę.

– W porządku, Misza – powiedział Jeb. – Co się stało?

Misza jeszcze raz głośno przełknął ślinę. Wziął głęboki wdech. Mary jak zastygła siedziała na podłodze.

– Akurat wyszliśmy z pewnego pomieszczenia i weszliśmy do kolejnego, gdy podłoga pod nami się zapadła. Tak po prostu. Nagle zniknęła. Obaj wpadliśmy w głąb. Wiele metrów. Upadek był... twardy.

Myślałem, że połamałem sobie wszystkie kości, ale z Leónem było jeszcze gorzej. Wylądował nieszczęśliwie na głowie. Słyszałem tylko, jak... coś się złamało... nie mogę powiedzieć dokładnie, bo tam na dole było ciemno.

– Od razu umarł?

– Nie, jeszcze mówił o Mary.

Mary głośno zaszlochała. Cała drżała. Odsunęła pocieszającą rękę Jenny.

– Co o-on po-o-wiedziało? – zapytała Mary.

– Że cię kocha. Potem umarł w moich ramionach. Po prostu przestał oddychać i byłem sam.

Jeb położył Miszy rękę na ramionach.

– Przykro mi, kolego, że musiałeś to przeżyć.

– Zawsze podziwiałem Leóna. Był taki silny, mocny, wydawał się niezniszczalny i teraz

leżał tam rozbity.

Jenna przyłożyła swoją głowę do głowy Mary i mocno ją objęła. Ale Mary pochyliła się do przodu, położyła czoło na kolanach i schowała twarz w zgięciu łokcia.

– Tak mi przykro – powiedziała cicho i podniosła wzrok na obydwu chłopaków.

Ramiona Miszy drżały, wydawało się, że i on płacze. Jeb pociągnął nosem, wytarł sobie policzki rękawem koszuli i zapytał: – A jak się stamtąd wydostałeś?

– Dzięki temu zasranemu labiryntowi. To było takie proste. Jakieś drzwi nagle się otworzyły. Wpadło światło. Podążyłem za nim korytarzem, który mnie w końcu do was doprowadził.

Jeb zmarszczył czoło.

– To musieliście się przedtem znajdować na innym poziomie. Tu na górze.

– Chyba – odpowiedział Misza i wzruszył ramionami.

Wiele z tego, co Misza opowiadał, dla Jenny było trudne do zrozumienia. Pomieszczenia, których drzwi dawały się otworzyć z pomocą matematycznych rozwiązań. Licznik czasu, który zaczął odliczanie od dwudziestu czterech godzin. Upadek Leóna w głębie i jego śmierć.

Uważniej przyjrzała się Miszy. Jego twarz była spuchnięta, oko prawie niewidoczne, nos wyglądał na złamany. Popatrzyła na przyciśniętą do boku dłoń i podejrzewała, że odczuwał jeszcze dawny uraz. Gdy Misza mówił, można było odkryć przerwę w szeregu jego dawniej idealnych zębów. Warga była pęknięta.

To wszystko mogły być skutki poważnego upadku, ale poranione knykcie dłoni jakoś nie pasowały do tego obrazka. Wyglądało to niemal tak, jak gdyby Misza godzinami walił nimi w ścianę.

„Może z rozpaczy, gdy León umarł” – pomyślała.

To nie był najlepszy moment, żeby o to zapytać. Mary wciąż jeszcze leżała skulona na ziemi i rozdzierająco szlochała. Najpierw musiała się zatroszczyć o tę dziewczynę.

Po wszystkim, co przeżyła w prawdziwym życiu, ale też tutaj, w labiryncie, wydawało się, że nadszedł moment, gdy Mary straciła siłę, by znów wstać. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo Mary walczyła, ale wiadomość o śmierci Leóna chyba ją złamała.

„Jak mam sobie poradzić? Jeb cierpi na stany lękowe, ma już niewiele sił. Misza jest ranny i wygląda, jakby stracił mnóstwo krwi, a teraz jeszcze Mary – myślała Jenna. – León prawdopodobnie nie żyje, Kathy czai się na nas w korytarzach. Troje ludzi, którzy teraz potrzebują mojej pomocy, a ja?

Prawdopodobnie mam siłę, ale nie nadzieję za nas wszystkich”.

Śmierć Leóna ostatecznie skradła jej wiarę. To było zbyt oczywiste – pojawili się w labiryncie, żeby umrzeć. Jedno po drugim. Najpierw dopadło to Tiana. Potem Kathy. A teraz Leóna.

Jeśli mieli kiedykolwiek znaleźć bramy, wystarczy ich dla każdego z nich, ale jak długo mogli jeszcze to znosić? Jak wielka musi być wola przetrwania, przy całej tej przemożnej rozpaczy i niekończącym się bólu?

„Jesteś tu dla innych – pomyślała. – Potrzebują twojej pomocy. Bez ciebie nie przeżyje żadne z nich.

Również Jeb. A ty nie *chcesz* przeżyć bez nich, zostać sama”.

Przy tej myśli Jenna najchętniej wykrzyczałaby swoją rozpacz, ale gdyby pokazała pozostałym, że dotarła do kresu wszelkiej wiary, Jeb, Mary i prawdopodobnie również Misza by się poddali. Usiedliby i już się nie podnieśli.

„Muszę być silna za wszystkich” – postanowiła.

León stał całą wieczność przed ścianą i dotykał bez żadnego planu jednej liczby po drugiej. Najpierw czekał, aż ściany znów opadną, ale stracił cierpliwość. Musiał coś *zrobić*. Poza tym mógł myśleć tylko o Mary. Jej włosach, przestraszonych oczach, w których z chwili na chwilę nagle można było dostrzec niewiarygodną twardość. Czuł chyba, że Mary była nieszczęśliwa. Że go potrzebowała. To uczucie było dostatecznym bodźcem, by jeszcze raz spróbować tańca z liczbami.

Niestrudzenie dotykał wędrujących liczb na chybił trafił. A potem nagle się to stało. W ścianie otworzyły się drzwi. Leónowi wyrwało się głębokie westchnienie ulgi. W końcu mógł wyjść z tego pomieszczenia, choć wiedział, że już czekało na niego następne.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, stanął pośrodku kolejnego pomieszczenia. Na ścianach migał licznik.

6:47

6:46

6:45

Czas naglił. León klął, a potem coś odkrył. Ściany teraz pokazywały już nie tylko liczby, lecz także litery.

Świecąc, wędrowały po białych płaszczyznach.

„Czy to jeszcze te same zagadki? – zastanawiał się. – Wciąż chodzi o matematykę?”.

Powoli obrócił się na pięcie.

Nie, intuicja podpowiadała mu, że zadania się zmieniły. Już nie chodziło o to, żeby coś policzyć, myślał, że raczej powinien coś rozpoznać.

Członkowie grupy myśleli, że León nie umiał ani czytać, ani pisać, ale to nie była do końca prawda.

Chodził do szkoły, ale tylko do piątej klasy, potem matka wypisała go ze szkoły, żeby pomagał jej przy sprzątanii. Potrafił więc czytać i pisać, ale do bardziej skomplikowanych rzeczy to nie wystarczało. Nie przeczytałby całej książki, ale z poszczególnymi słowami sprawy miały się inaczej.

„Może to ma coś wspólnego z moim wcześniejszym życiem” – rozmyślał.

Ale co to mogło być? Musiał znaleźć jakieś kluczowe słowo?...

Hasło? Może imię?

Ta myśl utkwiała w nim głęboko. Poszukał na ścianie i dotknął liter, które tworzyły jego imię. Nic.

Potem próbował po kolei z imionami pozostałych z grupy. Również bez rezultatu. Próbował napisać „labirynt”, „Bóg”, „gwiazda”, „życie” i „śmierć” i wszystko, co mu przyszło do głowy, ale jego wysiłki pozostały bez efektu.

„Myśl! – nakazał sobie. – Są tu też liczby, może chodzi o kombinację z liter i liczb?”.

Nie działało. Jeśli wkrótce nie wpadnie na rozwiązanie, zginie tu marnie.

León pomyślał o tych niewielu rzeczach, które o sobie wiedział. Zobaczył jeszcze raz światy, w których był z innymi, twarze chłopaków i dziewczyn. Gdy pomyślał o Jebie, wyraźnie zobaczył przed oczami jego twarz.

„Nie masz włosów i szczerze mówiąc, wyglądasz trochę dziwnie, ze wszystkimi tymi

obrazkami na twarzy i czaszce”.

„To tatuaże, mam tego pełno na całym ciele”.

„Co oznaczają?”

„Nie mogę zobaczyć swojej twarzy, jak ona wygląda?”

León drgnął. To było to. To było rozwiązanie. Jego twarz była pokryta znakami, liczbami i literami.

Ktoś o tym mówił, opisywał te tatuaże, ale jak bardzo by sobie łamał głowę, nie chciało mu się przypomnieć.

Pierwszy dzień. Nic.

Noc w lesie. Nic.

Marsz przez step. Nic.

Potem drzewa i strumień, nad którym odpoczywali i spędzili drugą noc. Zobaczył samego siebie, jak idzie nad strumień – w miejscu, gdzie uklęknął, woda nie płynęła, tylko stała spokojnie jak w stawie.

Patrzył, jak wyciąga rękę z pustą butelką, żeby ją napełnić.

„Zanim moja ręka się zanurzyła, co widziałem? – zadał sobie pytanie. – Wiem, że patrzyłem na swoją twarz. Co widziałem?”

W jego pamięci pojawił się lekko wykrzywiony obraz. León patrzył na własne lustrzane odbicie, widział dwie litery i dwie cyfry na czole, ale były napisane odwrotnie, chwilę więc trwało, zanim je odczytał.

Wtedy się nad tym nie zastanawiał. Był zbyt zmęczony marszem przez upalny step. Prawie usychał z pragnienia, ale teraz myślał jasno.

Rozwiązanie zagadki było na jego czole.

León podniósł się z gorzkim smakiem adrenaliny w ustach. Gdy dotknął tych liter i liczb na ścianie, nie otworzyły się po prostu kolejne drzwi. Miał uczucie, że teraz szeroko otwarte były drzwi do jego przeszłości. Wiedział, że te niepozorne litery i liczby miały wielkie znaczenie w jego wcześniejszym życiu.

León tak mocno zacisnął usta, że pękła mu warga. Dopiero teraz zauważył, że nie stoi w zamkniętym pomieszczeniu, tylko patrzy w długi korytarz rozchodzący się w prawo i w lewo.

Por fin! W końcu! Udało mu się, uciekł od murów i od strasznych wspomnień o Miszy. Teraz znów mógł wziąć los we własne ręce.

Jenna pochyliła się nad Mary.

– Musisz teraz wstać, Mary – powiedziała łagodnie.

Głaskała ją po czarnych włosach.

Twarz Mary wynurzyła się ze zgięcia łokcia. Łzy się wyczerpały, spojrzenie było w pewnym stopniu przytomne.

– Wiem – przyznała bezdźwięcznie. – Musimy iść dalej, znaleźć bramy.

Jenna była zdziwiona, myślała, że Mary teraz będzie bezwolna, niezdolna do dalszego marszu, pogrąży się w litości nad sobą i w żałobie. Zamiast tego Mary wstała i na nią spojrzała.

– Masz rację: żyję. A León chciał, żebym walczyła dalej. Nigdy by nie dopuścił, żebym się poddała – cicho powiedziała Mary.

Jenna wzięła ją za rękę i mocno ścisnęła.

Potem razem poszły do Jeba i Miszy.

– Powinniśmy iść dalej – wyjaśniła Jenna. – Myślę, że bramy są niedaleko. To nie przypadek, że się odnaleźliśmy w tym korytarzu, on po prostu gdzieś nas *musi* doprowadzić. Prawdopodobnie tak to zostało zaplanowane. – Odgarnęła sobie z twarzy pasemko włosów. – Czas działa na naszą niekorzyść i nie wiemy, o ile licznik się przesunął. – Popatrzyła pytająco na Miszę.

– Ostatni raz widziałem licznik, gdy pokazywał jedenaście godzin i dwadzieścia cztery minuty, ale od tego czasu minęło kilka godzin – odpowiedział Misza.

Ruszyli. I tak mogli pójść tylko w jednym kierunku, Misza i Mary szli przodem. Jenna została z Jebem.

Spotkanie z Miszą i wiadomość o śmierci Leóna chyba odwróciły jego uwagę od własnych problemów.

Jego twarz nie była już tak woskowa, a spojrzenie nieobecne. Przez chwilę lustrowała go z boku, nie wiedząc, jak zacząć rozmowę.

– Myślisz, że z tobą wszystko w porządku? – w końcu cicho zapytała.

– Myślę, że tak. Nie czuję się już tak słaby. W tej chwili mam nad sobą kontrolę, a to, że dookoła mnie są ludzie, że ty jesteś, też mi pomaga. – Nieśmiało się uśmiechnął.

Jenna też lekko się do niego uśmiechnęła, ale po chwili spoważniała. Patrzyła na tych dwoje przed nimi. Mary i Misza rozmawiali.

– Jeb? Co z Miszą i Leónem? Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że coś w tym wszystkim jest nie tak.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Co masz na myśli?

Jenna przysunęła się bliżej i ściszyła głos.

– Nie jestem pewna, czy wierzę Miszy. Przyjrzałeś mu się?

Jeb spojrzał na nią, unosząc brwi.

– Czy według ciebie jego urazy wyglądają tak, jakby były skutkiem upadku?

– Dlaczego nie?

– Lewa połowa jego twarzy spuchła...

– Od zderzenia.

– Być może, ale co z jego wargami, pękły po prawej stronie. Albo upadł na lewą stronę, albo na prawą. Na obydwie się nie da.

– Jenno, coś wyolbrzymiasz. To po prostu dawny uraz z wężowu.

– Dobrze, ale wytłumacz mi też, skąd na jego rękach te poranione knykcie?

– Jenno... nie było nas przy tym.

Spojrzała na niego natarczywie.

– Zapomnij, proszę, na chwilę o jego relacji i o tym, że León nie żyje. Wyobraź sobie, że dopiero go spotkałeś i nie wiesz, co się stało. Jakie wrażenie zrobiłby na tobie Misza?

Jeb długo patrzył na Miszę, a potem westchnął.

– Wygląda tak, jak gdyby wyszedł z jakiejś fatalnej bójki.

– Ja też tak to widzę. – Jenna z namysłem kiwnęła głową.

– Chcesz przez to powiedzieć, że Misza nas okłamuje i że León być może żyje?

– Że nas okłamuje, tak. Czy León żyje? – Wzruszyła ramionami. – Nie mam pojęcia, ale jeśli dodamy dwa do dwóch, wychodzi mi bardzo dziwny wynik.

– Nie rozumiem... Myślisz, że może...? – Jeb przerwał i rzucił Jennie pytające spojrzenie.

– Zastanów się. Z kim Misza mógł się bić? Wydaje się, że oprócz nas nie ma tu nikogo, a nawet jeśli, to Misza byłby teraz martwy. Jeśli przeżył taki atak, to mógłby nam powiedzieć

prawdę. Nie, myślę, że Misza walczył z Leónem, po prostu się pobili. Nieważne o co. I León przegrał. Prawdopodobnie naprawdę nie żyje, zabity przez Miszę.

– Jenna, to straszne, że tak myślisz. A może wszystko, co Misza opowiedział, to prawda, ale... Jeśli masz rację... – Jeb cicho westchnął. – Co powinniśmy zrobić?

– Nic – odpowiedziała Jenna. – Nie możemy nic zrobić. Czas działa na naszą niekorzyść, musimy iść do bram, ale musimy też mieć Miszę na oku. Nie ufam mu.

Gdy podniosła wzrok, zauważyła, że Misza na nich patrzy.

„Od jak dawna nas obserwuje? – zastanawiała się. – Czy słyszał coś z naszej rozmowy?”.

Po plecach przeszedł jej dreszcz. W jego spojrzeniu coś się czaiło, coś podstępnego.

Jenna próbowała wytrzymać jego spojrzenie, ale w końcu spuściła głowę.

Długi korytarz przed nim sprawił, że odetchnął z ulgą. Przynajmniej nie był już uwięziony i mógł ruszyć naprzód. Ten korytarz musiał gdzieś prowadzić. Może do Mary?

Zadał sobie trud, żeby być cicho, nie dlatego, że miał zamiar zaskoczyć Miszę. Chodziło raczej o to, że nie chciał, by to Misza go zaskoczył.

Czas mijał, gdy podążał korytarzem. León czuł ból przy każdym kroku, ale to dobrze, bo dzięki temu był czujny. Ból nie pozwalał mu usiąść i zasnąć, choć miał taką potrzebę.

Dziwne, ale tu, w labiryncie, wciąż był zmęczony. Odkąd pojawił się w pierwszym pomieszczeniu, czuł to ołowiane zmęczenie, które go nieustannie kusiło, by zamknąć oczy i się zdrzemnąć.

„Coś jest ze mną nie tak – pomyślał. – To wieczne zmęczenie nie da się wytłumaczyć jedynie wyczerpaniem. W innych światach też nie brakowało trudów, ale nigdy nie czułem się aż tak wykończony”.

León podejrzewał, że może teraz płaci cenę za energię, którą włożył w ostatnich dniach w przetrwanie.

Jego myśli powędrowały do pozostałych z grupy. Czy Jeb, Jenna i Mary już odkryli bramy i je przekroczyli? A może także Misza? Ostatecznie to wszystko jedno, czy Misza czaił się na niego tu, w tym korytarzu. Jeśli szybko nie znajdzie bram, to i tak wszystko na nic. Czuł, że powoli ogarnia go zbyt wielkie zmęczenie, by jeszcze się nad tym zastanawiać.

Chciał tylko zrobić jeden krok i jeszcze jeden.

León bardziej się zataczał, niż szedł. Spojrzenie skierował w podłogę, ale ten przedmiot dostrzegł dopiero wtedy, kiedy na niego nastąpił. León stanął i wpatrywał się w związany kawałek materiału.

Leżała przed nim opaska Tiana, albo raczej opaska Kathy. Pochylił się i podniósł ją przed nos. Tak, to ona. Materiał nawet jeszcze pachniał Kathy.

Kiedy spojrzał w górę, przestraszył się. Stała przed nim. Kathy naprawdę przed nim stała.

W odległości niecałych dwóch metrów. Wyglądała tak, jak ją ostatnio widział, tylko zdjęła kurtkę i trzymała przed brzuchem. Na jej twarzy wciąż ciągnęły się smugi brudu i zauważył brązową plamę krwi na jej koszuli. Włosy Kathy były rozwichrzone i wciąż była równie dzika jak wtedy, kiedy widział ją ostatni raz w lodowym świetle. Jej spojrzenie było jasne i łagodne. W oczach miała łzy.

– Wiesz, gdzie jestem? – zapytała tak cicho, że León potrzebował chwili, by zrozumieć jej słowa.

Zrobił bezradny gest.

– Tak dokładnie nie mogę powiedzieć, Kathy. Wciąż w labiryncie i nadal musimy znaleźć bramy. Ale ty właściwie powinnaś nie żyć.

Próbował ostrożnie się uśmiechnąć.

– Kto to jest Kathy? – Patrzyła na niego zmieszana.

– Co? – León nie rozumiał. – Ty jesteś Kathy.

– Ja jestem Kathy – szepnęła.

– Kathy, jak się tu znalazłaś? Dlaczego nie wiesz, kim jesteś?

– Jestem Kathy – powtórzyła, tym razem głośniej.

– *Chica*, przestań pleść bzdury. Powiedz mi lepiej, jak się tu znalazłaś. – León lustrował dziewczynę.

– Powinnaś być martwa.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nie wiem.

León na pierwszy rzut oka rozpoznał, że Kathy nic nie pamięta. Stała przed nim zrozpaczona dziewczyna, która zapomniała, kim była i czego tu szuka.

– Widziałas resztę naszej grupy? – zapytał, nawet jeśli podejrzewał, że prawdopodobnie nie może mu pomóc.

Kathy zmarszczyła czoło.

– Resztę?

– Jeba, Jenę, Miszę.

Gwałtownie pokręciła głową.

– Oni są mili?

– Nie potrafisz sobie ich przypomnieć, prawda?

Z oczu Kathy po brudnej twarzy płynęły łzy i pozostawiały jasne ślady, gdy spływały po policzkach.

– Nie. – Opuściła ręce i kurtka, którą dotąd w nich trzymała, upadła na podłogę. León drgnął, gdy zobaczył jej brzuch.

– O mój Boże, Kathy, ty jesteś ranna!

Wpatrywał się w nasiąkniętą krwią koszulę, na krew, która płynęła z rany w brzuchu.

– Co to jest? Kto ci to zrobił, Kathy?

Kathy spojrzała na siebie. Była zupełnie spokojna, gdy znów podniosła wzrok.

– Jesteś moim przyjacielem?

– Poczekaj, pomogę ci. – Zrobił krok naprzód, ale Kathy podniosła zakrwawioną rękę.

– Proszę, nie podchodź bliżej.

– Ale ty potrzebujesz pomocy. Muszę ci jakoś opatrzyć ranę... muszę...

– Coś jest ze mną nie tak. Jestem w jakimś miejscu, którego nie znam, nie znam swojego imienia i zupełnie niczego nie pamiętam.

– Kathy, możesz się wykrwawić! – zawołał z rozpaczą León.

– Ach – westchnęła.

León zrobił krok w jej kierunku, ale Kathy się cofnęła, trzymała teraz wyciągnięte obie ręce, jakby chciała się przed nim bronić.

– Podasz mi swoje imię? – zapytała.

– Pozwól mi sobie pomóc.

– Jak masz na imię?

– Kathy, proszę!

– Podaj mi swoje imię.

– Mam na imię León. A teraz pozwól mi sobie pomóc.

Był przerażony tym, co rozgrywało się na jego oczach. Kathy tu była, nieważne, jak się dostała z poprzedniego świata. Nieustannie krwawiła, ale chyba jej to nie martwiło.

Kathy odsunęła się znów o kawałek.

– To najpiękniejsze imię, jakie kiedykolwiek słyszałam. – Zachichotała i zaczęła śpiewać cicho, a potem coraz głośniej:

Three blind mice,

*Three blind mice.
See how they run,
See how they run!*

*They all ran after the farmer's wife
Who cut a cheese with a carving knife.
Did you ever see such a thing in your life
As three blind mice? [\[1\]](#)*

*Three blind mice,
Three blind mice.
See how they run,
See how they run!*

*They all ran after the farmer's wife
Who cut a cheese with a carving knife.
Did you ever see such a thing in your life
As three blind mice?*

León wyciągnął ręce do Kathy.

„Zobacz, nie jestem uzbrojony, chciał powiedzieć, na pewno nic ci nie zrobię”.

– Teraz ci pomogę, czy tego chcesz, czy nie.

– Czas iść, Leónie. – Jej twarz rozciągnęła się w uśmiechu, ale oczy nagle zrobiły się zimne. – Pomyśl o tych małych myszach, jesteśmy ślepi jak one.

Zanim León zdążył zareagować, Kathy się odwróciła i pobiegła korytarzem. León bez zwłoki pobiegł za nią. Choć Kathy była ciężko ranna, odległość pomiędzy nimi szybko się powiększała. León włożył w ten bieg wszystkie siły, ale to nie pomogło. Miał wrażenie, że w ogóle nie porusza się naprzód, tak jakby przytrzymywała go jakaś niewidzialna siła. Jego stopy dotykały podłogi, ale nie ruszał się naprzód, podczas gdy Kathy biegła przed nim ze śpiewem na ustach.

*Three blind mice,
Three blind mice.
See how they run,
See how they run!*

Potem zniknęła w głębi korytarza i León został sam. Stał i ciężko dyszał. Jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała, a ciało płonęło bólem. Na chwilę wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Korytarzem docierał do niego śpiew Kathy.

*Three blind mice mice mice mice.
Three blind blind blind blind mice mice mice.
See how they run run run run run run
See see see seeeeeeeeeeeee*

Teraz przodem szli Jenna i Jeb. Mary i Misza zostali w tyle. Jenna szybko się obejrzała i zobaczyła, że Misza trzyma się ręką za prawy bok. Jego twarz wykrzywił ból, ale w oczach płonął lodowaty ogień, gdy odpowiedział na jej spojrzenie.

– Boję się go – powiedziała cicho Jenna, gdy z powrotem odwróciła się do Jeba.

– Uważam na ciebie.

Jeb wyraźnie czuł się trochę lepiej. Wprawdzie płytko oddychał, ale wyjaśnił Jennie, że tak mu łatwiej.

– Jak się czujesz? – zapytała Jenna.

– Słabo, ale nie najgorzej. Wciąż kręci mi się w głowie, mam nadzieję, że to też wkrótce minie.

– Musisz, Jeb. My oboje... – zawahała się. – Mam wrażenie, że łączy nas coś zupełnie wyjątkowego i że teraz musimy jeszcze bardziej trzymać się razem. Ta sprawa ze śmiercią Leóna nie daje mi spokoju.

Jeśli Misza ma z tym coś wspólnego, to jest naprawdę niebezpieczny.

– Mówisz o nim jak o jakimś przestępcy – energicznie sprzeciwił się Jeb. – Odkąd tu jesteśmy, zawsze był dobrym kumplem, gotowym do pomocy i przyjacielskim. Nie ma dowodów, że jest winny śmierci Leóna.

– Tego Miszy, o którym mówisz, już nie ma. Spójrz w jego oczy. Nie ufam mu. Tym bardziej że musimy wytrzymać. Musisz walczyć. Nigdy nie wolno ci się poddać.

Jeb zmarszczył czoło.

– Dlaczego to mówisz?

Jenna spojrzała mu w oczy.

– Ponieważ bardzo dobrze rozumiem wybuch emocji Mary. Gdyby coś ci się stało... nie wiem, czy chciałabym dalej żyć. Wówczas moja droga by się skończyła.

– Jenno, nie. Musisz walczyć, ty też. Do ostatniego oddechu.

– Będę to robić tak długo, dopóki żyjesz. Jeśli coś ci się przydarzy, usiądę i nigdy więcej nie wstanę.

– Jenno...

Ale ona się odwróciła i czekała na Mary.

Jeb spojrzał na Jennę i zrobiło mu się ciężko na sercu. Kochał ją i było dla niego jasne, że to ona ma przejść przez ostatnią bramę. Miał zamiar jej aż tam towarzyszyć i ją chronić, ale teraz dostrzegł, że ten plan jest bez sensu. Jego poświęcenie, nawet jeśli wynikało z miłości, Jenna zniweczy. Nic dzięki temu nie zyska.

„Jenno, jak mam cię skłonić do tego, żebyś przeżyła? – zastanawiał się. – Bo ja bez ciebie też nie chciałbym żyć. Ale jeśli oboje nie spróbujemy, to nie mamy żadnej szansy”.

Pokręcił głową. Nie, to nie wchodziło w rachubę. Tak długo, jak żyli, była nadzieja. Znajdą wyjście z tego labiryntu światów. Nie może być inaczej.

Obok niego pojawił się Misza.

– Jak się masz? – zapytał Misza, który prawie nie przypominał chłopaka sprzed paru dni. Promienne niebieskie oczy zmatowiały, a maleńka biała blizna, dzieląca prawą brew Miszy, była przy wszystkich jego ranach i urazach prawie niewidoczna.

– Całkiem dobrze. A ty?

– Bolą mnie wszystkie kości, a zebra chyba mnie dobija. Najważniejsze jednak, że uda się nam na czas dotrzeć do bram. *Show must go on*, nieprawdaż?

– Zatem ty też uważasz, że za tym wszystkim ktoś się kryje? Obserwuje nas i... – ...się

tym podnieca – Misza dokończył zdanie. – Tak, i miejmy nadzieję, że dopadniemy go pewnego dnia, a potem zabijemy, ktokolwiek to jest.

Po plecach Jeba przeleciał dreszcz. Misza mówił z taką siłą i bezwzględnością, której dotychczas u niego nie słyszał.

– Co z Leónem?

Misza popatrzył na niego nieufnie.

– Już wam opowiadałem.

– Myślałem tylko, że coś sobie jeszcze przypominasz. Naprawdę powiedziałeś nam wszystko?

– Nie wierzysz mi! – syknął Misza. – Co chcesz mi zarzucić? Uważasz, że mam coś wspólnego ze śmiercią Leona?

– Nie, nie wiem tylko... – Jeb próbował uspokajająco położyć rękę na ramieniu Miszy, ale ten strząsnął ją z gniewem.

– Co?

– Przyznaję, nie było mnie przy tym. Ale masz takie dziwne obrażenia. Trudno sobie wyobrazić, że to wszystko mógł spowodować upadek. Można by uwierzyć, że przejechał po tobie autobus... – Jeb się krzywo uśmiechnął. – Tylko że tu nie ma autobusów.

– To miał być żart?

Jeb podniósł rękę.

– Nie. Przepraszam, jeśli powiedziałem coś niestosownego, ale spójrz na przykład na swoje ręce...

– A co z nimi?

– Knykcie są poranione. Coś takiego zwykle nie dzieje się przy upadku.

– To z powodu moich knykcii? – zapytał Misza z niedowierzaniem. – Dlatego mi nie ufasz? I Jenna też?

– Ja...

– Nie kłam teraz. Widzę przecież krzywe spojrzenia twoje i Jenny, już od dawna nie mogę tego znieść.

Jeb popatrzył na niego wyczekująco.

– Ponieważ chcesz to wiedzieć: waliłem z wściekłości w ścianę, gdy próbowałem rozwiązać jedną z trudnych matematycznych zagadek, żeby otworzyć drzwi. Gdy mi się nie udawało, wtedy... prawie wariowałem.

– Misza...

– Dlaczego mnie po prostu o to nie zapytałeś? Wystarczyło zapytać: „Misza, co się stało z twoimi rękami?”. I to byłoby w porządku. Ale dobrze, teraz wiem, na czym stoję, jeśli chodzi o ciebie i Jennę. – Misza zrobił głęboki wydech. – Pieprzę was, Jeb. Pieprzę was.

Wkrótce okazało się, że korytarz przed nimi zataczał szeroki łuk. W milczeniu nim podążyli, a wtedy otworzył się biały tunel do gigantycznego pomieszczenia, które rozciągało się we wszystkich kierunkach.

Podłoga miała kształt okręgu. Całe pomieszczenie pięło się do góry i było nad ich głowami zwieńczone kopułą. Było tu niewiele światła, większa część olbrzymiego pomieszczenia tonęła w ciemności.

„Tu jest jak w kościele” – pomyślał Jeb.

Gdy oderwał wzrok od sufitu, dostrzegł w oddali słabe pulsowanie bram.

– Spójrzcie tylko! – zawołała obok niego Jenna i wskazała naprzód. – Bramy. Udało nam się!

Misza nie powiedział ani słowa, jakby po rozmowie z Jebem nie miał powodu, by cokolwiek jeszcze mówić. Mary westchnęła cicho, ale również ona od pewnego czasu nie powiedziała ani słowa.

– Możemy opuścić ten świat. – Jeb uśmiechał się promiennie do wszystkich po kolei. – Wreszcie!

Spojrzał na Mary. Wyraźnie było widać, że z trudem przychodziło jej zostawić za sobą miejsce, w którym umarł León.

– Mary? – nieśmiało zapytała Jenna. – Jesteś gotowa?

Mary skinęła głową. W jej oczach stanęły łzy.

– Potrzebuję jeszcze chwili.

Jeb rozumiał, że chciała się pożegnać. Jeszcze raz pomyśleć o Leónie i być blisko niego. Spojrzał na Miszę, którego zacięta mina wyraźnie dawała do zrozumienia, że jego poprzedni gniew nie minął.

– Czy to będzie w porządku, jeśli poczekamy, aż Mary będzie gotowa?

Patrzyły na niego zimne niebieskie oczy.

– Tak, ale szybko. Chcę się stąd wreszcie wynieść.

„Nienawidzisz mnie” – pomyślał Jeb.

Ta świadomość sprawiła, że Jeb poczuł chłód. Rzucił krótkie spojrzenie na Jennę, żeby ocenić po wyrazie jej twarzy, czy czuła to samo.

Przez chwilę stali i milczeli. Jeb pomyślał o Tianie i Kathy, których już stracili. Ich grupa nieuchronnie się kurczyła. I za każdym razem trudniej było zostawiać jedno z nich. Własne życie za życie towarzyszy.

Zasady labiryntu były nieludzkie, a jednak nie przyszedł im do głowy żaden pomysł, jak się przed tym obronić.

– Dobrze, możemy iść – powiedziała w końcu Mary.

Powoli ruszyli. Bramy czekały w odległości trzydziestu metrów i Jeb uważał, że mają dużo czasu, ale nagle zaczęły szybciej pulsować.

Błękit się rozjarzał, by potem osłabnąć. Przypominało to bicie ludzkiego serca, które się uniosło i teraz waliło w piersi – tuż przed końcem.

Z tym nie liczyło się żadne z nich. Jeb akurat chciał skłonić swoje zmęczone ciało do finiszu, gdy zauważył, że Mary się zatrzymała. Odwróciła się ku słabo oświetlonemu

korytarzowi, z którego przyszli, ale się nie ruszyła. Misza i Jenna również się zatrzymali. Jeb podszedł do Mary, stanął przed nią i na nią spojrzał.

– Co się dzieje?

– Nie idę z wami.

– Mary...

– Nie zmienisz mojej decyzji, zostanę tutaj.

– To byłaby bezsensowna ofiara, Mary. León nie żyje, musisz iść dalej.

– Pójdę poszukać jego ciała. Nie chcę go tu zostawiać.

Jeb odwrócił głowę. Szukając pomocy, spojrzał na Jennę, która zrobiła krok w kierunku Mary.

– Zrób to dla swojego braciszka. Zrób to dla Davida, potrzebuje cię.

– Jego już nie ma, tak samo jak Leóna czy mojego dawnego życia.

– Nie mów tak.

– Czego mam nie mówić? – syknęła Mary. – Prawdy? Nie chcesz jej wysłuchać? Nie ma żadnego wyjścia. Żadnego happy endu. Zdechniemy tu marnie albo w tym, albo w innym świecie, nie gra więc żadnej roli, czy będę się dalej dręczyć, czy nie. Nie mam już ochoty na tę grę, odpadam!

Mary odwróciła się na pięcie i pomaszerowała w kierunku białego korytarza. Jeb był tak zaskoczony, że nie potrafił zareagować. Wydawało się, że Jenna to przewidziała, bo natychmiast pobiegła za Mary, jednak Mary po prostu odsunęła ją na bok.

Teraz ruszył również Jeb, ale on szedł powoli. Wszystko w nim jeżyło się na myśl, by wbiec z powrotem do tego korytarza. Za nim bramy pulsowały coraz szybciej. Niebieskie światła kładły się teraz szybko jedno po drugim na jasnej podłodze i znikwały w ciemności olbrzymiego pomieszczenia.

Zegar tykał. Nie mieli czasu. I znów na czole pojawił mu się zimny pot, a pierś się zacisnęła. Musiał stąd uciec.

– Jenno! – zawołał głośno. – Musimy wracać. Bramy...

Ale ona go nie słyszała albo nie chciała słyszeć. Była wyraźnie szybsza od Mary. Jednym susem doskoczyła do niej, chwyciła ją za biodra i zatrzymała. Mary wymachiwała rękami, ale Jenna szybko wybiła jej stopy i przyparła ją do podłogi. Jeszcze nigdy nie widział, by Jenna tak walczyła. Natychmiast było widać, że fizycznie znacznie górowała nad Mary.

Potem Jenna chwyciła Mary za stopy i wlokła ją za sobą. Mary wrzeszczała jak opętana, wierzgała nogami i wymachiwała ramionami, ale Jenna nie puszczała.

Jeb chciał pomóc, oberwał jednak niekontrolowany cios od Mary, tak że aż się zachwiał.

A potem nagle pojawił się Misza. Z siłą, jakiej Jeb nigdy by się po nim nie spodziewał, sięgnął w dół i podniósł Mary niemal bez wysiłku. Objął ją ramionami i mocno trzymał.

– Wszystko w porządku. – Jeb usłyszał jego szept. – Wszystko w porządku.

Mary wydawała się słabnąć.

– Wszystko w porządku, Mary – wciąż powtarzał Misza i w końcu Mary w jego ramionach się poddała. Bezsilnie opuściła ręce, jej głowa opadła na pierś Miszy.

Jeb rzucił szybkie spojrzenie w kierunku bram. Pulsowanie stało się jeszcze silniejsze, jeszcze gwałtowniejsze. Niebieskie światło ustawicznie przebiegało przez pomieszczenie.

– Musimy iść – napominał Jeb. – Czas mija, bramy zaraz znikną.

Jenna wpatrywała się w niego, potem w Mary i Miszę. Jeb chwycił ją za ramię.

– Ruszaj, teraz!

Wydawało się, że Mary czekała na ten moment, bo nagle wymknęła się z objęć Miszy i

pognała z powrotem.

– Nie! – wrzasnął Jeb. – Mary, zostań tu!

Jenna chciała biec za nią, ale Jeb trzymał ją mocno za rękę.

– Musimy iść do bram, Jenno. Nie mamy już czasu.

– Ale Mary, nie możemy jej...

– Idę po nią – nagle powiedział Misza. – Nie zapobiegłem śmierci Leóna i poniekąd czuję się za nią odpowiedzialny, bo ja go tam zaprowadziłem. To zatem moja sprawa, by uratować Mary, jestem mu to winny. Możecie przejść przez bramy.

Jeb spojrział na niego przerażony.

– Nie dasz rady, Misza. Nie masz dość czasu.

– Poradzę sobie.

Bez zbędnych słów Misza się odwrócił i pobiegł. Jeb widział, że kuleje, mimo to poruszał się zaskakująco szybko. Musiał przyznać, że nie miał siły, żeby za nim podążyć. Nie chciał jeszcze raz być skazany na ciasnotę tych pustych pomieszczeń. Wiedział, że tego nie przeżyje.

– Jenno?

Po jej twarzy płynęły łzy.

– Nie możemy ich zostawić. Nie Mary.

Niebieskie światło przeszło w dzikie staccato. Jeb chwycił rękę Jenny i pociągnął ją za sobą. Czuł, że nogi ma jak z gumy. Całe pomieszczenie tańczyło mu przed oczami, powodując zawroty głowy, ale nie mógł się teraz tym zajmować. Musieli dotrzeć do bram. Jenna musiała tam dotrzeć.

„Przynajmniej Jenna” – pomyślał.

Ona wciąż oglądała się do tyłu, chociaż Misza i Mary już dawno zniknęli w korytarzu. Kilka razy się potknęła, ale Jeb nie dopuścił, żeby upadła, tylko podciągał ją znów na nogi. Kosztowało go to całą energię.

Były cztery bramy. Przynajmniej w tym zakresie labirynt był niezawodny. Błękit stał się tak jaskrawy, że Jeb musiał dłonią przysłonić oczy. Obok niego szlochała Jenna. Patrzyła w tył.

Niebieskie światło drgnęło, na ułamek sekundy rozjaśniło przestronne wnętrze z kopułą i znów zgasło.

– Jenno!

Nie słuchała go. Chwycił ją stanowczo i pocałował długo i namiętnie. Przez twarz Jenny przeleciało drżenie, potem przez chwilę odpowiedziała na pocałunek, zanim odepchnęła go od siebie. Jeb się potknął.

– Proszę, obiecaj mi, że przeżyjesz. Bez względu na to, co się wydarzy. Zrób to dla nas! – szepnęła Jenna i wzięła go za rękę.

Jeb objął jej palce i ten dotyk w końcu uwolnił jego klatkę piersiową z pancerza.

– Tylko jeśli ty obiecasz, że również zrobisz wszystko, żeby przeżyć. Nie chcę zostać bez ciebie.

– Obiecuję – powiedziała Jenna, a potem, prawie niezauważalnie zrobiła krok do tyłu i natychmiast znikła.

Jeb patrzył zdziwiony w nicość i sięgnął ręką w pustkę. Brama zniknęła razem z Jenną.

Spadł z niego ciężar i po raz pierwszy od dawna mógł swobodnie oddychać. Jeb poczuł cień nadziei.

Jeszcze raz spojrział na wyjście z tunelu, w nadziei, że pojawią się w nim Misza i Mary,

ale ich nie było.

„Powinienem tu zostać – pomyślał. – Poczekać na nich. Ale nie mogę. Jenna przeszła już przez bramę i być może w tej chwili grozi jej w nowym świecie jakieś niebezpieczeństwo. Muszę pójść za nią. Być przy niej”.

Obiecał jej to. Podjął trudną decyzję.

Zrobił głęboki wdech. Teraz światło rozjaśniło wszystko wokół niego. Podeszedł do następnej bramy, rzucił ostatnie spojrzenie wstecz i przeszedł.

Misza dogonił Mary, chwycił ją mocno i bez słowa ciągnął za sobą z powrotem pod kopułę. Mary kopała, piszcziała i walczyła jak opętana, ale nie robiło to na nim żadnego wrażenia.

– Skończ z tym, Mary!

Ku jego zaskoczeniu w istocie to zrobiła, ale on jej nie wierzył, jeszcze raz nie da się nabrać na ten numer.

Spojrzał na nią. Mary opuściła ręce i zwiesiła nogi. Sprawiała wrażenie marionetki, która nie ma kontroli nad swoim ciałem, tylko oczy miała szeroko otwarte. Patrzyły w próżnię.

Niebieskie światło migotało i oślepiało Miszę tak, że za późno rozpoznał cień przed sobą i aż się potknął.

Przed nim stał León.

W pulsującym świetle bram jego twarz wyglądała jak namalowana. Jak niesamowita maska z gabinetu grozy. Misza widział pękniętą wargę, rozciętą skórę na stłuczeniu nad lewym okiem. Szyja i twarz były spuchnięte i sprawiały, że León wyglądał na silniejszego, niż w istocie był. Ale tak naprawdę lęk budziło jego spojrzenie. Płoneła w nim wściekłość, a jej paliwem był gniew i Misza czuł, że zbliża się ich ostatnia walka. To nie koniec. Tym razem jeden z nich umrze.

– León, ty żyjesz – szepnęła Mary. – Misza mówił, że umarłeś.

– Nie dziwi mnie, że to powiedział. – Wzrok Leóna na chwilę powędrował do Mary, ale potem znów zastygł na Miszy. – Mary, myślę, że Misza i ja mamy sobie coś do wyjaśnienia, idź do bram.

– Ale...

– Idź, musisz stąd zniknąć. – Jego głos był lodowaty.

– Bez ciebie nie idę. Myślałam, że straciłam cię na zawsze, nie opuszczę cię.

– Przejdź przez bramę, Mary!

Podczas tej krótkiej rozmowy Misza szacował, jaką ma szansę, by niepostrzeżenie przejść przez bramę. Ale León zauważał nawet ruchy jego oczu. A potem nastąpiła chwila porozumienia. Bez słów.

Wymienili krótkie skinienia głową.

León chwycił Mary pod ramię i jak na niewypowiedzianą komendę Misza chwycił Mary pod drugie.

Razem maszerowali wprost do najbliższej bramy. Mary płakała i błagała, i patrzyła na przemian to na Miszę, to na Leóna. Misza już nie słuchał. Był wpatrzony w bramę.

Gdy dotarli do bramy, Mary znów zaczęła się bronić, wzmocnili więc chwyt. Wymienili spojrzenia, a potem przerwali Mary przez bramę. Zapiszczała i znikła.

Nadeszła ta chwila. Miało dojść do walki i tym razem chodziło o wszystko. Misza był zupełnie spokojny, skoncentrował się na środku swojego ciała, tam, gdzie czały się jego wściekłość i gniew.

Musiały tylko jeszcze trochę urosnąć. Za nimi przyjdzie siła, by zwyciężyć w pojedynku. Dopadły go obrazy z przeszłości. Widział chłopaka, który go stłukł, ojca, który go bił, śmierć matki i zamach.

Wszystko to dodało mu zdecydowania, by stanąć do walki z Leónem.

Misza zauważył, że León nie spuszcza go z oka. On nie zaatakuj, niech León zrobi pierwszy krok. Tak czy owak będą walczyć. O reszcie zdecyduje los. Nie było pośpiechu.

Niebieskie światło upiornie drgało nad nimi dwoma, prawie rozmywało kontury oczu Miszy. Potem León zwrócił się do niego: – Przepraszam, że cię pobiliśmy, Misza. Przez resztę życia będę się tego wstydził, ale nie mogę dopuścić, żebyś przeszedł przez jedną z tych bram.

Misza milczał. Miał dość dyskusji. Był gotowy, miał zamiar bronić swojego życia, chciał mieć tę jedną, jedyną szansę.

– Może znajdziemy jakąś możliwość uratowania tych, którzy zostali.

Misza poczuł w ustach gorzkość.

– Obaj wiemy, że nie ma takiej możliwości.

– Widziałem Kathy. Tu, w tym świecie. Są więc takie możliwości – powiedział León.

– To zostań tutaj.

– Nie mogę. Nie ufam ci. Zostawiłeś mnie w labiryncie, zrobiłbyś to jeszcze raz. A poza tym...

– Co?

– Muszę się zatroszczyć o Mary. Może jestem w stanie wyciągnąć coś dobrego ze swojej przeszłości i przynajmniej ją ochronić.

– Jeśli masz tylko taki plan, żeby umrzeć i poświęcić się dla niej, to nie musisz przechodzić przez tę bramę.

Z tymi słowami Misza rzucił się naprzód. Zrobił to nieświadomie, chociaż zakładał, że poczeka na atak Leóna. Zderzyli się ze sobą z całym impetem i obaj upadli na podłogę. Miszy udało się trafić Leóna, ale potem León nieoczekiwanie mocno uderzył Miszę w brodę i ten się odtoczył. Na chwilę rozmyło mu się pole widzenia i nie rozpoznawał otoczenia, bo wszystko było zatopione w niebieskim, migoczącym świetle. Nie wiedział, gdzie teraz był León. Na ślepo uderzał w próżnię. Leóna już tu nie było.

Misza z trudem się pozbierał. Jego spojrzenie pognało do ostatniej bramy. León biegł do migoczącego wejścia.

– Nie! – wrzasnął Misza.

Wstał, zataczając się, ale jego zmysł równowagi był tak zaburzony, że zaraz znów padł na kolana.

Musiał się bezradnie przypatrywać, jak León znika w bramie. Ostatnia brama zgasła i w pomieszczeniu zapanował blady mrok.

Przez długi czas Misza siedział na podłodze i płakał. Nie z rozpaczy, nie dlatego, że nie było już dla niego wyjścia z labiryntu. Czuł się nieskończenie samotny.

Chciałby móc nienawidzić Leóna, ale nie był do tego zdolny. Przed oczami pojawiały mu się wizerunki Leóna. Szeroki uśmiech. Iskierki w jego oczach. Energia, z jaką się poruszał. Gra jego mięśni pod koszulą.

A teraz go nie było. Był dla Miszy na zawsze stracony. Misza został sam.

Zaszłochał. Opuścił głowę w ramiona.

Powoli się uspokajał, ale wysiłek poprzednich dni wymagał zadośćuczynienia. Licznik czasu i to, co go jeszcze teraz czekało, były mu obojętne. Zasnął.

To był lekki sen i Misza drgnął, gdy ktoś dotknął jego ramienia. Zerwał się na równe nogi i natychmiast był gotów do ataku. Najpierw nie mógł w mdłym świetle rozpoznać, kto przed nim stoi.

– To ja.

– Kathy? – zapytał cicho.

Jego oczy przyzwyczyły się już do słabego światła i dostrzegł iskry w jej oczach, zobaczył promienny uśmiech i charakterystyczne rude włosy, które okalały jej twarz.

– Wszystko w porządku, Misza.

– Ty żyjesz? Mary i Jenna opowiadały, że tu jesteś. Ale... ale nie mogłem uwierzyć.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Nie ma ich już, wszystkich – poinformował ją Misza. – Przeszli przez bramy, dla nas nie ma już żadnej.

– Wszystko będzie dobrze.

Nagle kopułę wypełniło czerwone światło, wydawało się, że świeci z sufitu. Misza odchylił głowę i spojrzał do góry. Pojawiły się tam olbrzymie liczby. Licznik czasu. Nieubłagane migał.

00:04

00:03

00:02

Zostały im tylko dwie minuty.

Gdy opuścił wzrok, dostrzegł ranę w brzuchu Kathy.

– Kathy, jesteś ranna. Boli cię?

Uśmiechała się.

– Nie.

Potężny wstrząs sprawił, że kopuła zadygotała. Po podłodze przebiegły fale i zatrzęśły ciałem Miszy.

Jego myśli pozostały całkiem jasne.

To był początek końca.

Rozległ się kolejny głośny huk. Prawie jak wybuch bomby. Świat wokół Miszy zadrżał. Kolejne wstrząsy wprawily jego ciało w drgania. Na ścianach powstały rysy, które szybko biegły w górę. Na dół spadał drobny pył i łamał światło. Gdyby ten widok nie napędzał strachu, można by go uznać za piękny.

Misza spojrzał na swoje ręce. Drżały.

– Boję się, Kathy.

– Nie musisz. Wszystko będzie dobrze.

Pierwsze kamienne odłamki oderwały się od kopulastego dachu, Misza objął Kathy. Jej ciepło dodawało mu otuchy.

Czuł tylko, jak wszystko się kończy.

Księga druga

Jeb przeszedł przez bramę i pierwsze, co poczuł po chłodzie labiryntu, to niemiłosierny upał, który położył się na nim jak chusta i na chwilę prawie zaparł mu dech.

Przed nim wznosił się mur z czerwonej cegły. Spojrzenie Jeba powędrowało po nim do góry i zauważył coś, co skłoniło go do wewnętrznej radości.

Niebo. Rozpościerało się nad nim promienne i niebieskie. Był słoneczny dzień i powoli płynęło nad Jebem kilka obłoków. Z jego piersi zniknął ucisk i znów mógł bez przeszkód oddychać. To było wyzwolenie, więc głośno wykrzyczał swoją radość.

Obok niego pojawiła się Jenna. Od razu rzuciła mu się w ramiona. Nie powiedziała ani słowa, tylko mocno go przytulała.

– Spójrz, Jenno – szepnął jej do ucha. – Niebo.

Jenna odchyliła głowę i się uśmiechnęła.

– Jest cudowne.

W oddali słychać było tępy huk. Zmieszani popatrzyli na siebie. Jeb oderwał się od Jenny i się obejrzał. Najwyraźniej byli w mieście, bo stali na jakimś wyasfaltowanym tylnym dziedzińcu. Na ścianach z cegieł namalowano graffiti, a ściany należały do domów, które otaczały dziedziniec. Wszędzie leżały śmieci. Odpadki, ale też ludzkie i zwierzęce fekalia. Straszliwie śmierdziało. Po niemal klinicznej czystości białego labiryntu takie bogactwo zmysłowych wrażeń to dla Jeba za wiele. Niemal go obezwładniło. Mimo to nie chciał oderwać wzroku od otoczenia. Wszystko było takie nowe, kolorowe i... pełne. Ale też znajome.

Do ścian przymocowano metalowe drabiny, które Jeb dopiero po kilku minutach zidentyfikował jako wyjścia ewakuacyjne, by na wypadek pożaru pomogły ludziom wydostać się z budynku.

Kręcił się w kółko i zauważył, że tylny dziedziniec prowadził na ulicę.

– Nie ma tu nikogo. Ulica i cała okolica są wyludnione. Dziwne, prawda? – Jenna pokręciła głową, jakby nie potrafiła pojąć tego nowego świata. – Myślisz, że Misza i Mary zaraz do nas dołączą? – zapytała po krótkiej przerwie.

– Na pewno. Mary nie mogła przecież odbiec daleko.

– Miejmy nadzieję, że zdążyli na czas.

„Ja też mam taką nadzieję” – pomyślał Jeb.

Jego spojrzenie wędrowało wzdłuż ulicy. Mógł dostrzec tylko jej wąski pas, ale ten mały kawałek asfaltu dał mu nadzieję. Ulice, domy, kosze na śmieci i drabiny ewakuacyjne oznaczały nie tylko, że żyli tu ludzie. Już wiedział, dlaczego był tak podekscytowany. Wszystko tu przypominało mu też wcześniejsze życie. Być może... ledwie miał odwagę pociągnąć tę myśl do końca... może nareszcie wrócili do dawnego życia?

– Wszystko tutaj wydaje mi się znajome. Wprawdzie to i owo trochę obce, ale wiem, o co chodzi w tym otoczeniu – Jenna wypowiedziała jego myśl.

Jeb lekko pokiwał głową i natychmiast mu się w niej zakręciło. Skutki przygnębiającej ciasnoty korytarzy prawdopodobnie jeszcze nie całkiem minęły.

– Tak, mnie się też tak wydaje. Jakbym już kiedyś tu był. W każdym razie to miasto jest wyraźnie inne niż lodowe.

- I nie jest tak zimno. – Jenna uśmiechała się do niego.
- Roześmiał się.
- To też.
- Ale masz też na myśli śmieci i zapach, prawda?
- Raczej smród. Ale jeszcze nigdy nie wahałem niczego z równą przyjemnością.

Jenna nie potrafiła ocenić ich sytuacji. Potrzebowali więcej informacji, by najpierw ustalić, gdzie są.

Gdzie byli Mary i Misza? Jeśli to był rzeczywiście ich prawdziwy świat, być może mieli szansę znaleźć dom. Jeb sądził, że już tu kiedyś był, więc chyba szanse nie były małe? Jeśli nie, to musieli się rozejrzeć za gwiazdą, która doprowadzi ich do kolejnych bram.

– Co teraz robimy? – zapytał Jeb, który jeszcze nie całkiem pewnie stał na nogach. Najwyraźniej klaustrofobia nieźle dała mu się we znaki.

Jenna czuła, że starał się ukryć swoją słabość.

– Najpierw musimy poczekać i sprawdzić, czy Miszy i Mary udało się na czas dotrzeć do bram. Jeśli się nie pojawiają, powinniśmy zatroszczyć się o to, by nie rzucać się w oczy w tym otoczeniu. Mam wrażenie, że tu jest niebezpiecznie.

Przytuliła się do Jeba, a on delikatnie pogłaskał ją po policzku. Jenna rozkoszowała się jego bliskością i poczuciem bezpieczeństwa, które ją przy nim ogarniało. W końcu nie byli rozdzieleni.

A mimo to wydawało się, że stoi pomiędzy nimi coś niewypowiedzianego. Jej żołądek dał o sobie znać głośnym burczeniem.

- Ktoś tu jest chyba głodny, co? – zapytał cicho Jeb.
 - Możesz to spokojnie powiedzieć głośno. I do obłędu spragniony.
 - Ze mną jest tak samo – powiedział Jeb.
 - Oddałabym wszystko za big maca i colę.
- Jeb gwałtownie się od niej oderwał.
- Co?
 - Powiedziałam... – Jenna zamilkła speszona.

Jeb patrzył na nią bez słowa przez kilka sekund, a potem wymieniał tylko: – Telewizja. Kino. Telefon. Komórka. Komputer. Internet. Samochody. Motocykle. Lody. McDonald's. Koszykówka. Kobe Bryant. Michael Jackson. Myszka Miki. Miasteczko South Park... Pamiętasz? Ty też to znasz? – Zaczął chodzić podekscytowany to w jedną, to w drugą stronę.

Jenna kiwnęła głową.

– Tak, ale kto to Kobe Bryant?

– Sądzę, że to słynny sportowiec. Ale pewny nie jestem. Czy jest coś, co sobie przypominasz?

Popatrzyła na niego długo, a potem wypowiedziała tylko jedno słowo.

- Hamburg.
- Hamburg?

– To miasto. Moje... rodzinne miasto. Tam się urodziłam i tam mieszkam. – Jenna nagle poczuła wewnętrzne ciepło. Poczucie przynależności. Wiedziała, że była częścią tego miasta. Tam był jej dom.

Jeb się do niej uśmiechnął.

– Ależ to fantastyczne! Przypominasz sobie coś bardzo konkretnego. Swoją *ojczyznę*.

Myślę, że możemy jej poszukać albo kogoś o nią zapytać. Może znajdziemy mapy?

– Jeśli w ogóle jesteśmy we właściwym świecie – Jenna przygasiła jego nadzieje. Od razu sprawiło jej przykrość, że stłumiła entuzjazm Jeba. Blask w jego oczach zgasł.

– Nie wierzysz w to?

– Jeb, ja... nie wiem. Ale wiele z tego, co tu jest, wydaje mi się obce. Domy wyglądają inaczej i...

Jeb jej przerwał:

– Ale przecież nie znamy okolicy. Żyją tu ludzie, dysponują taką techniką, jaką znamy, mieszkają w miastach z domami i ulicami.

– Tak, wiem... Szczerze mówiąc, Jeb, to tylko przeczucie. Być może się mylę i naprawdę w końcu wróciliśmy do domu. – Uśmiech Jenny żałośnie się rozwiął i wiedziała, że Jeb to widział.

Nie chciała zniszczyć jego ufności, ale po prostu w to nie wierzyła.

Cała nadzieja, którą odczuwała jeszcze kilka godzin temu, uleciała. Bardziej niż kiedykolwiek wydawało jej się, że będą zaczynać od początku.

Każdy nowy świat był nową zagadką. Bez żadnych wskazówek, co to miało oznaczać. Tylko walka z czasem i walka o przetrwanie były dokładnie takie jak przedtem.

Myśli przerwało dygotanie powietrza na dziedzińcu.

Pojawiła się Mary! Stała bez ruchu na dziedzińcu i zmieszana wpatrywała się w jedną ze ścian domu.

Chwilę później powietrze znów zawibrowało i pojawił się León.

Zaskoczona Jenna wciągnęła powietrze, gdy rozpoznała, że to nie Misza przekroczył bramę. Nie wierzyła własnym oczom, ale w istocie stał tam wytatuowany chłopak, o którym wszyscy myśleli, że nie żyje.

León schował głowę w ramionach i przyjął pozycję obronną.

„Jest gotowy – pomyślała. – Cokolwiek mu się przydarza, jest gotów walczyć”.

Jenna poczuła ukłucie w sercu, gdy uświadomiła sobie, że tylko jedna osoba przeżyje wszystkie światy.

„León!”.

Wyglądał na człowieka nie do pokonania i emanował siłą, która wstrząsała. Słabo wierzyła, że León zajmował się jakimiś zagadkami i sensem, który się za tym wszystkim krył. Po prostu przyjmował do wiadomości każdy świat, cokolwiek się działo. Jenna zazdrościła mu tej świadomości, że będzie walczył za wszelką cenę. Postanowiła bardziej wziąć się w garść, głównie dla Jeba, który jej potrzebował tu i teraz. I dodać mu sił.

W Leonie coś się zmieniło. Dopiero kiedy powoli obrócił się wokół własnej osi, Jenna dostrzegła, co to było. León był ranny.

Jego warga była pęknięta. Połowa twarzy spuchnięta, a na drugiej połowie widać było liczne skaleczenia, rozcięcia i stłuczenia.

„Ma takie same urazy jak Misza” – pomyślała.

– A więc jednak – wymamrotała Jenna.

León i Misza musieli ze sobą walczyć. Do krwi. Dlaczego? Nawet jeśli to podejrzenie przyszło jej do głowy jeszcze w labiryncie, to zawsze myślała, że Misza darzy Leona szczególną sympatią, tak, wręcz go podziwia. Poza tym nie bardzo mogła sobie wyobrazić, jak Miszy udałoby się tak urządzić Leona.

„Każdy z nas stanie się kiedyś przeciwnikiem drugiego – pomyślała. – Nie powinnam sobie robić złudzeń. Będę walczyć za Jeba, ale jeśli dojdzie do ostateczności – jak mam

sobie kiedykolwiek przebaczyć, że zabrałam komuś szansę przeżycia? León najwyraźniej nie miał skrupułów, by siłą odebrać jednemu z nich ostatnią bramę. Czy miałabym przy nim jakąkolwiek szansę?”.

Jenna zauważyła wymianę spojrzeń pomiędzy Mary i Leónem. Coś zdarzyło się po drugiej stronie bram.

Podeszła do Leóna i Mary i chwyciła oboje za ręce. Szybko przytuliła Mary do siebie i objęła ją ramieniem. Widziała, że dziewczyna ma zaczerwienione oczy. Płakała?

Potem odwróciła się do Leóna. Była więcej niż ciekawa, co ma do powiedzenia. Ale jednocześnie...

bała się to usłyszeć.

– A więc jednak nie umarłeś. – Zabrzmiało to bardziej jak wyraz zdziwienia niż ulgi, ale próbowała nadać swemu głosowi beztroski ton.

– Tak – brzmiała skromna odpowiedź Leóna.

– Ja... myślałam, że mogę ufać Miszy. Że nas nie okłamuje...

Jeb podszedł do nich i klepnął Leóna po ramieniu.

– Dobrze cię widzieć, chłopie. Myśleliśmy, że nie żyjesz. Misza...

– Tak, mogę sobie wyobrazić, co wam Misza opowiedział. Zaufanie mu nie było błędem – powiedział León. – Rzeczywiście byłem niemal martwy. Powiedzmy, że miałem po prostu niezwykłe szczęście i złapałem jedyną uczciwą szansę, jaką miałem.

Jennę przeszedł dreszcz.

„Tego właśnie się boję” – pomyślała.

– Co się stało? – Jeb wyraźnie się cieszył, że widzi Leóna, a Jenna patrzyła z boku na Jeba. Również sprawiał wrażenie wstrząśniętego tym, co musiało się rozegrać pomiędzy chłopakami w poprzednim świecie.

– Doszło pomiędzy nami do kłótni. Nieważne teraz, o co poszło, ale popełniłem poważny błąd. Po bójce było za późno, żeby cokolwiek naprawić. Misza mnie zostawił. Bez niego byłem uwięziony.

– Ale jak widać, jakoś ci się udało. Jesteś tutaj. Co z Miszą?

– Został.

– Dobrowolnie?

– Nie.

– Jeszcze... żył?

– Tak. – W spojrzeniu Leóna widać było bezwzględność. Nic poza tym.

Zapadła cisza.

„To jest nas tylko czworo” – pomyślała Jenna.

Zagryzła wysuszone wargi. Nie było teraz Miszy z jego jasnymi włosami i intensywnie niebieskimi oczami.

„Mary płakała po Miszy – wywnioskowała. – Ja też powinnam, ale nie mogę”.

To jednak nie miało już znaczenia, jeśli tu naprawdę była wytęskniona ojczyzna Jeba. A jeśli nie, powinni tu przynajmniej być ludzie, którzy mogli im pomóc. Jenna chciała w to wierzyć. Musiała się tego trzymać, żeby nie zwariować.

Mary pierwszy raz zabrała głos. Mówiła cicho i zachrypniętym głosem, więc Jenna musiała się do niej pochylić, żeby zrozumieć.

– Co z... Kathy? Myślę, że tam była. Już raz jej się udało wrócić... i... – Mary przerwała.

Jeb parsknął.

– Nie sądzę, żeby wróciła. Dlaczego zatem nie wraca również Tian? To nie ma żadnego...

Wtedy przerwał mu León: – Sensu być może nie ma, ale ja też ją widziałem.

Jenna nie wierzyła własnym uszom. Nie uroiła sobie zatem tego napisu? Ale jak to możliwe? Jeb wpatrywał się w Leóna z niedowierzaniem, ale Mary również była zaskoczona. Jenna musiała przełknąć ślinę i ugryzła się w dolną wargę. Czy powinna opowiedzieć, że widziała napis na ścianie? Czy to nie zaniepokoi ich jeszcze bardziej?

Głos Mary brzmiał już niemal jak szept: – *Ty ją widziałeś?*

León wzruszył ramionami.

– Tuż przedtem, zanim podeszła do mnie z naprzeciwka w korytarzu, znalazłem jej opaskę.

Powinniśmy więc zwracać uwagę na znaki, a dopiero później zacząć się martwić. – León ściszył głos, jakby mówił tylko do Mary. – Abstrahując od tego wszystkiego, nie musimy się jej obawiać, uwierz mi.

Kathy nawet nie wiedziała, kim jest. Nie mówiąc już o tym, czego tam szukała. I była ranna. Myślę... Mary, przestraszona, chwyciła go za rękę.

– Ranna w brzuch?

W tym momencie przez głowę Jenny przeleciała straszliwa myśl: „Czyżby Mary naprawdę...?”

„Mary nie byłaby do tego zdolna” – próbowała uspokoić samą siebie, gdy León powoli kiwnął głową z iskrami w oczach.

– Skąd wiesz, że miała ranę w brzuchu? – zapytał, w jego głosie słychać było czujność, z poprzedniej czułości nic w nim nie zostało.

Mary drgnęła i wbiła wzrok w ziemię.

– Zaatakowała mnie w labiryncie, a potem... ten nóż. Nóż Kathy. Ja...

Jenna patrzyła to na Mary, to na Leóna. Na twarzy Mary rysował się ból, a jej oczy wypełniły się łzami. Spojrzenie Leóna wędrowało od delikatnych, bladych dłoni Mary do jej ciemnych oczu.

„Prawdopodobnie on również się nad tym zastanawia – pomyślała Jenna. – Tak jak ja, gdy wtedy znalazłam Mary. Czy Mary potrafiłaby zrobić coś podobnego?”

Stali w milczeniu we czworo na opuszczonym dziedzińcu, dopóki Jeb w końcu nie przerwał ciszy: – Ludzie, powinniśmy się skupić na tym, co przed nami. Co nam pomoże, jeśli będziemy się zastanawiać i nadal zajmować tymi cholernymi tajemnicami, które czają się za każdym rogiem? Liczy się to, że się tu dostaliśmy, przez bramy, że my... że co najmniej kilkoro z nas przeżyje.

Jenna wzięła głęboki wdech. Zupełnie nie zauważyła, że wstrzymywała oddech. Dotychczas uważała za niemożliwe, że Mary w ostatnim świetle mówiła prawdę. Ale po co grzebać w tym, co było już za nimi? Odwróciła wzrok od Mary.

– Jeb, masz rację. Zatem gdzie jesteśmy?

Jeb wskazał na budynki dookoła.

– Wiele z tego wydaje mi się znajome i przypominam sobie fragmenty mojego wcześniejszego życia.

To już jest jakiś początek. Może to jest świat, z którego pochodzimy?

León oderwał pełne troski spojrzenie od Mary i obrócił się w kółko jak wcześniej Jeb. Oglądał ściany, drabiny ewakuacyjne i kosze na śmieci, a w końcu niebo.

– Tak, ze mną jest tak samo.

– Co teraz robimy? – zapytała Jenna.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie nas zagnało i czy grozi nam niebezpieczeństwo –

odpowiedział León stanowczym głosem.

– I potrzebujemy wody oraz czegoś do jedzenia – dorzuciła Jenna. – Mary? Co z tobą?

Z wciąż wbitym w ziemię wzrokiem odpowiedziała: – Zrobię to, co wy zrobicie.

León odłączył się od grupy i zanim poszedł dużymi krokami do wjazdu na dziedziniec, powiedział: – Dobra. Wygląda na to, że z przodu jest ulica. Rozejrzyjmy się, co na niej jest.

Na końcu wjazdu na dziedziniec ostrożnie wyjrzeni zza muru. Przed nimi rozciągała się szeroka ulica. Na prawo biegła w dal, wiodła między masywnymi, z pozoru pustymi budynkami, które stały po lewej i prawej stronie i wyglądały jak porzucone klocki.

Beznadziejne, proste i w opłakanym stanie stały szeregiem przy ulicy. W większości wyglądały na bloki mieszkalne z małymi sklepikami na parterze, których okna i drzwi były zakratowane.

Nagle przez ulicę znowu przetoczył się głuchy huk, którego pochodzenia nie potrafili odgadnąć. Mary mocniej przywarła do Leóna, który opiekuńczo objął ją ramieniem. Mieli ze sobą do porozmawiania na tematy osobiste. Ale wszystko to musiało poczekać.

Wiatr unosił w powietrzu strzępy papieru, przez co okolica wyglądała na jeszcze bardziej podupadłą, niż była. Ludzi nadal nie dostrzegali, ale w oddali przez ulicę przebiegł wychudzony pies. Mary zasyczała, gdy go zobaczyła.

Szyby samochodów i metalowe elementy błyszcząły w jaskrawym słońcu. Wyglądało to, jakby użytkownicy pojazdów porzucili je i uciekli. Jakiś stary, zardzewiały samochód powoli pracował, wyrzucając w niebo gęste czarne kłęby spalin.

Co tu się stało?

– Spróbuję sobie wyrobić opinię na temat naszego położenia – powiedział Jeb. – Wy zostaniecie tutaj i poczekacie, aż wrócę.

– Czujesz się już na siłach? – zapytała Jenna. – Czy nie powinieneś...

– Nie – przerwał jej. – Dam radę. Odkąd się tu pojawiliśmy, czuję, jak wracają mi siły.

– Co ty mówisz? Co z tobą? – zapytał León.

Jeb pokręcił głową.

– Później. Zostańcie tutaj. Ukryjcie się. Zaraz wracam.

Jeb odwrócił się w lewo. Tam roztaczał się podobnie beznadziejny widok, tylko że nie było żadnego pojazdu. Pustą ulicę pokrywały papier i śmieci. Gdy spojrział wzdłuż niej, dostrzegł jedynego mężczyznę, który z jakąś tablicą na trzonku stał przed uliczną blokadą. Kto albo co znajdowało się za blokadą, Jeb nie mógł dostrzec z miejsca, w którym stał, lecz na pewno widział człowieka. Nie prześladowcę, nie duszopijcę, ale po prostu zwykłego człowieka. Może zechce im pomóc?

Ostrożnie, wciąż pozostając pod osłoną domów, Jeb szedł dalej. Im bliżej podchodził, tym więcej detali mógł rozpoznać.

Mężczyzna był chudy i niespecjalnie wysoki, nie wyższy od Mary, i wyglądał na wymizerowanego.

Twarz miał opaloną, zapadniętą, włosy siwe, poprzątkane ciemnymi pasmami. Na jego ciele wisiał podniszczony, kiedyś czarny, teraz wypłowiały garnitur. Zagubiony, w bezruchu stał na ulicy, mocno trzymając drewniany trzonek tablicy z plakatem.

Blokada uliczna była typową drewnianą barykadą, wokół której owinięto drut kolczasty. Część tej konstrukcji chroniły metalowe płyty. Z otworów wystawały, jak dostrzegł Jeb, lufy broni palnej, wszystkie skierowane w starego człowieka.

Wiatr wzbiał w powietrze strzępy papieru, unosił je wokół starca, który teraz zaintonował

starą kościelną pieśń. Jeb ją znał, traktowała o miłości Jezusa do ludzi i nieśmiertelności duszy. Jego matka często nuciła ją pod nosem, kiedy prała albo gotowała.

Jeb poczuł się szczęśliwy, gdy wyraźnie zobaczył matkę przed sobą. Czuł, że dotarł na miejsce i wkrótce będzie w domu. Widział jej zmęczony uśmiech. Patrzyła na syna i bezgłośnie prosiła o wybaczenie za życie, jakie mu zgotowała. To nie była jej wina, lecz jego chłającego, bezrobotnego ojca. Wolał zanieść pieniądze do knajpy niż zadbać o to, żeby mieli jedzenie i wynieśli się z zapaskudzonej przyczepy kempingowej, w której zamieszkali, gdy go zwolniono z pracy.

Wspomnienia Jeba przerwał tubalny metaliczny głos z megafonu: – Proszę opróżnić ulicę! Proszę natychmiast opuścić to miejsce albo otworzymy ogień. To jest ostrzeżenie i troska o pańskie bezpieczeństwo. Nie będziemy tego powtarzać. Prosimy opuścić to miejsce! Natychmiast!

Jeb nie wierzył własnym uszom. Kto to mówił? Dlaczego grozili staremu człowiekowi, który nie robił nic poza spokojnym staniem i śpiewaniem kościelnej pieśni?

W pełnej napięcia ciszy minęło trzydzieści sekund, potem padł pierwszy strzał.

Mary aż podskoczyła. Chwyciła dłoń Jenny i ze strachem ją ścisnęła. Twarz miała bledszą niż zwykle.

– Słyszeliście to?

Niepotrzebne pytanie. Każde z nich było przestraszone.

– To był strzał, prawda?

– Tak – odpowiedział León. – Jednoznacznie.

– Strzelali do Jeba – wyrzuciła z siebie Jenna, tracąc dech.

Chciała pobiec, ale León ją zatrzymał. Ostrożnie wyjrzał zza rogu domu.

– Chcę do Jeba.

– Nie, Jenno. – León powoli pokręcił głową. – Zostaniemy tutaj. Widziałem Jeba, u niego wszystko w porządku.

– Och, Boże – westchnęła Jenna, wyglądając zza rogu jak León, żeby się upewnić. – Mam nadzieję, że nic mu się nie stanie.

Mary objęła Jennę i mocno przytuliła, bez słów. Jenna drżała. To był ledwie zauważalny dygot, ale ogarnął całe jej ciało. Mary przytuliła ją jeszcze mocniej.

– Bądźcie teraz cicho – syknął León, który obserwował tę scenę. – Nie wiemy, w co tu wpadliśmy.

– On powinien wracać. Proszę, powiedz mu, że ma wracać – szeptała Jenna. – Nie wytrzymam tego.

León odprowadził dziewczyny z powrotem na tylny dziedziniec i wrócił do swojego punktu obserwacyjnego gotowy w każdej chwili podążyć Jebowi z pomocą.

Jenna opuściła głowę na ramię Mary i cicho szlochała. Cała siła, którą sobie przedtem wmawiała, zniknęła.

Jeb obserwował, jak trafiony starszy mężczyzna upadł na ziemię i przestał się ruszać. Tablica wypadła z bezsilnej dłoni i leżała obok niego jak wyrzut sumienia. Nie wahał się ani sekundy. Pochylony, z wciągniętą w ramiona głową, wybiegł na ulicę i szukając ochrony za stojącymi dookoła samochodami, podbiegł do staruszka. Mężczyzna spojrzał na niego zdziwiony.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Mam na imię Jeb.

Dostrzegł miejsce postrzału na ramieniu mężczyzny. W garniturze była dziura, ale nie płynęła z niej krew. Oddech starszego człowieka był regularny, a jego spojrzenie przytomne.

– Powinieneś stąd zniknąć, chłopcze. Oni strzelają do wszystkich, którzy się przeciwstawiają.

– Kto? Kto strzela?

– Policja i wojsko. Zamknęli całą dzielnicę. Nikt nie może tu wejść i nikt nie może wyjść. Dlaczego o tym nie wiesz?

– Właśnie tu przybyłem.

– Ale... blokada trwa już tydzień. Co ty opowiadasz? Żaden człowiek nie prześlizgnie się przez te zasieki. Mnóstwo ludzi zostało zastrzelonych! A ty twierdzisz... – Staruszek zaczął kaszleć.

– To długa historia.

– Wierzę ci na słowo. Powiedz, masz trochę wody? W ustach mam sucho jak na pustyni.

Jeb pokręcił głową i wsunął dłoń pod kark mężczyzny. Był zupełnie bezradny, nie wiedział, co robić.

W głowie kłębiły mu się myśli: ten mężczyzna jest ranny, ale jednocześnie nie jest. Jak to możliwe?

– Tak jest lepiej? Boli coś pana?

– Tak, ale ujdzie. Powiedz, jesteś aniołem? To znaczy w chwili śmierci przychodzi ktoś, kto człowieka zabiera i odprowadza na drugą stronę. Czy to ty?

– Nie, jestem po prostu chłopakiem, który zabłądził.

Znow zabrał głos z megafonu. Jebowi wydawało się, że tym razem głośniejszy: – Ty tam, obok starszego pana. Wstań i się odsuń. To jest teren zamknięty. Nie masz tu czego szukać.

Natychmiast się odwróć! Opuść tę ulicę.

– Ale on jest ranny! – zawołał Jeb do kogoś za blokadą.

– Ktoś się o niego zatroszczy. Opuść ulicę!

Staruszek znow zakaszłał.

– Musisz stąd uciekać, mały. Oni nie żartują.

– A co będzie z panem?

– Myślę, że poleżę tu trochę na słońcu. Jest piękny dzień i niebo wygląda cudownie.

Jeb pokręcił głową. Starszy pan był chyba niezupełnie przytomny, choć jego głos brzmiał mocno i wyraźnie.

– Zabiorę pana stąd. Jak się pan nazywa?

– Fernando. Fernando Caracas junior. Mój ojciec, Boże, miej go w swojej opiece, też miał na imię Fernando, ale on już od dawna nie żyje.

Jeb wciąż nie widział, aby z rany płynęła krew. Czyżby Fernando nosił pod spodem ubranie kuloodporne? Nie mógł sobie tego wyobrazić na tak szczupłym człowieku. Musiał wynieść stąd tego mężczyznę.

– Pomogę panu. – Zignorował mamrotanie starca, który z pozoru ożywiony chciał opowiadać dalej, i zabrał się do stawiania go na nogi.

Jeb ułożył ramię starszego człowieka na swoim barku, podniósł się z kolan i postawił rannego na nogach. Fernando chwycił się o niego oparł.

– Moja tablica. Potrzebuję swojej tablicy. – Wskazał na plakat, który przymocował do

kawałka drewna. Jeb go podniósł i wcisnął mu w drżącą dłoń.

Było na niej napisane: „Wszyscy ludzie są braćmi! Chwalcie Pana!”.

Jeb teraz jeszcze mniej pojmował, dlaczego strzelano do starca. Gdy się nad tym zastanawiał, zabrzmiał kolejny strzał i obok jego prawego buta odprysnął kawałek asfaltu.

– To był strzał ostrzegawczy – powiedział metaliczny głos. – Kolejnego ostrzeżenia nie będzie.

Zostaw tego mężczyznę! Podnieś ręce.

– Chłopcze, musisz stąd uciekać.

– Porozmawiam z nimi – stanowczym głosem powiedział Jeb.

– Tu nie ma o czym mówić. Albo nas zastrzelą, albo wsadzą do więzienia, co byłoby jeszcze gorsze.

Nikt stamtąd nie wraca.

– Jest aż tak źle?

Mężczyzna smutno pokiwał głową.

– To złe czasy.

Jeb podjął decyzję. Jeszcze zanim Fernando zaczął się wzbraniać, Jeb ruszył. Ciało starca bezwładnie zwisało z jego ramienia, buty szurały po asfalcie, wywołując pusty dźwięk w pełnej napięcia ciszy.

Czy żołnierze do niego strzelą? Był nieuzbrojony, pomagał rannemu. Czy ci ludzie mogli być aż tak brutalni?

Znowu huk. Odłamki kamieni potoczyły się po ulicy, a przed stopami Jeba pojawiła się mała dziura.

– To ewidentnie ten...! – ktoś wrzasnął, ale Jeb nie słuchał, tylko skupił się na swoich krokach.

Czuł mrowienie w karku. Miał wrażenie, że w każdej chwili kula może trafić go w plecy i powalić.

Mimo to szedł dalej.

I nie stało się nic.

Głos zamilkł.

Nagle pojawił się przed nim León. Bez słowa chwycił luźne ramię starca i razem wyciągnęli go z linii strzału, pod daszek wejścia do domu.

– Co ty robisz? – szepnął León. – Koniecznie chcesz, żeby cię zastrzelili?

– Widziałeś to?

– Tak. Wszystko. Co to za gnoje?

Jeb skinął głową w kierunku Fernanda.

– On mówi, że wojsko i policja. Najwyraźniej jest stan wyjątkowy. Dzielnica została zamknięta... – Wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia.

– Oni zastrzelili Pabla Gonzalesa – wycharczał starzec. Wyciągnął rękę do Leóna. – A poza tym mam na imię Fernando.

– A ja León. – Na dźwięk nazwiska Pabla Gonzalesa po plecach Leóna przeszedł dreszcz. Skądś... to nazwisko było mu znajome.

– Chłopcze, napędzasz mi strachu! – Staruszek dotykał palcem tatuaży Leóna. – Czyżbyś zszedł na złą drogę?

Jeb uznał tę uwagę za dziwną, ale León się w to nie zagłębiał, tylko zapytał: – Kim jest Pablo Gonzales?

– Nie wiecie? – zapytał zdziwiony staruszek. – Nie wyjeżdżajcie mi teraz z historią, że

właśnie przybyliście. Każdy w Stanach Zjednoczonych zna Pabla Gonzalesa.

Przy słowach „Stany Zjednoczone” Jeb drgnął. Wrócili do domu. W końcu, po wszystkich tych mękach i trudach, znaleźli dom.

Spojrzał na Leóna, ale jego mina była nieprzenikniona. Z wargami zaciśniętymi w kreskę wpatrywał się w mężczyznę.

– Rzeczywiście – powiedział po chwili Fernando. – Nie macie pojęcia, o czym mówię. Zadziwiająco.

– To długa historia – wtrącił León.

– Tak, tak, to już powiedział twój przyjaciel. Dziękuję wam za pomoc. – Starzec się rozkaszał i dopiero po kilku sekundach doszedł do siebie.

Jeb rozpiął mu marynarkę i oglądał ranę postrzałową. Dokładnie tak jak w przechodzonym garniturze, również w białej koszuli Fernanda był czysty otwór po wlocie kuli.

Nie było widać żadnej krwi. Ani kropelki. Jednak skóra pod koszulą była naruszona. Chudy bark starca był jakoś krzywo ułożony w stawie, jak po silnym uderzeniu. I był w nim otwór tej wielkości co nabój.

Jeb nie mógł oderwać oczu od uszkodzonej skóry i różowych mięśni pod nią. Wyciągnął rękę, ale drgnął, zanim zdążył dotknąć Fernanda.

Przecież sam widział, że kula go trafiła! Gdzie, u diabła, była krew? Zaskoczony patrzył na Leóna, który z równie szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w suchą ranę.

– Jest bardzo źle? – zapytał Fernando wciąż przytomnym, spokojnym głosem.

Jeb opanował się pierwszy.

– Tak, tak... Powinniśmy pana zaprowadzić do lekarza.

– Nie, nie – sprzeciwił się Fernando. – Nie potrzebuję lekarza. Czuję się dobrze, prawie mnie nie boli. Poza tym moja córka Carmelita jest pielęgniarką. Wprawdzie niezbyt dobrą...

– Zachichotał. – Ale mi pomoże.

– Gdzie pan mieszka? – zapytał Jeb, który zmusił się do spojrzenia starszemu w oczy.

Nie na jego ramię, cudownie przedziurawione, ale sprawiające wrażenie prawie nienaruszonego. Nie *bolało* go?

– Och, niedaleko stąd. – Fernando się uśmiechnął i wskazał ręką kierunek.

– Niech nam pan pokaże drogę, a my pana tam zaprowadzimy.

– Zaraz, chłopcy, pozwólcie mi opowiedzieć do końca. Chcieliście się wszystkiego dowiedzieć o Pablo, tak?

Jeb i León wymienili spojrzenia.

Potem León zapytał:

– Co z tym Pablem?

– Pablo Gonzales był zupełnie zwyczajnym mężczyzną. Żona, dwoje dzieci, pracował w wypożyczalni samochodów i grzecznie chodził co niedziela do kościoła. Wzorcowy imigrant, jak powiedzieliby *gringos*. – Westchnął. – Przed tygodniem Pablo chciał pojechać do pracy, gdy zatrzymało go czterech białych policjantów. Jeden z nich twierdził później, że Pablo sięgnął po broń ukrytą pod siedzeniem, więc go zastrzelili. To się nazywa obrona konieczna. Pablo Gonzales dostał siedemnaście kul. Miał tak wiele dziur w ciele, że patolog podczas sekcji ledwie znalazł miejsce na skalpel. – Fernando przejechał ręką po włosach.

– Problemem w tej całej historii było to, że Pablo nigdy nie miał broni, jego żona przysięgała, że tak było, bo i po co też miałby ją mieć jako drobny urzędnik. W samochodzie jednak znaleziono trzydziestkęósemkę. Naładowaną. – Fernando uważnie

spojrzał na Leóna i Jeba tak podekscytowany, jakby chciał od nich usłyszeć, jak im się ta historia podobała. Niczym serdeczny gawędziarz. Nie jak ktoś, kto właśnie został postrzelony przez żołnierzy. – Skąd się tam wzięła broń? – ciągnął Fernando. – Policja twierdziła, że to była broń Pabla, ale wszyscy w Barrio znali prawdę.

Czterej biali gliniarze kropnęli biednego Meksykanina. Po prostu. Dlatego że był Latynosem. Może Gonzales ich obraził, skąd mam wiedzieć, ale siedemnaście kul nie może być na to odpowiedzią.

– I co się stało później, dlaczego teraz dzielnica jest zamknięta? Z powodu siedemnastu kul i podrzuconej broni?

Jeb zacisnął oczy. Nagle ten świat wydał mu się już nie tak znajomy jak przed kilkoma minutami. Jak długo już tu byli? Stracił poczucie czasu, był niespokojny, spragniony i czuł, że czas im ucieka.

– Ludzie demonstrowali przeciwko świadomej przemocy policji. Potem wybuchły pierwsze zamieszki.

Podpalano samochody, plądrowano sklepy. Z początku policja próbowała jeszcze się powstrzymać, ale gdy na ulicy tłum zatrzymał patrol i pobił dwóch policjantów na śmierć, sięgnięto po drastyczne środki. Wkroczyło wojsko. Barrio została zamknięta. Wprowadzono stan wyjątkowy. Od tego czasu strzelają do wszystkiego, co się do nich zbliży albo próbuje wydostać się z dzielnicy.

León nawiązał do pytania, ale Fernando przerwał mu ruchem ręki.

– Jeszcze nie skończyłem. – Odchrząknął. – To wszystko nie było najgorsze, bo teraz uliczne gangi uznały, że nadszedł ich czas, by uregulować stare porachunki. Twarde chłopaki, jak twój kumpel. Ulice stały się polem walki. Chodzi o władzę, narkotyki i pieniądze. Duże pieniądze. Kto gdzie rządzi? Kto kontroluje dzielnicę? Mało tego. Teraz, kiedy nikt nie mógł ich powstrzymać, zaczęło się mordowanie i plądrowanie. Obrabowywano sklepy, ale też zwykłych ludzi. Brali dla siebie, co tylko mogli. Życie publiczne się załamało. Odcięto prąd. Ruch uliczny nagle zamarł, ponieważ nie było benzyny. Bo i skąd?

Do Barrio nic nie wjeżdżało i nic stąd nie wyjeżdżało. Kisiliśmy się tu we własnym sosie. Na zewnątrz skorzy do strzelania policjanci i wojsko, tu w środku naćpani mordercy, którzy nie cofną się przed niczym. Zupełnie szczerze, chłopaki, znaleźliście sobie świetny moment, żeby się tu pojawić.

Jeb i León wymienili naglące spojrzenia.

W końcu León zapytał:

– Co rozumie pan, mówiąc o chłopakach takich jak ja? Dlaczego miałbym mieć z nimi coś wspólnego?

– Patrzyłeś kiedyś w lustro? Z tymi tatuażami wyglądasz cholernie podobnie do wyrostków z tej okolicy.

– Gdzie my jesteśmy? Jak nazywa się to miasto? – Jeb widział, jak León przełyka ślinę. On sam wstrzymał oddech.

– Jesteście zabawnymi facetami. Tego też nie wiecie?

– Nie! – warknął León.

– To powinienem was przywitać. – Staruszek się uśmiechnął. – Witajcie w Los Angeles.

Mary wzięła Jennę za rękę. Powoli poszły w kierunku ulicy i wyjrzały zza rogu domu. Ostrożnie, pochylone i wciąż pod ścianami domów przemykały dalej. Przechodziły obok zaryglowanych drzwi i zabitych gwoździami okien. Nad wszystkim unosiła się nienaturalna cisza. Mary wciągnęła powietrze i się skrzywiła. Wiatr niósł ciemne kłęby z kopającego pojazdu. Przenikliwie śmierdziało paloną gumą.

– Cholera, nic nie widzę – cicho narzekała Jenna.

Mary z uwagą się rozejrzała. Ani śladu Leóna i Jeba. Gdzie oni zniknęli? Nie było po drodze otwartych drzwi ani bocznych uliczek.

Mary powędrowała wzrokiem w górę po ścianach domów. Może ktoś był na dachu jednego z domów, ale również tam nikogo nie dostrzegła. Wyglądało to tak, jakby były jedynymi osobami w tym opuszczonym mieście.

Po cichu przemykały dalej. W pewnej odległości od końca ulicy znalazły za niskim murkiem zadaszenie, skąd droga prowadziła do wejścia do piwnicy.

Tuż przy ścianach przemykały dalej. Nagle natknęły się na ukryte wejście do domu. Jeb i León siedzieli przed nim w kucki, a na ich ramionach spoczywał starszy mężczyzna. Mary natychmiast dostrzegła ranę postrzałową.

– Tu jesteście! Bardzo się martwiłyśmy. Kto to? – już wołała Jenna.

– I co się stało? Boli pana? – zwróciła się do obcego Mary.

– Nie, ze mną wszystko w porządku, nie martwcie się. Nazywam się Fernando Caracas, moja pani – przedstawił się staruszek. Mary szybko na niego spojrzała, a potem speszona skinęła głową. Jej wzrok wciąż powracał do czystej rany postrzałowej na ramieniu mężczyzny.

– Co się wydarzyło? Coś wam się stało? – dopytywała się Jenna.

– Nic, wszystko w porządku – spokojnie odpowiedział Jeb.

– Kto strzelał?

– Nie wiemy dokładnie. Wojsko albo policja. – León wzruszył ramionami.

Mary najchętniej by nim potrząsnęła. Dlaczego tak spokojnie tutaj siedzieli, kiedy powinni opatrzeć ранego?!

– Policja?! – z niedowierzaniem powtórzyła Jenna.

– Tak, tu jest stan wyjątkowy. Ale zgadnijcie, gdzie wylądowaliśmy. To Los Angeles! – Jeb niemal promieniał. – Jestem pewny, że wróciliśmy do domu. To może być nasz świat. Czy to nie wspaniale?

Jenna i Mary patrzyły na niego zdziwione.

– Naprawdę tak myślisz? W przesłaniu było napisane coś o sześciu światach, a ten tutaj jest dopiero czwarty.

– Tak, ale rozejrzyj się, wszystko wydaje nam się znajome. Jesteśmy w Ameryce, w Los Angeles.

Każde z nas już kiedyś słyszało tę nazwę i wie, o czym mowa.

– To nie całkiem tak. Wiem, że jeszcze nigdy nie byłam w Los Angeles. Dla mnie to wszystko jest obce, w każdym razie w większości. Nie jestem stąd – zauważyła Mary.

– Tak samo jest ze mną. A co ty myślisz, León?

Miał zaciśnięte wargi. Mięśnie szczęki pracowały. Wszystko w nim nagle wydało się obce i Mary zrezygnowała z położenia mu ręki na ramieniu.

– Nie wiem! – warknął. – Fernando mnie speszył. Znow wszystko rozpoznaję. Te zaniedbane domy, zapuszczone ulice, gliny i wojskowych, którzy strzelają do ludzi. Gangi opychające narkotyki i walczące o teren. Wszystko to tutaj wdycham. Przemoc i amok, nienawiść i rozpacz. A jednak jest mi to obce.

Jakby dawno mnie tu nie było.

Zanim ktokolwiek z grupy zdążył coś powiedzieć, w rozmowę wtrącił się Fernando: – Ludzie, mówicie dziwne rzeczy. To brzmi jak z hollywoodzkiego filmu i jestem bardzo ciekawy, ale powinniśmy stąd zniknąć. Gliny czają się za blokadą i na pewno zadają sobie pytanie, gdzie się podziewamy. Lepiej, żebyście nie wpadli w ręce tych ludzi.

– Są aż tak źli? – cicho zapytała Mary.

Fernando skinął głową.

– Dobrze – zgodził się Jeb. – Mówił pan, że mieszka pan niedaleko. Odprowadzimy pana.

Starszy mężczyzna wyciągnął rękę do Jenny, która podciągnęła go na nogi, ale zaraz potem Fernando znow opadł na ziemię. Cicho jęknął.

– Jednak mocniej mnie trafiło, niż myślałem.

– Możemy pana zanieść – zaproponował Jeb i Mary zobaczyła, że on i León wymienili spojrzenia.

Tymczasem dostrzegła, co dziwnego było w tym człowieku: nie krwawił. Nawet jeśli bardzo chciała o to zapytać obydwu chłopaków, nie miała odwagi w obecności Fernanda.

– Nie, sam to zrobię. – León schylił się i bez trudu podniósł staruszka.

Ten jak dziecko spoczywał w jego ramionach, a głowa leżała na ramieniu Leona.

– Niech was za wszystko Bóg błogosławi – szepnęła.

– Dokąd idziemy, Fernando? – zapytał Jeb.

– Najpierw po prawej w dół ulicy. Cztery bloki dalej skręcimy w boczną uliczkę, później już niedaleko.

– To ruszamy! – zawołał León, wyszedł na ulicę i natychmiast odwrócił się w prawo.

Jeb, Jenna i Mary podążyli za nim. Wszyscy mieli wrażenie, że ktoś ich obserwuje, ale nikt do nich nie strzelał.

Gdy zeszli z głównej ulicy, zwolnili kroku. Leónowi pot ciekł po twarzy strumieniami i głośno dyszał.

Rzucił Jebowi ostrożne spojrzenie i nieśli Fernanda razem na splecionych rękach, żeby podzielić ciężar. Dopiero teraz León miał czas, żeby przyjrzeć się staruszkowi, i zauważył, że ma zamknięte oczy.

Na chwilę poraziła go myśl, że ten człowiek mógł umrzeć, ale potem poczuł, że klatka piersiowa rannego unosiła się i opadała. Fernando zasnął.

– Nie wiemy, dokąd mamy iść. Musimy go obudzić. – Jeb nagle zamilkł.

León odchylił głowę i spojrzał w promienny błękit nieba. Słońce było prawie pionowo nad nimi.

Musiało być około południa, a upał był prawie nie do zniesienia. Koniecznie potrzebowali wody. Przede wszystkim wody, nawet jeśli burczało im w brzuchach.

Wspomnienie wcześniejszego życia przytłaczało Leona od jego przybycia do tego świata. Widział swojego ojca leżącego na ulicy. Krew tworzyła ciemną kałużę wokół jego głowy, wyglądała jak aureola, którą właśnie zdawał się wsysać asfalt. Przeróżliwe krzyki mamy.

To, jak go chwyciła, zamknęła mu oczy i go ciągnęła. To, jak on chciał się rzucić na zwłoki ojca.

„Miałem sześć lat – pomyślał. – Byłem za mały, żeby rozumieć, ale dostatecznie duży, żeby znienawidzić”.

Nienawiść nigdy go nie opuściła, stała się jego krwią i oddechem. Wierną, mroczną towarzyszką na wszystkich ścieżkach.

Gdy podrósł, przyszedł czas na niego. Przyłączył się do dawnego gangu ojca. Stał się jego członkiem.

Inicjacja. Trzydzieści nieskończenie długich sekund, podczas których członkowie gangu bezlitośnie go bili. Zostawili kopniaki na ciele. I ślady pięści na twarzy.

Potem nagle wszystko się skończyło. Postawili go na nogi, strzepnęli kurz z koszulki i dżinsów. Po kolei go obejmowali i całowali. Na ich wytatuowanych twarzach malowała się szczerza radość, a każdy uśmiechał się do niego i nazywał bratem. Wtedy pierwszy raz od dawna poczuł coś podobnego do spokoju. Stał się częścią nowej rodziny. Od tego momentu miał już nigdy nie być sam.

Wewnętrzny spokój jednak minął i ustąpił miejsca mordowaniu.

„Zabiłem chłopaka – przypomniał sobie – tylko dlatego, że należał do innego gangu”.

León zagryzł zęby, aż zazgrzytały. Prawda go dogoniła. Przez chwilę wmawiał sobie, że jest zwyczajnym młodym chłopakiem. Ale nie był. Był zabijaką, kryminalistą i mordercą.

„Co powiedzieliby Jeb, Jenna i Mary, gdyby znali prawdę o mnie? – zastanawiał się. – Co Mary by o mnie pomyślała?”.

Odezwał się w nim lodowaty głos wewnętrzny: unikaliby cię. Nie rozumieliby tego.

„Baliby się ciebie i nienawidzili. I zostałbyś sam, jak zawsze”.

Na ulicy czuł się jak w swojej ojczyźnie. Czy tu walczył o przeżycie, czy gdzie indziej, nie odgrywało żadnej roli. Ale... powinien iść naprzód czy się cofnąć? O co walczył?

Nic nie wiedział o Jebie ani o tym, skąd pochodziła Mary. Jenna była z Niemiec. Kraju drogich samochodów. Oni wszyscy mieli jakieś życie, do którego mogli wrócić. Czekali na nich przyjaciele i rodziny. Tam, dokąd León zmierzał, mógł liczyć tylko na kulkę i to, że umrze szybko, jak jego ojciec.

„*Estoy hasta los cojones de todo esto.* Mam tego wszystkiego tak dość. Już tego więcej nie chcę.

Całej tej przemocy, to się nigdy nie skończy. Pewnego dnia padnę w błoto i nikt się o mnie nie zatroszczy”.

Spojrzał na Mary, a ona spojrzała na niego. Czy to możliwe, że naprawdę go nie oceniała, cokolwiek zrobił? I coś do niego czuła? Do wytatuowanego chłopaka, który był mordercą? Zakiełkowała w nim nadzieja.

Ale ta nadzieja smakowała gorzko. Jeszcze raz się rozejrzał i nie mógł sobie wyobrazić szczęśliwego życia w tej smutnej okolicy. Jego los nie był zapisany w gwiazdach, tylko w kurzu.

– Dobra, budzimy go. – León westchnął i ostatecznie oderwał się od swoich myśli. Jedną ręką podniósł brodę Fernanda, ale gdy cofnął rękę, głowa znów opadła. – Fernando – powiedział głośno i ostrożnie potrząsnął za zdrowe ramię staruszka.

Starszy pan otworzył oczy i rozejrzał się zmieszany.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał speszony.

León jęknął.

– Dokładnie tego chcieliśmy się dowiedzieć od pana. Powiedział pan, że mamy przejść

obok czterech bloków, a potem skręcić w boczną uliczkę. To właśnie zrobiliśmy.

Fernando rozejrzał się dookoła. Chyba powoli odzyskiwał jasność umysłu.

– Ach tak, wszystko dobrze. To już niedaleko. Ulicą w dół. Na drugim rogu trzeba skręcić w lewo. To trzeci dom, ma zakratowane okna z ostatniego stulecia i kamienny łuk nad drzwiami.

Po kolejnych dziesięciu minutach zatrzymali się przed starym, ale zadbanym domem z cegły, wznoszącym się na ponad dwa piętra i przykrytym dwuspadowym dachem. Nie było tu ogródka, ale mimo suszy w kamiennych donicach po prawej i lewej stronie wejścia na schody rosły kolorowe kwiaty. Drzwi rzeczywiście zdobił czerwonobrazowy łuk i nadawał całości elegancki, choć już nie najświeższy wygląd.

– Tu mieszkam – wycharczał staruszek i zakaszłał. – Po prawej na ścianie jest dzwonek... Ach, cholera, nie mamy przecież prądu. Zapukajcie po prostu.

Do tego nie doszło, bo w tej samej chwili drzwi gwałtownie się otworzyły. Otyła kobieta z gładkimi czarnymi włosami, w za wąskiej sukience w kwiaty, wybiegła i krzyknęła: – O mój Boże! O mój Boże! O mój Boże!

Zbiegła po stopniach jak orkan i prawie wyrwała Fernanda z ramion Jeba. Bez wysiłku trzymała staruszka, kołysała go to w jedną, to w drugą stronę.

– Co z tobą, tato? Co oni ci zrobili?

– Ma ranę postrzałową – odpowiedziała Jenna.

Jeb zauważył, że jej głos brzmiał niezdecydowanie, jakby nie była do końca tego pewna. Wydawało się, że córka Fernanda od razu pojęła stan ojca.

Kobieta podniosła wzrok i wpatrywała się w nich, w jedno po drugim.

– Kim jesteście? Nie jesteście stąd.

– To mili młodzi ludzie, którzy mi pomogli, Carmelito – wtrącił się Fernando.

– W prawym ramieniu – dodała Jenna.

Carmelita spojrzała na Jennę ze zmarszczonym czołem.

– Widzę, przecież krwawi! Jak dawno to było?... Och, tato! Co ty wciąż wyrabiasz na ulicy, teraz, w takich czasach! – Po tych słowach odwróciła się, pomogła ojcu wejść po schodach i zniknęła z nim w domu.

Drzwi zostawiła otwarte.

Jeb patrzył za nią z otwartymi ustami i widział, że pozostali są tak samo speszeni i przestraszeni jak on.

W końcu León wypowiedział irytującą myśl, która dręczyła wszystkich: – Krwawi? Ale... to nieprawda? Co... w co myśmy znowu wdepnęli, co ten gnój ma oznaczać? On nie krwawi, a ona mówi, że krwawi, co to ma znaczyć?!

Jeb musiał się oprzeć o ścianę obok drzwi, żeby się nie przewrócić. Doskwierał mu upał. Za wiele było tego dobrego. Poczuł, że Jenna położyła mu rękę na ramieniu, a potem powiedziała cicho: – Myślę, że żadne z nas nie wróciło do domu. Że to jeszcze nie koniec.

– Co teraz robimy? – zapytała Mary zadziwiająco mocnym głosem.

– Idziemy za nią – natychmiast odpowiedział Jeb.

Rana Fernanda zapowiadała się na jedną z ich niewyjaśnialnych zagadek. Jeb postanowił zastanowić się nad tym później. Jeśli znajdzie na to czas.

– Wszyscy potrzebujemy wody i chyba tam w domu jest telefon.

Dlaczego na widok domu od razu pomyślał o telefonie, nie potrafił wyjaśnić. Ta myśl przysłała mu do głowy, chociaż nie wiedział, do kogo miałby zadzwonić. Nie pamiętał, czy

ojciec miał telefon. A już zupełnie nie pamiętał żadnego numeru telefonu. Wydawało się, że z resztą grupy jest podobnie, bo patrzyli na niego bezradnie.

– Do kogo miałabym zadzwonić? – pytała samą siebie Mary. – Nie pamiętam nawet swojego nazwiska.

León potarł ręką czoło.

– Dobre pytanie, ale powinniśmy spróbować. Może wpadnie nam do głowy, kim albo skąd jesteśmy.

Jeb nie bardzo w to wierzył, dotychczas się tego nie dowiedzieli, więc dlaczego teraz miałyby być inaczej? Bardziej zaprzętała go rana Fernanda – a na własne oczy *widział*, jak go postrzelili, i *widział*, jak bardzo był osłabiony! Dlaczego nie krwawił?! To tylko potwierdzało, że wciąż byli uwięzieni. I to sprawiało, że Jeb się bał. Dlaczego przypomnieli sobie dużo szczegółów z wcześniejszego życia, osobiste sprawy i wydarzenia? I dlaczego żadne z nich nie pamiętało konkretnych dat ani faktów? Nikt nie wiedział, skąd dokładnie pochodzi. Jak nazywa się ulica, na której mieszkał. Każdy rodzaj twardych danych został wytarty z ich mózgow, a reszta to były wspomnienia i obrazy, które dowolnie się mieszały.

Te obrazy go niepokoiły. Mówiły o jego winie. Nie będzie łatwo, ale chciał coś zrobić, żeby więcej się o sobie dowiedzieć.

– Zgoda, wchodzimy – powiedział León. – W końcu zostawiła otwarte drzwi, można to rozumieć jako zaproszenie.

Jeb uśmiechnął się i trochę się rozluźnił. Pierwszy wszedł na górę po schodach. Odsunął ręką drzwi domu.

Przed nimi był długi ciemny korytarz. Po prawej na ścianie wisiały haki na ubrania. Stara drewniana komoda służyła do odkładania wszystkiego – między innymi listów, bejsbolówek i okularów przeciwsłonecznych. Przywitał go zapach jedzenia i przypomniał, jak bardzo był głodny. Za nim wśliznęło się troje przybyszy. Po morderczym upale ulicy domowy korytarz dawał ochłodę.

– Halo?! – zawołał Jeb.

– Wejdźcie wreszcie! – rozległ się energiczny kobiecy głos. – Jestem z Fernandem w sypialni. Prosto wzdłuż korytarza.

Sypialnia okazała się szerokim pomieszczeniem z wysokim, ozdobionym stiukami sufitem.

W pomieszczeniu dominowało duże łóżko, a przed nim leżał wydeptany dywan. Na wytapetowanych ścianach wisiały obrazki z chrześcijańskimi motywami. Jezus nad jeziorem z rybakami, Jezus wjeżdżający do Jerozolimy i Jezus wiszący na krzyżu.

Gdy Jeb zobaczył obrazki, pojawiły się kolejne wspomnienia. Nie mógł się w nich zatopić, bo to nie był właściwy moment i miał tylko nadzieję, że powrócą.

Carmelita zdjęła ojcu marynarkę, położyła go na łóżku i rozcinała mu nożyczkami koszulę. Robiła to ostrożnie i fachowo, co potwierdzało, że uznała ranę ojca za ciężką. Żadne z nich nie mogło zobaczyć tej rany w jej całej okazałości. Kiedy Carmelita opatrywała ojca, krytycznie spoglądała na młodych ludzi, a jej spojrzenie zawisło na Leónie. Jeb czuł się coraz mniej komfortowo. Milczenie Carmelity mogło oznaczać, że była im wdzięczna za przyniesienie jej ojca, ale chciała, by jak najszybciej wynieśli się z jej domu. Albo też, że nie wiedziała, jak ma ocenić tych czworo pokrytych kurzem, nieumytych młodych ludzi: byli przyjaciółmi czy wrogami?

Zanim zdążyła zrobić jakąkolwiek uwagę do tatuaży Leóna, Jeb z ulgą przyjął to, że Jenna poprosiła o wodę. Kobieta oderwała wzrok od Leóna i dosłownie rozpromieniła się,

patrzając na Jennę.

– W kuchni znajdziecie pełny dzban, obsłużcie się. Wody mamy pod dostatkiem. Kiedy sprawy zaczęły wymykać się spod kontroli, napełniłam wannę i wszystkie miski, jakie znalazłam. Więc starczy dla wszystkich.

– Carmelito, proszę – z wyrzutem powiedział staruszek. – To nasi goście.

Gruba kobieta zachichotała: – Tato, jak zwykle oczywiście masz rację.

Jenna, León i Mary zniknęli w kuchni. Jeb słyszał tylko, jak wszyscy troje głośno pili. Chętnie poszedłby za nimi, ale to nie był dobry moment. Znaleźli pomoc i postanowił poprosić o każde wsparcie, jakie mogą uzyskać w tym nowym, wrogim świecie.

– Przepraszam, to jest... Przez całą wieczność nic nie jedliśmy. Czy byłoby...

– Weźcie sobie, czego potrzebujecie. Wystarczy dla wszystkich. W lodówce wprowadzicie nie ma prądu, ale jest w niej masło i chleb. W komórcie obok pieca znajdziecie kiełbasy, szynkę i ser. Ugotowałam wam coś ciepłego, ale jak wiadomo, nie mamy prądu.

– To wystarczy. Bardzo dziękujemy.

León znalazł szklanki i wciąż napełniał je dla wszystkich. Jeb i dziewczyny pospiesznie pili dużymi łykami. Jeszcze nigdy woda nie smakowała im tak bardzo, była zimna i wręcz słodka. Gdy zaspokoili pragnienie, zameldował się głód.

W kuchni tak intensywnie pachniało jedzeniem, że Jebowi ślina napłynęła do ust. Spiżarnia była miejscem jego marzeń. Na hakach wisały suszone kiełbasy i wielka szynka. Aromatyczny ser wypełnił pomieszczenie swoim zapachem. León znalazł nóż, a Jeb przyniósł żywność do kuchni.

Jenna i Mary wyjęły talerze, położyły na nich chleb i masło. Jedli w milczeniu. Jeb rozkoszował się jedzeniem, każdym kęsem. Kiełbasa, chleb i szynka smakowały wybornie.

Potem przyszła Carmelita.

– Teraz śpi – powiedziała cicho i zamknęła drzwi na korytarz. – Jak widzę, wszystko znaleźliście.

Najedzcie się do syta, w takich czasach człowiek nie wie, kiedy zje następny posiłek. – Natarczywie przyglądała się Leónowi. – Ludzi takich jak ty zazwyczaj nie przyjmuję u siebie w domu, ale ty pomogłeś mojemu ojcu.

– Co pani ma na myśli, mówiąc o ludziach takich jak on? – zapytała Mary.

– Nie wiecie, co przez to rozumiem? Przyjrzyjcie mu się!

– Nie jesteśmy stąd – wyjaśniła Jenna. – To dotyczy również jego. – Kiwnęła głową w kierunku Leóna, który zawzięcie wpatrywał się w swój talerz.

– Trudno, nie chcecie mi powiedzieć, co z wami jest, to muszę z tym żyć.

Sprawiała wrażenie rozszłoszczonej.

Jeb zastanawiał się przez chwilę, czy nie powiedzieć jej prawdy, ale wiedział, że Carmelita mu nie uwierzy. Ta historia była zbyt szalona, by mogła w nią uwierzyć. Spojrzał na resztę i widział, że myślą tak samo. Nikt nie powiedział ani słowa. Wszyscy wpatrywali się w talerze.

– Przepraszam – w końcu Jenna przerwała ciszę. – Czy ma pani może komórkę?

Zaskoczony Jeb podniósł wzrok. Słowo „komórka” wywołało całą burzę skojarzeń. Ratunek wydawał się w zasięgu ręki. Pozostawało pytanie, do kogo Jenna chciała zadzwonić. Czyżby przypomniała sobie kolejne szczegóły swego dawnego życia?

– Komórkę? – Carmelita pokręciła głową. – Nie, takich rupieci nie potrzebujemy, ale możecie skorzystać z telefonu stacjonarnego. Stoi w salonie. – Carmelita wskazała zamknięte drzwi prowadzące z kuchni.

– Ale mówiła pani, że nie ma prądu.

Wzruszyła ramionami.

– Czasem działa, a czasem nie. Spróbujcie szczęścia.

Jenna wstała, popatrzyła na resztę. Razem poszli do salonu. Pomieszczenie powitało ich stęchłym powietrzem, jakby długo nie było wietrzone. Pod nisko opuszczone rolety wpadało światło słońca, pokazując kurz powoli opadający na podłogę.

Po prawej przy ścianie stała wysłużona sofa, naprzeciwko niej sięgający do sufitu regał, wypełniony po brzegi książkami. Dwa skórzane fotele, wyglądające na wygodne, zgrupowano wokół niskiego stolika z dymnego szkła. Niedaleko od nich przy ścianie znajdowała się komoda, a na niej stał bezprzewodowy telefon.

Jenna podniosła słuchawkę i nasłuchiwała.

– Działa. Chce ktoś z was? – zapytała.

Nie potrafiła ukryć, że głos jej trochę drżał.

Mary pokręciła głową. León już od paru chwil nic nie mówił i wydawało się, że teraz też nie chce mówić. Odpowiedź Jeba była taka jak reszty: – Nie.

– A ty? – zapytała Mary. – Znasz kogoś, do kogo możesz zadzwonić?

Jenna zamknęła oczy. Czuła, jak jej szczęki się zaciskają. W głowie układały się myśli.

– Moja matka – wydusiła wreszcie.

Takie skupienie przyprawiło ją o ból głowy. Wewnętrznie była całkowicie spięta. Jakby musiała myśleć wbrew wewnętrznemu oporowi.

– Pamiętasz ją?

– Trochę. Właściwie lepiej pamiętam babcię.

– Znasz numer telefonu? – Jeb patrzył na nią zachęcająco.

– Nie jestem pewna. Może wpadnie mi do głowy przy wybieraniu. – Jenna intensywnie myślała o Hamburgu, potem spojrzała na wyświetlacz i nagle wybranie numeru przestało być problemem.

Następnie wybrała pierwszą cyfrę, która jej przyszła na myśl. Dziewiątkę.

W tym momencie wpadła jej do głowy druga cyfra.

Jeden.

Potem się zacięła. Jaka była następna? Jej szczeka znów zaczęła pracować. Czuła, jak pot występuje na czoło.

Trzy.

„Siedem. Proszę, jak to dalej szło? – błagała w duchu. – Podaj mi tę liczbę”.

Siedem.

Osiem.

Pięć.

Więcej liczb po prostu nie przyszło Jennie do głowy. Intensywnie wsłuchiwała się w sygnał. Gdzieś w oddali coś kliknęło. Nic poza tym. Nikt nie podniósł słuchawki. Nie słyhać było nawet ciągłego sygnału. Zrezygnowana odwróciła słuchawkę w stronę pokoju.

– To...

Ze słuchawki rozległ się jakiś głos: – Centrala South West – zgłosiła jakaś kobieta.

Jenna szybko przycisnęła słuchawkę z powrotem do ucha.

– Halo – powiedziała.

– Co mogę dla pani zrobić?

– Chciałabym porozmawiać ze swoją matką.

– Nazwisko i miejscowość, proszę – zażądał głos.

„Nazwisko! – pomyślała. – Jak ja się nazywam? Jenna... Jenna Sommer. Nazywam się Jenna Sommer.

Moja matka ma na imię Claudia”.

O mało nie wykrzyczała tego głośno i tylko powiedziała: – Claudia Sommer. Hamburg.

– Hamburg w Michigan?

Jenna drgnęła.

– Nie, nie, Hamburg w Niemczech.

– Chce pani zamówić rozmowę na koszt odbiorcy?

Jenna nie wiedziała, że to możliwe, ale damski głos zaczął tymczasem brzmieć tak podejrzliwie, że po prostu powiedziała „tak”. Ta kobieta nie mogła odłożyć słuchawki. Chodziło o tak wiele słów.

O wszystko. Była blisko rozmowy z matką. Wszystko mogło dobrze się skończyć. Walka o przetrwanie mogła się skończyć tu i teraz.

Przez chwilę było cicho, potem kobieta znów się zgłosiła.

– Nie mogę znaleźć na liście Claudii Sommer. W Hamburgu jest tylko jeden abonent o tym nazwisku, pani Hertha Sommer.

– To moja babcia! – zawołała Jenna, która przypominała sobie elegancką siwowłosą damę.

Jednocześnie dziwiła się, że w Hamburgu jest tylko jeden abonent o tym nazwisku. Nazwisko Sommer nie było rzadkie. Jęknęła.

– Panienko, dobrze się panienka czuje?

– Tak, tak. Mogłaby mnie pani z nią połączyć?

– Ponieważ to rozmowa międzykontynentalna, chwilę potrwa łączenie i muszę zapytać, czy pani babcia jest gotowa przejąć koszty tej rozmowy. Jak się pani nazywa?

– Jenna Sommer.

– Proszę zostać przy aparacie.

Jenna przykryła dłonią mikrofon w słuchawce. Spojrzała na swoich towarzyszy przeszcześliwa.

– I co? Powiedz już – zażądała Mary.

– Jest tam jakaś kobieta, która siedzi w centrali i chce mnie połączyć z babcią. – Jenna westchnęła.

Numeru telefonu swojej matki nie znalazła. To dziwne, ale najważniejsze, że mogę porozmawiać z kimś ze swojej rodziny.

Mary się rozpromieniła. Ale gdy Jenna spojrzała na Jeba, zauważyła, że z namysłem zmarszczył czoło.

– O co chodzi? – zapytała Jenna.

– To, że poszło tak łatwo, budzi moje podejrzenia. Po wszystkim, co przeszliśmy, to zbyt proste, by wziąć do ręki słuchawkę i zadzwonić do kogoś bliskiego, kto odbierze. Myślę...

Przerwał mu głos ze słuchawki.

– Panno Sommer?

– Tak?

– Pani rozmowa.

Potem zabrzmiało w oddali kłapnięcie. Jakiś kobiecy głos powiedział: – Sommer.

– Babcia?! – zawołała do słuchawki Jenna.

– Kto mówi?

Głos brzmiał dziwnie. Zniknęła z niego miękkość i łagodność. Czy to była jej babcia?

– Rozmawiam przecież z panią Sommer – powiedziała Jenna. Na łączach zaczęło szumieć i trzeszczeć.

– Tak, owszem, ale kto mówi?

– To ja, Jenna.

– Kto?

– *Jenna*, twoja wnuczka, babciu!

– Musiała mnie pani z kimś pomylić. Ja nie mam wnuczki. Kim, u diabła, pani jest?!

„Co? Co ona mówiła?”

W słuchawce trzeszczało coraz mocniej. Odgłos przypominał pukanie w mikrofon.

– Czy jest tam mama? – Jenna teraz już wrzeszczała.

Bała się, że przy telefonie jest niewłaściwa kobieta, ale jeszcze bardziej obawiała się przerwania tej rozmowy. Nawet jeśli głos jej babki brzmiał inaczej niż zwykle, Jenna jednoznacznie go rozpoznała i w tym czasie to było wszystko, co miała. Wszystko, co było pomiędzy nią a czarną rozpaczą.

– Kim pani jest i czego pani chce?! – usłyszała nerwową odpowiedź.

– Chcę rozmawiać z moją babcią. Herthą Sommer.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza. Jenna myślała, że połączenie zostało przerwane, bo nie słychać było nawet klikania i szumów.

Potem kobieta po drugiej stronie łącza powiedziała: – Moja córka, Claudia, ma dwa lata. Nie mam wnuczki i nie jestem babcią. Musiała pani pomylić numery.

Odłożyła słuchawkę.

– Nie! – wrzasnęła Jenna. – Nie, nie, nie.

Upuściła słuchawkę, która z hałasem spadła na komodę.

– Ja tego nie rozumiem – szepnęła. – Nie rozumiem.

León i Mary patrzyli na nią zmieszani. Jedyny człowiek na świecie, który mógł jej pomóc, właśnie odłożył słuchawkę. Połączenie z jej prawdziwym życiem zostało zerwane, a ona niczego nie rozumiała.

Ta kobieta była jej babcią, a z drugiej strony nie była. Im dłużej Jenna się nad tym zastanawiała, tym bardziej wierzyła w pomyłkę. Na pewno głos babki brzmiał znajomo, ale czy mogła być go pewna? Jenna podniosła słuchawkę. Znów chciała wybrać numer, gdy dłoń Jeba spoczęła na jej dłoni.

– Daj spokój, Jenno. To nie działa, nie ma tu połączenia z naszym prawdziwym życiem. – Coś trzymał w dłoni. Jego spojrzenie było poważne. Bardzo poważne.

– Myślę, że mamy o wiele większy problem – powiedział cicho.

W rękę trzymał złożoną gazetę – „Los Angeles Times”.

W oczy rzucił się nagłówek:

BURMISTRZ OGŁASZA STAN WYJĄTKOWY!

Jenna przebiegła artykuł wzrokiem. Wszystko, co przeczytała, było dla niej mniej lub bardziej niezrozumiałe. Najwyraźniej chodziło o to, że burmistrz po ciągłych zamieszkach ogłosił stan wyjątkowy, a policja i wojsko odcięły teren, by zapobiec rozprzestrzenieniu się niepokoju na inne części miasta. To wszystko niewiele zmieniało w ich sytuacji, ale nieco

nizej na stronie był kolejny tekst, któremu poświęciła uwagę dopiero, gdy wpatrzyła się w cztery przedstawione w nim fotografie. Były trochę nieostre, a mimo to można było rozpoznać na nich ludzi.

León, Jeb, Mary i ona sama patrzyli na nią z gazety. Jej serce zaczęło galopować, gdy przeczytała podpis pod zdjęciami.

**POSZUKIWANI Z POWODU PODŻEGANIA DO ZAMIESZEK I ROZMYŚLNEGO
PODPALENIA!**

Jennie zmysły odmówiły posłuszeństwa.

Gdy otworzyła oczy, miała wrażenie, że minęło tylko kilka minut. Leżała na podłodze, na starym, wytartym dywanie. León i Jeb siedzieli w kucki po jej lewej stronie, Mary po prawej.

– Już w porządku? – zapytał Jeb.

– Tak – słabym głosem odpowiedziała Jenna. – To... to był tylko strach. – Spojrzała na Mary i Leóna.

– Czytaliście artykuł?

– Oboje skinęli głowami. – To nie my jesteśmy na zdjęciach – powiedziała Mary. – To nie możemy być my.

– Ale musisz przyznać, że wyglądają cholernie podobnie do nas. – Jenna wstała.

– Jak to możliwe? Wszystko wydaje się tu wprawdzie znajome, ale też jakieś obce. Zadzwoiłaś do swojej babci i lipa. To chyba jasne, że nigdy tu nie byliśmy. Jak więc możemy być poszukiwani? – nie rozumiała Mary.

– Nie chcę nikogo straszyć – wtrącił Jeb. – Ale Jenna ma rację. Ci ludzie na zdjęciach wyglądają bardzo podobnie do nas. Do tego szukają dwóch chłopaków i dwóch dziewczyn. Tu jest napisane czarno na białym: „Jedna z poszukiwanych ma czarne włosy, druga jest blondynką”. Ja również jestem dokładnie opisany, a León jest tak charakterystyczny, że nie można mieć wątpliwości. Kiedy się ogląda te zdjęcia i czyta nasze listy gończe... Po prostu nie wierzę, że w tym czasie i w tym miejscu jest czworo ludzi, którzy są do nas tak bardzo podobni.

– Ale tu piszą o podżeganiu do niepokojów i podpalaniu. Nie mamy z tym nic wspólnego.

– Głos Mary prawie przeszedł w falset.

– Kto to wie – ledwie słyszalnie powiedział León.

Wszyscy spojrzeli na niego speszeni.

– Tak przecież może być, prawda? Nie pamiętamy swojej przeszłości, a jeśli, to tylko okruchy. Jest więc możliwe, że we wcześniejszym życiu robiliśmy rzeczy, które teraz się na nas odbijają.

– To by oznaczało, że w prawdziwym życiu byliśmy...

Z tyłu zabrzmiał mocny głos Carmelity.

Jeb schował gazetę za plecami.

– Co z tobą, młoda damo? – Hałaśliwie podeszła bliżej i ze stęknieniem przyklękła obok Jenny.

Wzięła jej rękę i położyła wskazujący i środkowy palec na nadgarstku dziewczyny. Bezgłośnie poruszała wargami.

– Trochę szybki puls – oznajmiła. Potem dotknęła czoła Jenny. – Jesteś w ciąży, dziewczyno?

Jenna mimo woli się zaczerwieniła.

– Nie.

– Wprawdzie nie masz gorączki, ale jesteś blada jak ściana. Zakładam, że to wszystko było dla ciebie bardzo wyczerpujące. – Jenna chciała coś odpowiedzieć, zapewnić, że czuje się dobrze, że tylko potrzebuje chwili, by stanąć na nogach, ale Carmelita mówiła dalej: –

Skontaktowałaś się ze swoją rodziną?

Jenna pokręciła głową.

– Musisz odpocząć, dziecko.

Nagle z ulicy dobiegł odgłos wystrzałów. Wszyscy poza Carmelitą drgnęli. Gruba kobieta powiedziała jedynie: – Tak jest od wielu dni. Z powodu gangów ulice są niebezpieczne, bandyci hulają po okolicy i strzelają do wszystkiego, co im wpadnie pod lufy. Świat jest w nieładzie, ale Bóg, nasz Pan, ukarze ich za te grzechy i wyśle do piekła, gdzie za swoje przewinienia będą pokutować w wiecznych płomieniach.

– Gdy zobaczyła przestraszone twarze czwórki młodych ludzi, dodała jeszcze szybko: – Przepraszam. Faktem jest – mówiła dalej – że gdy jest widno, lepiej nie wychodzić na ulicę. Jest zbyt niebezpiecznie. Musicie poczekać, aż zapadnie noc. Do tego czasu możecie zostać tutaj i trochę odpocząć. Nasz dom stoi przed wami otworem.

– Dziękuję – powiedział w imieniu wszystkich Jeb. – Jesteśmy bardzo wdzięczni za wszystko, co pani dla nas robi.

– Uratowaliście mojego ojca, jestem waszą dłużniczką.

Carmelita spojrzała na swoje pomarszczone ręce. Jaskrawoczerwony lakier na paznokciach łuszczył się w kilku miejscach. Potem podniosła wzrok i spojrzała na Jeba.

– Dokąd się wybieracie?

Jenna obserwowała Jeba, który ani chwili nie zwlekał z odpowiedzią: – Z tego miasta na północ.

To była cholernie niejasna odpowiedź i chociaż Jenna była pewna, że Carmelita wiedziała, iż coś ukrywają, skinęła tylko głową.

– Na pewno jesteście zmęczeni, w każdym razie wyglądacie na zmęczonych. Dwoje z was może zostać tu w salonie, dla dwojga przygotowałam mały pokój gościnny na końcu korytarza.

Uniosła brwi.

– Zakładam, że jesteście dorośli, dlatego nie chcę wam wyznaczać pokoi. Mój ojciec śpi i przez dłuższy czas się nie obudzi, bo podałam mu silny środek nasenny. On też nie będzie mógł dobrze podzielić owieczek, które Bóg mu zesłał w godzinie próby. – Puściła do nich oko. – Jeśli czegoś będziecie potrzebować, jestem w kuchni. Koce znajdziecie w komodzie.

Wstała i wyszła z pokoju. Ledwie zniknęła, Jenna cicho zapytała: – Czy powinniśmy tu zostać, czy od razu udać się w drogę?

– A dokąd możemy pójść? – zapytał León.

– Poszukać bram, gdzież by indziej?

– Nie wierzycie, że to jest nasz świat? – León był zaskakująco bojaźliwy.

– Ja z pewnością nie jestem w domu. Niczego stąd nigdy nie widziałam. – Mary zrobiła ręką zamaszty gest. – A tego, co powiedziałaś o naszych możliwych czynach z przeszłości, po prostu nie potrafię sobie wyobrazić. Nikt z nas nie wygląda na podpalacza. To nie nasz świat, ale moglibyśmy tu zostać. Wszystko jest nam w pewnej mierze znane... Większość. Są tutaj ludzie. Carmelita i jej ojciec.

Ktoś nam pomoże.

– To nie jest nasze życie. Nie chcesz wrócić do domu? Do świata, w którym się urodziłaś? – pytała Jenna.

– Jasne, że chcę – szepnęła Mary. – Ale dzielą mnie od niego jeszcze trzy bramy, a to oznacza, że troje z nas umrze do tego czasu.

Jeb podniósł głowę i gładził się z namysłem po czarnych włosach.

– Nie wierzę w to. Nic nie robić i zostać w tym świecie, to byłoby zbyt proste. Ktokolwiek wtrącił nas do labiryntu, przewidział taką sytuację i wychodzę z założenia, że przedsięwziął jakieś kroki na taką okoliczność.

– Co masz na myśli? – zapytała Jenna.

– Duszopijców. Może o nich zapomnieliście, ale ja nie.

Po jego słowach Jennie po plecach przeszedł dreszcz.

– Od dwóch światów ich nie widzieliśmy ani o nich nie słyszeliśmy – odpowiedziała Mary.

– To nie oznacza, że ich nie ma – odezwała się Jenna. – Może na jakiś czas stracili nasz trop albo po prostu mieliśmy szczęście, ale przypomnijcie sobie przesłanie, które znalazł Jeb. Było w nim jednoznacznie napisane, co się stanie, jeśli nie będziemy gotowi stawić czoła naszym największym lękom. – Jenna westchnęła. – To jeszcze nie koniec.

– Czyżbyśmy nie dość stawiali czoła swoim lękom? Ja już nie mogę! Myślisz, że oni się znów pojawią? – zapytała Mary, szeroko otwierając oczy.

– Jestem pewien. Ale możliwe jest też, że będą nas ścigać ci, którzy według notatki gazetowej nas szukają. Tu i teraz. Będzie, co będzie. – Jeb wypowiedział swoje przemyślenia tak cicho, jak gdyby nie chciał nikogo przestraszyć.

Jenna uważała, że jego logika była porażająca.

– A ty? – zwróciła się do Leóna. – Co myślisz?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Ten świat mnie peszy. Wszystko wydaje mi się znajome.

Odczuwam jako... oczywistość, że tu jestem, ale to nie jest piękne uczucie. Głęboko we mnie coś tkwi, jakiś stary lęk, jakaś... – Zamilkł, jakby nie mógł dokończyć tej myśli. Jakby bał się coś wyznać albo czymś się zdradzić. Jenna widziała, jak ciężko Leónowi pojąć ten świat. Wszystkie nienaturalne zdarzenia – rana Fernanda, która nie krwawiła, rozmowa telefoniczna, uwaga Carmelity o jego tatuażach – najbardziej nim wstrząsnęły. Jego nadzieja, że dotarli do domu, umarła.

– Myślę, że musimy iść dalej – powiedział Jeb.

Mary miała twarz bez wyrazu.

– A dokąd?

– Nie mam pojęcia. Będziemy się orientować na gwiazdę. Zaprowadzi nas do bram, tak jak dotychczas.

Jenna spojrzała na zebranych.

– Czy ktoś ją tu widział?

Nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Wyjdę i zobaczę – zaproponował León.

Z zewnątrz wciąż jeszcze dobiegały strzały i pisk opon.

– León... – Mary chciała coś powiedzieć, prawdopodobnie zapobiec temu, by teraz wychodził, ale się nie odważyła.

León sprawiał wrażenie zdecydowanego i twardo spojrzał Mary w oczy.

– Zaczekaj tutaj – powiedział i po chwili już go nie było.

Na dworze powitał go skwar. Wydawało się, że temperatura jeszcze wzrosła. León wyśliznął się przez drzwi i przemknął schylony w dół schodów. Za występem muru, który tworzył kamienną balustradę, przykląkł i spojrzał wzdłuż ulicy w jedną i drugą stronę. Nikogo nie było widać. Pusty asfalt się topił, wyglądał jak lustro, które rzucało odbicie upału na

okolice. Leónowi pot ciekł ze wszystkich porów.

Przyszło mu do głowy, że powinni się zatroszczyć o inne ubrania. Wciąż nosili flanelowe koszule, a tu było na nie za ciepło.

Zwąził oczy w szparki, bo słońce jaskrawo świeciło z prawie białego nieba, na którym nie było ani jednej chmurki. Wciąż było za jasno. Przysłonił oczy dłonią i wpatrywał się w górę, przeszukując każdy kawałek nieba. Ale gwiazda jeszcze nie wzeszła albo ukryła ją migotliwa jasność.

León już chciał wstać i śmignąć z powrotem do domu, gdy usłyszał dźwięk mocnego silnika.

„Sześciocyldrowiec” – przeleciało mu przez głowę.

Natychmiast rozpoznał ten buczący i... niebezpieczny dźwięk. Do tego zabrzmiała głośna, dudniąca muzyka. Brzmiała jak... meksykański rap. León rozumiał słowa, a historia, którą opowiadały, sprawiła, że mimo upału zaczął drzeć.

Still Making Money With This Criminal Mentality

And Haters Still Hating These Days.

I'm Still Hittin' This Thang

With Semi-Automatic Thangs.

I Live How I Want,

You Chase What You Wanna Be [\[2\]](#)

León wyjrzał za róg. Rzeczywiście, w jego stronę toczył się czarny kabriolet. Było w nim czterech Meksykanów z wytatuowanymi twarzami, kiwających głowami w takt muzyki. W odróżnieniu od tatuaży Leóna pokrywających całą twarz u nich ozdobiona nimi była tylko jej prawa połowa. Mimo to mogli napędzić strachu. W ich wyciągniętych rękach tkwiły krótkolufowe pistolety maszynowe, którymi groźnie kołysali. *Mierda*. Samochód jechał wprost na Leóna. Jeszcze nie mogli go dostrzec, ale gdy znajdą się z nim na jednej wysokości, nie uda się Leónowi schronić. Od razu go odstrzelą, w co nie wątpił ani sekundy.

Co teraz zrobić? Był obcym na ich terenie. Jego twarz i ciało były pokryte tatuażami, wprawdzie podobnymi do ich tatuaży, ale w zasadniczej części odmiennymi i wskazującymi, że jest członkiem innego gangu.

„Pomyślą, że jestem szpiegiem, który wkradł się na ich teren” – rozważał.

Przy wszystkim, co było dla nich święte, mógłby się cieszyć, gdyby go tylko zastrzelili.

„Co teraz zrobić?” – zastanawiał się.

Samochód był coraz bliżej. Muzyka coraz głośniejsza i groźniejsza. Jeszcze tylko sekundy, a potem znajdą się obok niego.

– Słyszycie to? – zapytała Jenna.

Wszyscy nasłuchiwali.

– Muzyka, ale nie do zniesienia – odpowiedziała Mary.

– Niemożliwe – powiedział Jeb, a jednak on też właśnie ją usłyszał. Dudniący bas, który wciąż się zbliżał, a od którego w końcu szyby zaczęły drzeć. – Cholera, co się dzieje?

Wszyscy troje pobiegli do kuchni i wyjrzeli przez szpary w opuszczonych roletach. Zobaczyli samochód, ciemne monstrum bez dachu, w którym siedziało czterech mężczyzn i groźnie wymachiwało bronią.

– León jest na dworze – cicho syknęła Mary, jakby ktoś na ulicy mógł ją usłyszeć mimo

głośnej muzyki. – Czy ktoś go widzi?

– Nie. – W głosie Jenny nie było słycać żadnej nerwowości, ale Jeb wiedział, że tak jak on, Mary też jest w ogromnym napięciu.

– Nie ma po nim śladu – powiedział. – Musiał się ukryć.

– Miejmy nadzieję, że wystarczająco dobrze – wymamrotała Mary i pobladła.

Jenna odwróciła głowę i szybko spojrzała na Jeba.

Potem znów wyjrzała. We troje wpatrywali się w ulicę. Po Leónie nie było śladu.

León słyszał, że samochód podjeżdża coraz bliżej. Położył się na brzuchu i szybko narzucił na siebie flanelową koszulę, żeby pod nią ukryć twarz i ramiona. Próbował wyglądać jak ktoś, kto został zastrzelony na ulicy w biały dzień. To był nędzny plan, ale jedyny, który na szybko wpadł mu do głowy.

Albo ten numer zadziała i typki pojedą dalej, albo podziurawią go kulami.

Dotarł do jego uszu pisk opon, gdy samochód gwałtownie zahamował. Muzyka ucichła. Nagle zapanowała martwa cisza. Nic się nie ruszało. Nawet podmuch powietrza nie unosił strzępów papieru na ulicy, wydawało się, że życie wstrzymało oddech tak samo jak León.

– Spójrz na tego zakichanego włóczęgę – odezwał się jeden z gangsterów. – Ktoś go załatwił.

– Si – powiedział drugi. – O jednego skurwiela mniej.

León nagle poczuł ciepło słońca na swojej prawej dłoni. Cholera! Odważył się ostrożnie otworzyć oko. Lewa dłoń była ukryta, ale prawą z czarnoniebieskimi wzorami można było zobaczyć.

„*Madre mia*, mam nadzieję, że żadnemu to nie wpadnie do głowy” – pomyślał.

– Ten koleś ma niezłe buty – usłyszał kolejny głos.

– Te nazywasz niezłymi? – odrzekł pierwszy. – Wyglądają jak zaszrane buty turystyczne, w których białe dupki wspinają się po górach. Nie mów, że włożyłbyś trepy od takiego białego dupka?

– Nie, nie – pospiesznie zapewnił głos. – Tylko tak powiedziałem.

– Wiesz ty co, *hombre*, twoja ciągła paplanina mnie wnerwia. Zamknij swoją przekłątą jadaczkę.

– Wszystko jasne, Rojo – brzmiała służalcza odpowiedź. – *Lo siento*, przepraszam, człowieku...

– Spokój!

Nagle już nikt nic nie mówił. Czyżby temu kolesiowi, którego pozostali nazywali Rojo, do głowy przyszło coś, co wzbudziło jego nieufność? León nie wiedział, co się dzieje. Wydawało mu się, że czuje, jak spojrzenia pozostałych ślizgają się po jego ciele.

„Miejmy nadzieję, miejmy nadzieję... *por Dios!*” – pomyślał.

Potem znów zabrzmiała muzyka. Dudniąc, popłynęła z głośników i otuliła Leóna swoim brzmieniem.

Opony znów zapiszczały. Samochód odjechał i zniknął, zakręcając na następnym rogu.

León odważył się znów oddychać. Skoczył na równe nogi i pospieszył do domu Fernanda.

„Cholera, niewiele brakowało” – pomyślał.

Gdy wśliznął się do środka i cicho zamknął za sobą drzwi, stanęła przed nim Mary. Jej oczy tonęły we łzach. Bez słowa rzuciła mu się na szyję. Łagodnie pogładził ją po plecach.

– Nic się nie stało.

Jeszcze mocniej się do niego przytuliła, objęła go, jakby nigdy więcej nie chciała go

puścić. W końcu trochę się uspokoiła. León wziął ją za rękę i objął. Poszukał jej spojrzenia. Patrzyła na niego wielkimi łagodnymi oczami.

– Porozmawiamy później.

Nie czekając na jej reakcję, pociągnął ją do kuchni, do reszty grupy. Carmelity nie było.

– Widzieli cię?

– Zauważyłeś gwiazdę na niebie?

León zagryzł wargi i pokręcił głową. To była odpowiedź na obydwa pytania.

– Cholera! – zaklął Jeb.

– Jest dopiero popołudnie, tak przynajmniej wynika z zegarków w domu – wtrąciła się Jenna. – Nocą gwiazda będzie na niebie.

– Jeśli się w ogóle pojawi – odpowiedział Jeb.

– Miejmy nadzieję. Po prostu musi.

– Co teraz robimy? – Jeb spojrzał na resztę, ale nikt mu nie odpowiedział.

– To, czego dotychczas robiliśmy o wiele za mało – w końcu z uśmiechem odpowiedział León. – Odpoczywamy. Dopóki nie zobaczymy gwiazdy, nie wiemy, jakiego kierunku się trzymać.

– Zatem postanowione, że ruszymy dalej – spokojnie powiedziała Jenna. – Co z tobą, Mary?

– Idę tam, dokąd wy idziecie.

León objął Mary ramieniem, a ona szybko przełknęła ślinę.

– Bez was... – Zamilkła.

– Dobra, teraz odpoczywamy. – Jenna szybko spojrzała na Jeba. – Jeb i ja zostajemy w salonie, wy możecie pójść do pokoju gościnnego.

León czuł, jak uśmiech pojawia mu się na ustach. W końcu będzie z Mary sam. Tak wiele było rzeczy, o których chciał z nią porozmawiać.

Znaleźli pokój gościnny na początku korytarza, zaraz obok drzwi wejściowych. Było to małe pomieszczenie bez ozdób, w którym stały jedynie łóżko, duża drewniana szafa i krzesło. Na ścianie nad łóżkiem wisiał obraz olejny przedstawiający Jezusa przemawiającego do rybaków. Mary podeszła do łóżka i usiadła na brzegu. León cicho zamykał drzwi. Zrobił dwa kroki w pokoju, potem stanął niezdecydowany. Prawie onieśmielony. Mary nie mogła się nie uśmiechnąć. Podniosła głowę i spojrzała na niego. Patrzyła w głębokie ciemne oczy, które zaznały tak wiele bólu. Stał przed nią León, którego trudno było rozszyfrować. Teraz panowała między nimi nieznaną wcześniej bliskość.

Mary wstała i podeszła do Leóna. Gdy położyła dłoń na jego piersi, poczuła przyspieszone bicie serca. Łopotało w piersi jak ptak i Mary za to go kochała. Czuła każdą cząstką swojego ciała, że była przy Leónie bezpieczna jak nigdy przedtem w życiu. Mimo wszystkich przeciwności dzięki niemu dowiedziała się, co to znaczy, że ktoś cię chroni. Oczy Leóna wędrowały po jej twarzy. Mary nie mogła oderwać od niego wzroku, dopóki ich spojrzenia się nie spotkały. Powoli podniosła prawą rękę, pogładziła palcem jego twarz i przed jej oczami wszystkie straszne tatuaże zniknęły. Skupiła się na rysach chłopaka, na którego widok serce biło jej szybciej.

Mary zebrała całą odwagę. Objęła jego twarz rękami i przyciągnęła do siebie. Ich wargi odnalazły się w pierwszym nieśmiałym pocałunku, potem w kolejnych.

Wargi Leóna drżały, gdy Mary się od niego oderwała. Chciał ją dalej całować, ale wiedział, że tu i teraz to nie były najlepsze miejsce i czas. Czuł, że Mary chciała mu się też oddać, ale to był skutek sytuacji, rozpacz, w której żyli. Nie, nie, jeśli ma się to stać, jeśli Mary prześpi się z nim, to powinni to oboje zrobić świadomie i w jakimś spokojnym miejscu.

– Co z tobą? – zapytała.

Zwlekał.

– Nie mogę.

– To z mojego powodu. Prawda?

– Nie, to nie ma z tobą nic wspólnego. To jest...

Jak miał jej powiedzieć, że boi się ją stracić po tym, jak dopiero się znaleźli. Mary stała się dla niego światłem we wszystkich obcych światach, w których była tylko walka.

Zwłaszcza ten świat, Los Angeles, wstrząsał nim do głębi.

To był jego świat.

A jednocześnie nim nie był.

– Przypominam sobie tak wiele. Wszystko jest tu znajome: zapach, upał, gangi na ulicach, cholera, nawet zaszary kurz, który lepi się tu na ulicy, był częścią mego życia. – Zrobił głęboki wydech. – A do tego ty tu jesteś, Mary!

Zamilkł.

Wszystkie obrazy, które znów go zaatakowały, nie stanowiły całości, nie składały się w jeden.

Wszystko było jednocześnie znane i obce. Do tego dochodził fakt, że Jeb, Jenna i Mary wyraźnie nie należeli do tego świata. Nie byli nigdy przedtem w Los Angeles i większość

rzeczy była im tu obca.

Dziwna rozmowa telefoniczna Jenny z babcią, mężczyzną, który został postrzelony, ale nie krwawił, i to głębokie przekonanie w nim samym, że polowanie się nie skończyło.

A do tego Mary.

W jego ramionach. Zapierała mu dech, chciał ją całować i nie mógł. Widział, że ją speszył, może nawet unieszczęśliwił, ale tego również nie mógł zmienić.

Objął ją jeszcze mocniej, ale ona popatrzyła mu w oczy i się wyprostowała.

– Muszę ci opowiedzieć o sobie – powiedziała cichym, drżącym głosem, od którego po plecach przeszedł mu dreszcz.

Gdy Mary skończyła, León milczał. Po jego twarzy płynęły łzy i pierwszy raz w życiu się tego nie wstydził. Spojrzał na swoją dłoń splecioną z palcami Mary.

Kilka chwil trwało, zanim znalazł odpowiednie słowa.

– Nie wiem, co powiedzieć. Ale to nic nie zmienia pomiędzy nami.

– Ja... czuję się taka zbrukana – cicho powiedziała Mary.

– O nie, *mi corazón*, ty za nic nie ponosisz winy. Zrobiono ci straszną krzywdę.

Głowa Mary opadła na jego pierś i w końcu ona też zaczęła płakać. Jej cichy szloch niemal rozdzierał

Leóna, ale nie próbował jej pocieszać słowami. Przez chwilę tak siedzieli, mocno przytuleni, a każde słuchało bicia serca tego drugiego.

W końcu Mary podniosła wzrok.

– Dlaczego się we mnie zakochałeś?

– Ach, Mary – westchnął sztucznie. – Od czego powinienem zacząć? Na stepie powiedziałaś do mnie: „Może ty będziesz tym, który mi pomoże”. Więc jestem.

W przyciemnionym świetle zasłoniętego salonu Jenna patrzyła Jebowi w oczy i znajdowała tam swoje odbicie. Jej oddech był jeszcze ciężki od miłości, jaką sobie podarowali. Teraz gładziła palcami nagą pierś Jeba, patrząc mu w oczy. Jego skóra pachniała mydłem, z którego skorzystał pod prysznicem. Jenna dobrze się czuła w swoim ciele, pierwszy raz od dawna.

– Jeb?

– Tak.

– Myślę, że cię kocham.

– I ja myślę, że cię kocham.

Uśmiechnęła się.

– Wiesz, że wydaje mi się, jakbyśmy się znali od zawsze i od zawsze kochali?

– Mnie tak samo. A minęło kilka dni. Jakbyśmy... – ...się znali z poprzedniego życia – dokończyła zdanie. – Wszystko w tobie wydaje mi się znajome.

Po prostu wszystko. To, jak wyglądasz, jak śpisz, jak się śmiejesz i przekrzywiasz przy tym głowę. Twoje ręce na mojej skórze, nawet sposób, w jaki mnie trzymasz, znam każdy twój gest. Ale skąd? Dlaczego jestem tak pewna, że cię znałam?

– Nie wiem, Jenno. Może tak jest, gdy się jest zakochanym? Albo my tak jesteśmy zakochani?

Uśmiechnął się do niej.

Jenna nie była pewna, czy taką odpowiedź chciała usłyszeć. Musiała zadać Jebowi

kolejne pytanie: – Byłeś już kiedyś zakochany, tak naprawdę?

Wydawało się, że się zastanawiał, sprawdzał w pamięci. W końcu pokręcił głową.

– Nie, myślę, że nie. A ty?

– Tak, kiedyś w tobie. – To po prostu jej się wymknęło. Dlaczego to powiedziała? Bo tak było.

– To pięknie – ucieszył się Jeb.

Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta. Gdy się cofnął, jego oddech pogładził jej twarz.

– Jeb, tak się cieszę, że jesteś przy mnie, tutaj, w tych światach. Czasem mam wrażenie, że wariuję. – Jenna westchnęła. – Ten nowy świat kosztuje mnie wiele sił. Wszystko tu jest podobne do domu, co doprowadza mnie do obłądu. Wszystko jest jakoś znajome, a jednocześnie obce. Dziś pojawiło się tak wiele wspomnień na temat mojej babci. Jakbym tylko miała pójść i zadzwonić do jej drzwi, a wszystko znów byłoby jak zawsze. A przecież ona mnie nie zna, nie ma wnuczki. Co... to ma znaczyć?

Wyciągnął dłoń w jej stronę i obrysował linię twarzy.

– Może nie powinniśmy tego rozumieć, może nie ma innego celu niż tylko doprowadzenie nas po kolei do obłądu.

– Ale po co? To takie bezsensowne.

– Wiem, że jesteś silna i że musi się jeszcze trochę zdarzyć, zanim zwariujesz. I musisz działać dalej.

Walka o własne życie zawsze ma sens – sprzeciwił się. – Nawet jeśli okoliczności są tak szalone.

Jenna westchnęła.

Patrzył na nią natarczywie.

– Jenno, uwierz, proszę, w to, że dasz radę. Uwierz. Nie poddawaj się teraz, tylko walcz jeszcze dzielniej. Jestem przy tobie i cię potrzebuję.

– A ja potrzebuję ciebie, wiesz? Bez ciebie już dawno bym się poddała.

– Nie wolno ci nawet tak myśleć – powiedział stanowczo i zabrzmiało to niemal gniewnie.

Przez chwilę milczeli i Jenna rozkoszowała się zapachem Jeba. Mogliby tak leżeć już zawsze...

Wtedy zobaczyła, że wzrok Jeba pada na wewnętrzną stronę jej nadgarstka, na tatuaż w kształcie gwiazdki.

– Co to jest? – zapytał speszony. – Masz tatuaż? Nie zauważyłem go. Łał, od kiedy go masz?

Jenna próbowała nie dać po sobie poznać, że miała niejasne przeczucie, kiedy i dlaczego go zrobiła, ani że to mogło mieć coś wspólnego z kimś, kogo kochała.

– Prawdopodobnie przykrywała mi go koszula. Nic specjalnego... – Przemilczała przed nim, że tatuaż pojawiał się i znikał, i że nie potrafiła sobie tego wyjaśnić. Nie chciała go tym obciążać.

Powiódł palcami po ciemnych liniach.

– Skromny, ale piękny – powiedział. – Wiesz, skąd go masz i dlaczego kazałaś go zrobić?

Obawiała się tego pytania i przygotowała się do odpowiedzi. Stanowczo pokręciła głową, a włosy otarły się o jej twarz.

– Nie – skłamała. – Nie mam pojęcia, z czym to ma związek.

Chętnie by mu powiedziała, że tatuaż był z kimś związany, ale nie wiedziała, co miał

znaczyć. Za zasłoną niepamięci czuła więź, która sięgała z tego świata do jej dawnego życia.

Żeby odwieść Jeba od tatuażu, pochyliła się i pocałowała go w usta. Jego dłonie delikatnie gładziły plecy Jenny, a później przyciągnął ją mocno do siebie. W końcu zniknął świat, nad którym musieli się zastanawiać, pozostała tylko jedyna w swoim rodzaju chwila.

Mary leżała na boku z głową na piersi Leóna. Delikatnie gładziła ją palcami. León zasnął, w samym środku rozmowy. Zdradzał to jego równomierny oddech. W jego ramionach czuła się, jakby wróciła do domu. Do człowieka, którego przed kilkoma dniami nawet nie znała. Mary była go pewna.

I teraz, mimo swojej przeszłości, potrafiła kochać. Dotąd myślała, że w jej życiu nie ma miejsca na coś takiego. Po prostu nie może być. Przy Leónie stało się inaczej.

Groza i lęk opuszczały Mary, gdy León ją trzymał w ramionach. Mary wiedziała, że wróca, ale nie teraz. Te chwile należały do niej i Leóna. Gdy się pochyliła, żeby go pocałować, León się obudził.

– Przepraszam – szepnęła Mary. – Nie chciałam.

Pochylił się nad nią i ją pocałował. Chciała więcej, ale León się cofnął. Oparty na łokciach leżał obok niej i patrzył. Jego spojrzenie wędrowało po Mary i czuła, jakby ją głaskał, nie dotykając. Pierwszy raz była w stanie spokojnie znieść to, że ktoś oglądał jej ciało. Palce Leóna odgarnęły przekorne pasemko włosów z twarzy Mary. Zrobił to nadzwyczaj delikatnie.

Mary zaglądała głęboko w jego oczy.

– Jestem żywą księgą okropieństw, a ty uważasz mnie za pięknego.

– Tak – szepnęła. – Te obrazy są straszne, to nie ulega wątpliwości – musiała się uśmiechnąć – ale uważam, że jesteś piękny.

León unikał wzroku Mary, ale w końcu się do niej odwrócił. Wstrzymała oddech i nagle znów dostrzegła otoczenie, ze wszystkimi niedoskonałościami. Pomieszczenie było tylko nędznym pokojem, a nie niebem na ziemi. Wzrok Mary zawisł na wytartym prześcieradle. Wdychała zapach starych mebli.

Cisza aż huczała w uszach Mary, gdy w końcu León odchrząknął.

– Nie jestem piękny, Mary. A już na pewno nie są takie obrazki, które pokrywają moje ciało.

Nazywasz je okropnymi, a one opowiadają moje życie.

– Czy twoje życie poza tym tutaj było naprawdę beznadziejne? – Mary próbowała pojąć, co León właśnie powiedział.

– Ja... znam świat, w którym jesteśmy. Życie w gangu i świecie przemocy już raz przeżyłem. Tak naprawdę wszystko, co sobie przypominam, składa się tylko z gangów, przemocy i śmierci. Zemsty i krwi... – Zająknął się. Mary starała się nie pokazać po sobie przerażenia. – Mary, ja... zabiłem człowieka. Kiedyś, w moim wcześniejszym życiu. Musiałem to zrobić, gdy gang zabił mojego ojca, to było ważne, żeby nie pozwolić mu odejść. Ale... to był chłopak, w moim wieku, nawet młodszy.

León unikał jej spojrzenia.

Mary pozwoliła mu mówić, nic nie powiedziała.

– Moi *hombres* przyjęli mnie, gdy matka została ze mną i moim rodzeństwem. Oni byli moją rodziną, rozumiesz. Kochałem swoich braci z gangu i... żeby ich chronić, musiałem podporządkować się ich zasadom. – Wziął głęboki wdech. – I robiłem to z radością. Z radością, Mary. – Jego głos drżał. – Dopiero teraz pojmuję, jak straszne było moje

wcześniejsze życie. A poza tym... – Mary oderwała wzrok od tatuażu Leóna na czole, czterech znaków, które były najbardziej zagadkowe ze wszystkich. Ich spojrzenia się odnalazły. – ...a poza tym mam teraz ciebie, Mary. W końcu mogę walczyć w dobrej sprawie. Bo znalazłem kogoś, kogo mogę chronić. Ciebie.

Mary czuła, jak jej policzki zaczynają płonąć. Odchrząknęła, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, León położył jej palec na ustach.

– Nic nie mów, proszę, powiedz po prostu, że mogę to dla ciebie robić, dobrze? Tak długo, jak to konieczne, obiecuję, że będę cię chronił.

Mary nie powiedziała ani słowa, bo musiała walczyć ze łzami. Skinęła głową. Jakby dla potwierdzenia obietnicy León objął ją i przyciągnął bliżej siebie.

Zmrok już dawno zapadł, gdy Mary i León zapukali do drzwi salonu na drugim końcu korytarza i weszli do środka. Znaleźli tam Jeba i Jennę. Siedzieli na rozkładanej sofie i podnieśli na nich wzrok. Oboje byli kompletnie ubrani, mieli na sobie koszulki trykotowe, których León wcześniej nie widział, i włożyli nawet buty.

Wciąż czuł smak ostatniego pocałunku na swoich wargach. Ostatnie godziny były niewiarygodne.

Uczucie Mary do niego było prawdziwe i on również pierwszy raz przeżywał miłość. Coś między nimi zaiskrzyło. Kto wie, ile jeszcze takich godzin daruje im los? León wziął Mary za rękę i delikatnie ścisnął.

Ciężko mu było na sercu, gdy pomyślał, że ich czas jest ograniczony i że prawdopodobnie nie ma dla nich przyszłości.

– Wszystko dobrze? – zapytał Jeb i patrzył na Leóna natarczywie. León był przyzwyczajony do tego, że nie okazuje uczuć. To prowadziłyby tylko do pytań, a potem nowych problemów. Zmusił się więc do uśmiechu.

– U nas wszystko dobrze – odpowiedział.

– Tak – dzielnie potwierdziła Mary.

Zauważył, że walczyła ze łzami. León czuł na sobie spojrzenie Jenny i Mary i przez chwilę panowała nieprzyjemna cisza. Co z nim będzie dalej?

– Która godzina? – León rzucił pytanie.

Jeb wskazał głową podobny do słońca stary zegar ścienny, który wisiał na ścianie i cicho tykał.

– Zaraz północ – westchnął. – Powinniśmy ruszać.

– Tak – zgodzili się Mary i León niemal jednym głosem.

Jenna wstała. Chwyciła worek z materiału.

– Była tu Carmelita i dała nam prowiant. Chleb, szynkę i butelkę wody dla każdego. Także nowe ubrania. Wyszukała kilka rzeczy, dla każdego po koszulce. Myślę, że coś podejrzewa, wyczuwa, że coś jest z nami nie tak, ale nie wypytywała, tylko życzyła nam Bożego błogosławieństwa na naszej drodze.

– Jak się czuje Fernando? – zapytała Mary.

– Wydaje się, że dobrze, wciąż jeszcze śpi.

– Możemy się pożegnać z Carmelitą?

Jenna pokręciła głową.

– Zaszła się już u siebie. Myślę, że chce o nas wiedzieć tylko tyle, ile musi. Nic dziwnego. – Powściągliwie się roześmiała.

Nikt na to nie odpowiedział. Mary włożyła bladoniebieską koszulkę, którą dała jej Jenna, i zawiązała sobie flanelową koszulę wokół bioder, tak jak Jeb i Jenna. León włożył czarną spraną koszulkę. Miała kołnierzyk i była trochę ciasna, ale León się cieszył, że w końcu ma na sobie coś lżejszego.

Jenna zarzuciła worek na ramię i pierwsza wyszła z salonu. Reszta poszła za nią.

Gdy ostrożnie wyszli przed dom, zobaczyli ogień.

Nad miastem unosił się gęsty czarny dym. Gdzie spojrzeli, migotały płomienie. Wydawało

się, że całe miasto płonie. Pomarańczowe jęzory ognia lizały niebo, a na ziemi pożerały domy i samochody.

Powietrze przesycone było zapachem metalu i gumy. Jenna zasłoniła usta rękawem koszuli, bo gryzący dym dotarł do jej płuc i zmusił do sapania. Na zewnątrz było dziwnie cicho. W powietrzu słychać było pomruki i trzaskanie ognia. Ponieważ rolety w domu były opuszczone, nie zauważyli nic z tego, co się działo na ulicy.

Najwyraźniej noc była porą gangów, które wychodziły z kryjówek, by terroryzować miasto.

„Dlaczego zawsze musi być tylko gorzej?” – pomyślała Jenna, gdy patrzyła wzdłuż ulicy, jak ogień przeżera dzielnicę.

Obok niej dyszała Mary.

– Cholera.

León milczał, a Jeb zmarszczył czoło. Twarze jego przyjaciół błyszcząły w świetle płomieni.

Jenna spojrzała w niebo. Musiała obrócić się wkoło i trwało to chwilę, zanim dym odsłonił na ułamek sekundy kawałek nieba.

A potem zobaczyła gwiazdę i podekscytowana pokazała ręką w górę.

Bardzo daleko. Tam, gdzie szalało jeszcze więcej płomieni.

– Wygląda na to, że musimy się przedrzeć przez pół miasta – zauważył Jeb.

– Sądzę, że to nie jest nasz największy problem – stwierdziła Jenna. – To wygląda, jakby bramy były poza obrębem dzielnicy. Chyba musimy najpierw znaleźć sposób, by przejść przez blokadę.

– A gdybyśmy poszli i porozmawiali z policjantami przy ulicznych blokadach? – zaproponowała Mary.

– Nie, to nie wchodzi w rachubę. Jesteśmy poszukiwani, zapomniałaś? Nie muszą mieć nakazu aresztowania. Jest mnóstwo ludzi, którzy chcą się wydostać z dzielnicy, a jak widzieliśmy na przykładzie Fernanda, nie wahają się strzelać do nieuzbrojonych, nawet jeśli *nie* stanowią zagrożenia. – León gwałtownie kręcił głową, gdy to mówił. Nie wydawał się specjalnie zaskoczony sytuacją na zewnątrz, był raczej zdecydowany się stąd wydostać.

– Dobrze – wtrąciła się Jenna. – Spróbujemy najpierw przebić się przez ten chaos, już to jest dostatecznie trudne. Co potem, zobaczymy.

– Chcecie iść prostą drogą? – zapytał León.

– Myślę, że tak – odpowiedział Jeb.

Jenna spojrzała na ulicę. Tu i ówdzie widać było cienie przemykające między domami. Nie dało się rozpoznać, czy to byli ludzie, którzy próbowali ratować swój dobytek przed płomieniami, czy członkowie gangów, którzy podkładali ogień.

Trzymali się blisko budynków i unikali środka ulicy. Posuwali się powoli, mimo to zgubili się w wirze płonących zaułków i ciasnych ciemnych ulic. Noc była gorąca, a płonące budynki dodatkowo ogrzewały powietrze. Jeb czuł, jak pot cieknie mu po plecach, moczy świeżą oliwkową koszulkę i spływa po twarzy.

Gdy patrzył na grupę w świetle płomieni, zauważył, że z Mary, Jenną i Leónem sprawy miały się podobnie.

Na ulicy nie było już nikogo. Przemykające cienie zniknęły, a w powietrzu niósł się dźwięk, jakby naraz szeptało mnóstwo ludzi. Im bliżej podchodzili, tym był głośniejszy i w końcu mogli nawet rozpoznać pojedyncze głosy.

Główna ulica dochodziła do dużego skrzyżowania, a po lewej od domów otworzył się przed nimi rozległy park. To stąd dobiegał gwar. Mnóstwo ludzi rozłożyło się na niegdyś zielonych, a teraz wydeptanych trawnikach. Wysokie drzewa otaczały zwirowe alejki parku, ale wskutek gorąca otaczających je płonących domów straciły liście.

Hałas był ogłuszający. Ludzie unosili do góry naklejone na drewniane tablice plakaty i wyrzaskiwali swój gniew na rząd.

Tablice głosiły, że ci ludzie byli głodni i spragnieni. Na ulicach panowała przemoc, a władze zostawiły ich samych sobie – o tym mówiły plakaty i okrzyki mieszkańców dzielnicy, nawet jeśli Jeb niewiele rozpoznawał z tych chaotycznych krzyków. Zauważył, że swój gniew wyrzaskują w niebo ludzie, którzy już nie mają nadziei. Jeb nie wiedział jednak, czy ktoś ich słuchał.

– Co teraz robimy? – zapytał idący obok niego León.

Wszyscy czworo zatrzymali się i wpatrywali się w chaos przed sobą.

– Tędy nie przejdziemy. Ten tłum nas rozdepcze, musimy obejść park.

– Myślisz, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo?

Jeb wzruszył ramionami.

– W tej chwili nie. Ci ludzie są zanadto zajęci sobą, ale powinieneś włożyć koszulę i trzymać głowę nisko, żeby nikt ci nie mógł spojrzeć w twarz.

– W którą stronę idziemy? – zapytała Jenna. – Podążamy drogą w lewo czy główną ulicą po prawej?

– Idziemy dalej tędy. – León wskazał w kierunku głównej ulicy, która teraz również zapełniała się ludźmi. Jak upiory wynurzali się z ciemności i przyłączali do nocnej demonstracji. W świetle ognia Jeb oszacował liczbę protestujących na tysiące i napływało ich do parku wciąż więcej.

Nagle w powietrzu rozległo się dziwne brzęczenie. Ludzie wokół nich ucichli. Nikt się nie ruszał, wszyscy milczeli i nasłuchiwali. Cienkie włoski na rękach Jeba uniosły się i poczuł mrowienie na karku.

To nie był naturalny spokój. To była nieobecność wszystkich głosów, zanim wybuchnie burza. Cisza nagle rozprysła się w łomot, który czuł aż w brzuchu i który błyskawicznie się zbliżał. Wydawało się, że powietrze gęstnieje. Jeba bolały uszy i przycisnął do nich obie ręce. Jenna obok niego zrobiła to samo.

– Co to jest? – krzyknęła wbrew łoskotowi.

– Myślę, że śmigłowiec. – Spojrzał w górę, gdzie w powietrzu unosił się tylko cień i przeorywał niebo.

Reflektory tańczyły nad głowami tłumy, wzbudzały niepokój. Ludzka masa kiwała się w jedną i drugą stronę.

Do życia obudził się dudniący metaliczny głos. Docierał do nich na dół nienaturalnie głośny, sprawiając, że ziemia drżała.

– Mówi policja. Idźcie do swoich domów. Zamknijcie okna i drzwi. Zachowujcie się spokojnie.

Nadburmistrz Mendez ogłosił stan wyjątkowy. Do odwołania obowiązują specjalne przepisy. Jest zakaz opuszczania dzielnicy. To ostatnie ostrzeżenie.

Gdy zapowiedź się skończyła, śmigłowiec się uniosł. Najwyraźniej pilot chciał mieć lepszy ogląd sytuacji, ale później rozległy się strzały, które wywołały stukanie o metalową powłokę. Helikopter natychmiast zawrócił i zniknął w czerni nocnego nieba.

Padły kolejne strzały. Ktoś zapiszczał. Pierwsi ludzie tłoczyli się, wychodząc z placu.

Potem było jeszcze więcej strzałów. Jeszcze więcej krzyków. Tłum wpadł w panikę i nikt nie wiedział, z której strony grozi niebezpieczeństwo.

Ludzie próbowali się ratować, ale nigdzie nie było wolnego miejsca, wszystkie drogi blokowała ludzka masa. Słysząc było okrzyki, co jeszcze podgrzewało sytuację wśród protestujących, podsycalo panikę i strach.

– Musimy stąd uciekać! – wrzasnął León, próbując przekrzyczeć hałas. – Ruszajmy teraz, w tym zgiełku nie rzucamy się w oczy. Nikt się nie będzie o nas troszczył. – Znow biegli jak w zawodach o życie, byle dalej od tłumu, chaosu, najszybszą drogą, którą wskazywała im gwiazda.

A potem to zobaczyli. Jak czarna ruchoma fala zbliżała się do nich ludzka masa, wszyscy naraz próbowali uciec z parku. Ludzie byli w panice, wzajemnie się tratowali i roztrącali. Każdy był zajęty sobą, tłum stracił głowę. Nad wszystkim unosił się krzyk niepojętego lęku i wrzaski rannych.

León pociągnął Mary za sobą i widział, że Jeb chwycił za rękę Jennę. Razem biegli do najbliższego budynku, który jeszcze nie stał w płomieniach.

Nagle gdzieś blisko zabrzmiały wystrzały. Zapiszczały opony. Kiedy ludzie w parku próbowali ratować życie, otwarte samochody z członkami gangów podjechały do placu i strzelały do tłumu.

León rozpoznał sytuację. Niedaleko nich szybko przejechał samochód, dostrzegł w nim wytatuowane twarze wyglądające jak odrażające maski. Obrazki na nich przypominały te na jego twarzy i ciele.

Mężczyźni w samochodzie strzelali bez przerwy i chwilę to trwało, zanim León pojął, że nie robią tego bez przyczyny, lecz świadomie celują do młodych mężczyzn z innego gangu, którzy znajdowali się wśród uciekających.

„Te chłopaki w tłumie – zauważył – to takie same typki jak te spotkane dzisiaj po południu. Ich czaszka jest wytatuowana tylko z jednej strony”.

Rozgrywała się tu wojna i jeden z gangów próbował wykorzystać demonstrację, by wyrównać stare rachunki. Napastnicy, ich tatuaże... W pamięci Leóna znow tłoczyły się obrazy, ale teraz nie było na to czasu, musieli się stąd jak najszybciej wynosić.

Atakujący gang nie znał litości. Ich pojazdy bezwzględnie wjeżdżały w tłum na ulicach. Tam, gdzie ludzie nie zdążyli uskoczyć, taranowali ich autami.

León spojrział na Mary, która kurczowo trzymała się jego ręki. Jeb nadal wydawał się trochę słaby, wręcz chwiał się jeszcze na nogach. Jenna zacisnęła usta.

– Musimy natychmiast stąd zniknąć! – wrzasnął León przez hałas. Wskazał w dół ulicy. – Po prostu biegnijcie za mną.

Chwycił Mary za rękę i pociągnął za sobą. Za nimi podążyli Jenna i Jeb. Jak najszybciej biegli wzdłuż szeregu domów. Wokół nich było mnóstwo ludzi. Twarze wykrzywione paniką, z szeroko otwartymi oczami i ustami. Ci ludzie próbowali uciekać. Ale wróg był za nimi. Opony piszczały i padały kolejne strzały. León krzyczał do swoich towarzyszy, żeby nie odpuszczali, tylko biegli dalej.

Coraz nowymi bocznymi uliczkami próbowali uciec od nocnych rozruchów, nieważne, w jakim kierunku. Najważniejsze, by nie dać się wciągnąć w walkę, która nie była ich walką i której nie rozumieli.

Obok niego Mary zaczęła sapać i León podejrzewał, że dziewczyna długo już nie wytrzyma.

Wyglądało na to, że Jeb gorzej się czuje. Gdy León na niego spojrział, stwierdził, że już tylko się zatacza i bez pomocy Jenny dawno by upadł. Potrzebowali kryjówki. Natychmiast! Po chwili ją zobaczył.

Dom, na który wzięli kurs, wyglądał na opuszczony. Okna nie miały szyb, wejście było zabite deskami.

León z całym impetem się na nie rzucił. Drewno od razu się poddało i jego fragmenty odprysnęły na ścianę. Zamach był tak silny, że León nie mógł go wyhamować, potknął się o coś i upadł jak długi. Ślizgał się chwilę po nagiej kamiennej podłodze, a potem uderzył o przeciwległą ścianę. Zanim stanął na nogach, wszyscy byli już w budynku. Szybko się rozejrzał. Przed nim w półcieniu majaczył pusty korytarz.

Z zewnątrz wpadało tylko trochę światła księżyca, ale to wystarczało, żeby się zorientować. Dał znak i weszli do opuszczonego mieszkania, którego drzwi były otwarte.

León zamknął drzwi i się rozejrzał. Jego wzrok pospieszył do wybitych okien. Na zewnątrz szaleli ludzie. Ulica rozbrzmiewała strzałami, mężczyźni i kobiety krzyczeli i wyli.

– Rolety! – zawołał do Jenny i Mary. Obie natychmiast zareagowały i je spuściły. W pokoju zrobiło się ciemno, wpadało tylko trochę światła przez szpary. Byli uwięzieni w opuszczonym domu i nie mogli się na razie ruszyć. Czas płynął, a oni nie zbliżyli się do gwiazdy. Na ich twarzach malował się brak nadziei.

Gdy się trochę pozbierali, León zaryzykował lekkie odchylenie rolet i popatrzył przez okno.

Pojazdy gangów wciąż pędziły ulicami. Trwała też strzelanina. W każdym razie przez okolice nie ciągnęły już masy ludzi, a morze płomieni wydawało się oszczędzać tę ulicę. Na ziemi leżały ciała zastrzelonych lub stratowanych. León naliczył co najmniej dwadzieścia zwłok w ich bezpośrednim otoczeniu, a potem przestał liczyć. Za jego plecami coś zaszeleściło. Mary wstała i podeszła do okna.

Pokazał jej ręką, żeby się pochyliła i poruszała powoli.

Wyjrzała na ulicę i westchnęła.

– Nie możemy wyjść.

– Co teraz robimy? – zapytał z tyłu Jeb.

León spojrział na niego.

– Jak się czujesz?

– Jeszcze trochę słabo, ale możesz na mnie liczyć.

– Dobra – powiedział León. – Powinniśmy wyjść z tego pokoju i pójść na górę.

– Dlaczego? – chciała wiedzieć Jenna. – Tu jesteśmy bezpieczni. Możemy poczekać, aż trochę się uspokoi na ulicy.

– Nie, nie możemy – odrzekł León. – Okna nie mają szyb, a podniesienie rolet to żaden kłopot. Na dole nie jesteśmy chronieni i musimy się z tym liczyć. Gang, który otworzył ogień do ludzi, jest z sąsiedniej dzielnicy. Na południu, jeśli dobrze pamiętam. Podejrzewam, że wiem, co się tu dzieje. Dzielnicą Barrio rządzi gang *muerte negra*, Czarna Śmierć. Napastnicy natomiast nazywają się *hijos*, Synowie.

– Skąd to wiesz?

Jeb nieufnie spojrział na Leóna.

– Gdy padły strzały, wiele sobie przypomniałem. Twarze, tatuaże i ich znaczenie, kto do kogo należy i kto do kogo strzela.

– Skąd ta pewność?

León milczał chwilę. Potem powiedział: – To mój dom. Jestem jednym z *hijos*.

Zapadła cisza i sprawiła, że pomieszczenie wydało się jeszcze bardziej ponure.

– Mówiłeś, że wszystko wydaje ci się znajome, a mimo to jest obce – zarzuciła mu Mary.

– I jest to po części prawda. Wszystko jest znajome, a mimo to... coś jest nie tak i nie wiem jeszcze co, ale się dowiem. Później. Teraz musimy znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

Wziął Mary za rękę, kiwnął ręką na dwoje pozostałych, bez słowa się odwrócił i wyszedł z mieszkania.

– Potrzebujemy światła – powiedziała Jenna, gdy stanęli przed schodami.

– Nie, w żadnym razie – odpowiedział León. – Jeśli zapalimy pochodnię, tylko nas zdradzi.

Wchodzimy po ciemku.

Szedł pierwszy, a reszta cicho podążała za nim. Na trzecim piętrze, ostatnim pod dachem, znaleźli kolejne otwarte mieszkanie, opuszczone tak samo jak reszta domu. Najwyraźniej mieszkańcy porzucali swój dom w panice, bo panował tam zupełny chaos. Krzesła były przewracane, szuflady wyciągnięte, a ich zawartość wyrzucona na podłogę. Ktoś zadał sobie trud, by pociąć wszystkie obrazy na ścianach.

Kuchnia i pokój dziecięcy wyglądały podobnie. Wandale zniszczyli tu wszystko, co nie zostało skradzione. Ale nie było tu żadnych ciał. León już podejrzewał najgorsze, gdy znaleźli się w pokoju dziecięcym, ale mieszkańcom najwyraźniej udało się w porę uciec.

Gdy przeszukali wszystkie pokoje i upewnili się, że są sami i w miarę bezpieczni, odważyli się wyrzucić przez okno.

Widok był bardziej frustrujący niż z parteru.

Na końcu parku wciąż jeszcze strzelały w niebo jasne płomienie. Krzewy i trawa były zdeptane.

Wszędzie leżały podarte plakaty i skrawki papieru. Nie było ludzi. Spojrzenie Leóna powędrowało w kierunku nocnego nieba. Niemalże szyderczo wisiała na nim skrząca się gwiazda, która wskazywała im drogę. Drogę przez piekło.

– Lepiej poczekajmy jeszcze trochę – powiedział Jeb do Leóna.

Podszedł do Jenny i wziął ją za rękę. Usiedli w kącie i po cichu rozmawiali. Mary stała obok Leóna.

Jej dłoń tkwiła w jego ręce i chciałby, żeby ta bliskość była pocieszająca. Ale obrazy z przeszłości miały potężną moc.

„Spluwa w moim ręku, dookoła najgłębsza noc, ale nie cisza, nie jest też całkiem ciemno. W mdłym świetle ulicznej latarni sprawdzamy broń. Musimy być gotowi. Nic nie może pójść źle.

Nesto przedstawia plan. Mamy zneutralizować kilku wrogich dilerów narkotyków. Zorganizowali sobie główną kwaterę na parterze pustego domu. Budynek stoi z dala od ulicy, wokół posesji ciągnie się płot z drutu kolczastego, są też psy, które biegają luzem. Doberman rozszarpia każdego, kto odważy się zbliżyć do tego domu.

Ale to nas nie martwi. Samochodem przejedziemy przez płot, rozjedziemy zasrane kundły, staranujemy wejście i będziemy strzelać do wszystkiego, co się rusza.

Te przekłete dupki myślą, że mogą tak po prostu tu przyjść i zakwestionować nasze prawo do tego rewiru. Opylają swoją kolumbijską kokainę po promocyjnych cenach, żeby podgrzać rynek, ale koniec z tym. Jeszcze dziś. Tej nocy. Załatwimy ich wszystkich, zabierzemy prochy i wysadzimy w powietrze cały ten sklepik.

To znacznie więcej niż kara. To ostrzeżenie dla wszystkich, którzy myślą, że jesteśmy zbyt słabi, by chronić nasz teren.

Jesteśmy we czterech. Nesto, Pedro, Loco Szalony i ja. Dwaj z nas mają pistolety maszynowe, ja i Loco – pistolety. Nikt nie dałby do ręki temu szaleńcowi broni automatycznej, niebezpieczeństwo, że zastrzeli siebie albo jednego z nas, gdy zacznie się walka, było za duże. Loco jest wariatem, który w napięciu fiksuje i traci wszelką miarę. Już tylko wrzeszczy i strzela, ale to miłe uczucie mieć go obok siebie, bo jego bezkompromisowość będzie nas nakręcać.

Pozostali to dla mnie *hermanos*, bracia, których nigdy nie miałem. Są moją rodziną, chronili mnie, gdy na ulicy ojca sprzątnęła kula. Kocham ich wszystkich.

Mimo to wolałbym dzisiaj tu nie być. Nie mam dobrych przeczuć. Coś się tu nie zgadza. To za proste.

Żadnych straży? Tylko psy?

Prawdopodobnie bunkrują tu prochy warte miliony i ma być tak łatwo im je zabrać?

Był tam Pedro, badał sytuację przez kilka nocy. Mówi, że te typki czują się pewnie, bo dom nie leży na naszym terenie. Nie całkiem w to wierzę, ale nic nie mówię, nie chcę, żeby uznali mnie za tchórza.

Doprowadzimy tę sprawę do końca.

Dziś w nocy”.

– Co z tobą? – szepnęła mu Mary do ucha. – Myślisz o przeszłości?

– Tak – odpowiedział tylko.

– Opowiedz mi o tym.

– Mary... – zaczął, ale potem Jenna skoczyła na równe nogi, ostrzegawczo podniosła rękę i syknęła: – Coś słyszę!

Natychmiast zamilkli i nasłuchiwali. Rzeczywiście, z dołu, z klatki schodowej, coś było słychać.

Głosy. Hałas drzwi wyłamywanych w pierwszym mieszkaniu.

– Ten przeklęty *hijo* musi gdzieś tu być! – kłął ktoś niskim głosem. Potem wrzasnął: – Wyłaż, tak czy owak cię znajdziemy, więc nie utrudniaj tego nam i sobie!

Tym słowom towarzyszył dudniący śmiech. Ktoś zachichotał, potem pierwszy głos odezwał się z wściekłością: – A ty jesteś pewny, że ten *cabrón* wbiegł tutaj?

– *Si, hombre*, nie dało się nie zauważyć. Ten dupek biegł w dół ulicy i zniknął w tym domu. Musi tu być. Ten szczur się ukrywa, ale gdy wyjdzie ze swojej dziury, mamy go.

Głos tego drugiego brzmiał teraz głośniejsz, bo wrzeszczał w wejściu do domu.

– Słyszysz mniej, *hijito*? Dopadniemy cię. Stąd jest tylko jedno wyjście i ono wiedzie wprost w nasze ramiona.

– Cholera, kogoś szukają! – cicho syknęła Jenna. – Co teraz robimy?

Nikt nie wiedział.

Hałas znów był głośniejszy, bo dwóch mężczyzn przeszukiwało po kolei mieszkania na parterze.

– Idą na górę. Wcześniej czy później nas znajdą, nawet jeśli chcą załatwić kogoś zupełnie innego.

Jesteśmy obcy, a oni mają broń. Musimy coś wymyślić. León? Szybko!

León się rozejrzał. W mieszkaniu było wiele pomieszczeń, a na tym piętrze jeszcze kilka mieszkań, ale to wszystko im nie pomoże.

– Możemy spróbować wyjść przez dach – zaproponował. – Może tam nie wejdą.

– Nie. – Jeb gwałtownie pokręcił głową. – Na górze od razu nas zobaczą i odstrzelą jak kaczkę.

– To co? – zapytała Jenna.

– Broń. Potrzebujemy broni.

Rozejrzeli się dookoła. Mogą spróbować wyrwać nogi od krzesła, ale co zrobić z nogą od krzesła przeciwko broni automatycznej?

León czuł, jak czas ucieka. Intruzi już wchodzili po schodach na pierwsze piętro, by kontynuować poszukiwania.

– Musimy się ukryć albo stąd uciekać – powiedział cicho.

Nagle Jenna głośno wypuściła powietrze.

– Drabiny ewakuacyjne – powiedziała z przekonaniem.

– Jakie drabiny? – dopytywał się León.

– Domy w tej okolicy mają drabiny przeciwpożarowe. Widziałam je, gdy weszliśmy w boczną uliczkę.

Może i tutaj są.

– Myślisz, że możemy zejść na dół na zewnątrz, kiedy oni są zajęci piętrami pod nami? – zapytał Jeb.

– To niebezpieczne. Mogliby nas zobaczyć, bo będziemy próbowali prześliznąć się obok nich.

– Masz inną propozycję?

– Dobra, próbujemy.

Nie znaleźli przy oknach drabin ewakuacyjnych, Jenna po cichu wymknęła się na korytarz – przy oknach klatki schodowej też nie było drabin. Mary i León przeszukiwali mieszkania w nadziei, że odkryją wyjście przez okno. Nic takiego nie było. León klął pod nosem. Na myśl, że siedzą jak szczury w pułapce, ogarnęła go obłądana wściekłość, ale potem spojrzał na Mary, która patrzyła na niego bezradnie, i jego gniew uleciał. Zrobił dwa kroki i już był przy niej, wziął ją w ramiona i pocałował w czoło. Czuł, że nagle się wzdrygnęła, ale pozwoliła, by ją uspokoił.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął jej do ucha.

Jeb i Jenna wrócili z rekonesansu po pomieszczeniach.

– Może drabiny ewakuacyjne są po drugiej stronie budynku – zastanawiał się głośno Jeb.

Próbował dodać im otuchy. Każde mieszkanie musiało mieć dostęp do drogi ewakuacyjnej, bo jak inaczej można byłoby się w razie potrzeby ratować?

León chciał coś powiedzieć, gdy drzwi gwałtownie się otworzyły i ktoś ciężkim krokiem wszedł do mieszkania.

Postać była szczupła. Nieco wyższa od Leóna, ale niższa od Jeba. Młody człowiek był w spodniach od dresu, tenisówkach i białej koszulce bez rękawów. W mdłych ciemnościach jego zęby błysnęły, a twarz połyskiwała od potu. Był łysy i wytatuowany od stóp do głów jak León. Gdy odkrył tę czwórkę, nagle stanął i wpatrywał się w nich wielkimi oczami.

León zareagował pierwszy. Prawie niewidzialnym ruchem skoczył do przodu i chwycił intruza za szyję, potem błyskawicznie obrócił wokół własnej osi, wykręcił mu rękę na plecy i przycisnął głowę tak, że ten ledwie łapał dech. Wszystko trwało nie więcej niż kilka sekund.

– Hej, człowieku, ostrożnie – charczał obcy. – Udusisz mnie, nie mogę oddychać.

León trochę rozluźnił chwyt.

– Znam cię – syknął młodemu typkowi do ucha. – Nazywasz się Miguel, ale wszyscy nazywają cię Loco. Szaleniec.

– Cholera, kim ty jesteś?

– Powiedz tylko, że nie rozpoznajesz najlepszego przyjaciela! – warknął León.

Intruzy odwrócił głowę, żeby spojrzeć Leónowi w twarz. León mu na to pozwolił.

– Co za bzdury opowiadasz? – stęknął Loco. – Najlepszy przyjaciel? Zwariowałeś? Nie znam cię, *cabrón*.

León patrzył na niego zmieszany. Był pewny, że rozpoznał go jako swojego kumpla Loco. Spróbował jeszcze raz.

– To ja. León.

– Nie znam żadnego Leóna, a teraz mnie puść, ty ciulu. Skąd masz te tatuaże?

– Ty tego nie wiesz? – syknął León. – Sam mi je zrobiłeś. Przez trzy tygodnie wymyślałem ci i przeklinałem cię przy każdym nakłuciu, a teraz sobie tego nie przypominasz?

– Nie opowiadaj mi bajek – odrzekł Loco. – Przestań faszerować się prochami. Mówię ostatni raz, nie znam cię, a teraz mnie puść.

– Jeszcze nie. Kto jest na dole?

– *Muerte negra*. Dwa dupki z *muerte negra*, które mnie wytropiły i teraz chcą ukatrupić. Dziś w nocy dobrze daliśmy im popalić.

– Dlaczego to zrobiliście? Tam byli ludzie, którzy nie mają nic wspólnego z wojnami gangów.

– Człowieku, zadajesz naprawdę dziwne pytania. Jesteśmy *hijos*. Zawsze tak było i gdybyś rzeczywiście był jednym z nas, też byś to wiedział.

Gdy León trzymał drobnego chłopaka, o którym myślał, że jest jego przyjacielem, powróciły obrazy z przeszłości i znane od dawna uczucia: strach, wściekłość i bezsilność, i owładnęły nim jak fala.

Nic się nie zmieniło. Czyżby jednak wrócił do domu? A co z poprzednimi światami, jak do nich trafił?

„Skup się, Leónie. Zastanów się szybko, jak możesz uratować siebie, Mary i resztę”.

– Jaką mają broń?

– Nie wiem, człowieku. Nie stałem tam i nie pytałem.

– Masz pomysł, jak się stąd wydostać?

Hijo pokręcił głową.

– Chciałem zejść na dół po drugiej stronie budynku, ale nie ma tu tych przeklętych drabin ewakuacyjnych. *Mierda*.

– Masz giwerę?

Młody człowiek się zawahał.

– Daj mi ją – zażądał León. – Bardzo powoli.

Automatyczny pistolet tkwił za paskiem. León nie widział go pod białą koszulką. Loco wyciągnął go czubkami palców.

León sięgnął nad ramieniem i wyrwał mu go z dłoni. Potem puścił *hijo*, cofnął się o dwa kroki i skierował broń w jego stronę.

– Ręce za głowę – rozkazał cicho.

– Cholera, co...

– Ręce za głowę! – powtórzył León. Gdy Loco podniósł ręce, León dał Jebowi znak. – Przeszukaj go.

Jeb obmacał Latynosa.

– Nie ma nic więcej.

León zdecydował się spojrzeć w kierunku Mary i Jenny, które stały w bezruchu pod ścianą i wpatrywały się w obcego. Obydwie wydawały się przestraszone, a poza tym wszystko było w porządku.

– Co teraz robimy? – zapytał Jeb.

– Mamy broń. Teraz musimy być tylko sprytni. Zastawimy na tych typów pułapkę.

Jeb uniósł brew. León widział ten gest, chociaż na twarz Jeba padało niewiele światła. Zawołał do siebie Mary i Jenę. Gdy wszyscy zgromadzili się wokół niego, po cichu przedstawił im plan. Widział, że nie byli przekonani do jego pomysłu. Wszystko albo nic. Loco milczał.

Z dołu nadal dochodziły jakieś odgłosy. Dwaj członkowie gangu zniknęli w mieszkaniach na drugim piętrze. Sytuacja stawała się krytyczna. Słyszeli głośne przekleństwa w mieszkaniu pod nimi.

– Róbcie, co wam powiedziałem – zażądał León.

Płynnymi ruchami podniósł automat i odbezpieczył broń. Loco nie oddał ani jednego strzału.

W magazynku tkwiło osiem błyszczących naboí.

León zadowolony kiwnął głową. Widział, jak pozostali kładą się na podłogę. Każde skurczone, w dziwnej pozycji. W słabym świetle wyglądali na martwych i tak miało być. León poszedł do drzwi i przykleknął obok wejścia, z plecami mocno opartymi o ścianę, próbował jak najmniej rzucać się w oczy.

Potem podniósł broń Loco i szybko strzelił cztery razy, raz za razem. Kule wbiły się w sufit pokoju, posypało się z niego wapno.

Następnie dał Loco znak i *hijo* natychmiast zaczął wrzeszczeć i piszczeć. Brzmiało to przerażająco prawdziwie.

Zaalarmowani wbiegli po schodach na górę, głośno wydawali sobie nawzajem niezrozumiałe komendy, ale wrzask Loco kazał im w końcu porzucić wszelką ostrożność. Z bronią w rękach wpadli do pokoju.

León wiedział, co zobaczyli. Troje martwych i jednego *hijo*, który wił się na podłodze z bólu. Więcej nie potrzebował.

Jak cień podniósł się za tymi dwoma i przycisnął jednemu z nich wylot lufy do czaszki.

– Rzucić broń! – rozkazał lodowatym głosem.

Typki zwlekały.

– Natychmiast rzucić broń, bo was zastrzelę!

Muerte negra w czerwonej bandanie i czarnym ubraniu, któremu przystawił broń do głowy, rzucił swoją pukawkę, która z hukiem upadła na podłogę. Ten drugi, który nosił rzucające się w oczy neonowożółte sportowe buty i dres w czarno—czerwoną kratkę, wciąż zwlekał. León wiedział, co się teraz stanie. Już raz to przeżył. Czas w tym momencie zaczął płynąć inaczej. Stał się gęsty jak syrop, płynął strasznie leniwie. Wszystko działo się w zwolnionym tempie.

Drugi *muerte negra* szybko się obrócił, podniósł rękę, chciał strzelić, ale wtedy już León się na niego rzucił. Chciał go uderzyć kolbą pistoletu w skroń, to pewny manewr, żeby kogoś wyeliminować, lecz w tej chwili, gdy skreślił gwałtownie rękę tego drugiego, rozległ się strzał i kula przebiła czoło *muerte negra*. Padł natychmiast. Broń potoczyła się po podłodze i wylądowała obok Jenny.

Krzyknęła. Jeb skoczył na równe nogi. Loco pozbierał się i wstał, a Mary zaszyła się w najdalszym kącie pokoju.

León nie spuszczał z oczu jeszcze żyjącego *muerte negra*, który w tej chwili był zbyt zdumiony, by się poruszyć. León widział, jak młody był gangster, stąd też to głupie ubranie z rzucającymi się w oczy butami, które czyniło z niego tylko łatwy cel. To dzięki temu brakowi doświadczenia León tak szybko zabrał mu broń.

– Nie ruszaj się, to nie będziesz się musiał niczego bać.

– Cholera, zastrzeliłeś Cristiana – powiedział i w jego głosie słychać było niebywałe zdziwienie, tak jakby uważał kumpla za nieśmiertelnego. – Cristiano Rabán nie żyje.

Podszedł do niego Loco.

– To jest Cristiano Rabán?

– Tak, człowieku!

– Kim jest Cristiano Rabán? – zapytał speszony León.

Loco odpowiedział: – Młodszy brat przywódcy *muerte negra*, Roberta Rojo Rabána.

– Już jesteście martwi – powiedział młody *muerte*. – Wszyscy nie żyjecie. Rojo was znajdzie i wykończy.

– Zamknij jadaczkę! – rzucił Loco i uderzył go w twarz. – Chcieliście mnie załatwić, a załatwiliście tylko samych siebie, gnojki! – wymyślał.

Muerte negra plunął mu w twarz, Loco drgnął i z okrzykiem wściekłości rzucił się na niego, ale było za późno.

Muerte negra wykorzystał moment, by błyskawicznie uciec przez otwarte drzwi. León słyszał, jak zbiega schodami w dół. Głośno zaklął. Jak Loco mógł tak stracić kontrolę! Ten numer był stary jak świat: zrób coś nieoczekiwanego i wykorzystaj zamieszanie do ucieczki albo do tego, żeby zdobyć przewagę.

Młody *muerte negra* był wystarczająco sprytny, żeby nie sięgnąć po leżącą na podłodze broń martwego kumpla z gangu, tylko od razu uciekać. Przez skok Loco León nie mógł zobaczyć tego, co dzieje się z przodu, a Loco, zaślepiony wściekłością, dał się wymanewrować.

León podszedł do niego i uniósł mu głowę pięścią.

– *Estúpido!* Teraz uciekł. Cholera, wiesz, co to oznacza. Pobiegnie prosto do swego gangu, a potem rozpęta się piekło. Te typy odwrócą każdy kamień, żeby nas znaleźć.

– Naprawdę mi przykro, człowieku – wycharczał Loco. – Nie mogłeś zastrzelić tego drugiego?

Musiałeś koniecznie Cristiana Rabána?

– Robisz ze mnie głupka? – wysyczał León. – Skąd miałem wiedzieć, kto to jest? Nie przedstawił mi się. Myślisz, że *lubię* strzelać do ludzi? – León drżał i nienawidził siebie za to, że okazał przed innym słabość. Odetchnął głęboko. – To... był wypadek. A zasadniczy problem polega na tym, że jeden uciekł.

Musimy natychmiast stąd zniknąć.

León zwrócił się do Jeba, Mary i Jenny.

– Ludzie, nie chciałem tego... – powiedział cicho.

Patrzył przy tym tylko na Mary. Chciał, żeby go rozgrzeszyła, wybaczyła mu. Bał się, że teraz, kiedy widziała go jako mordercę, będzie go unikać. Gardzić nim i się brzydzić.

Mary powoli wstawiała. Była odwrócona do niego plecami.

– Nie jesteś winny – powiedział Jeb. – Bez twojego planu już byśmy nie żyli.

Mary wyszła z kąta i spojrzała z góry na trupa.

– Lepiej, że on niż my – powiedziała cicho, ale stanowczo.

Kąciki jej ust uniosły się lekko. Czyżby się uśmiechała? León był nie tylko zdziwiony, był szczęśliwy.

Mary mu wybaczyła!

Jenna była równie spokojna jak reszta.

– Musimy spadać, ale dokąd?

– Podążać za gwiazdą – odpowiedział Jeb.

Sfrustrowany León pokręcił głową.

– Tego nie możemy zrobić. Żeby widzieć gwiazdę, musimy poruszać się pod gołym niebem, a właśnie tam będzie nas najpierw szukał gang. Pomyślą, że spróbujemy uciec z ich terenu i dostać się do dzielnicy kontrolowanej przez *hijos*. – Zwrócił się do Loco. – Ilu ludzi mogą zmobilizować *muerte negra*, żeby nas ścigać?

– Co najmniej setkę, a prawdopodobnie więcej. Nikt nie wie, ilu członków ma ich gang.

– Cholera – jęknął León. – To wystarczy, żeby na każdej ulicy, uliczce i alejce postawić ludzi, którzy będą nas chcieli schwytać. Nie mamy żadnej szansy.

Nikt nie powiedział ani słowa. Wszyscy wpatrywali się w podłogę, a wzrok Leóna powędrował do brata człowieka, który już wkrótce z zemsty wyjdzie z siebie. Rojo Rabán – dlaczego nic mu nie mówiło to nazwisko? Już mniej zaskoczony niż jeszcze u Fernanda zauważył, że wokół głowy *muerte negra* nie powstaje kałuża krwi. Dziura w jego głowie była idealnie okrągła, ciemna, ale nie krwawiła.

„Nikt w tym świecie nie krwawi, a mimo to padają jak muchy” – pomyślał.

– Możemy wrócić do Carmelity i jej ojca i ukryć się tam na chwilę, zanim wszystko się uspokoi – zaproponowała Mary.

– Nie – odrzekł Jeb. – Wytropiliby nas tam i tylko niepotrzebnie sprowadzilibyśmy zagrożenie na ten dom. Czas nam ucieka. León zastrzelił brata przywódcy gangu i o ile zrozumiałem, nie darują nam tego.

Na policję nie możemy pójść z powodu listu gończego. Nie możemy nigdzie pójść.

– Nie tak do końca – powiedział Loco i spojrzeli na niego zaskoczeni. – Moglibyśmy spróbować w starej katedrze, na północy. Tam pewien kapłan oferuje ludziom ochronę, niezależnie od religii, rasy czy przynależności do gangu.

– Skąd to wiesz? – zapytała Jenna.

Wahał się, potem westchnął.

– Odstawiłem tam swoją mamę i siostrzyczkę, gdy się to rozpełtało. Nasze mieszkanie jest w jednym ze starych budynków, które leżą blisko granicy *muerte negra*. Ja nie chciałem się zmyć, bo nie byłoby dla mnie powrotu, ale matka i siostra powinny być bezpieczne, gdy ja zginę.

– Myślisz więc...

– Tak, możemy spróbować. Tak samo jak ten typ tutaj... – skinął głową w kierunku Leóna
– ...jestem przekonany, że teraz zacznie się wielkie polowanie. Jeśli chcemy żyć, jest tylko jedno miejsce, do którego możemy pójść.

– I wiesz, jak tam dojść? – zapytał Jeb.

– Tak, musimy przejść przez teren *muerte negra*, ale szansą jest to, że nie będą nas o to podejrzewać, tylko szukać przy granicy terenu *hijos*.

Mieli iść przez teren wroga. Byli oddziałem samobójców, ale musieli spróbować. León wiedział, że potrzebowali broni. Nawet jeśli robił to wbrew sobie, podniósł z podłogi obydwie pistolety *muerte negra* i sprawdził ich magazynki. Klik-klak. Magazynki bez kłopotu mu się wysunęły. I jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że obydwie były puste.

Rzucił je z hukiem na podłogę.

Westchnął, na wpół z ulgą, na wpół z przerażeniem.

„Był nieuzbrojony! – pomyślał. – A ja go zastrzeliłem”.

León zbliżył się do pozostałych. Zobaczył lęk na ich twarzach.

„Będziemy przechodzić przez teren *muerte negra*. Ale co potem? – zadawał sobie pytanie.

– Jak stamtąd wyjdziemy? Musimy podążać za gwiazdą, ale to teraz niemożliwe.

Muszę zabrać ich w bezpieczne miejsce. Najpierw trzeba przeżyć noc, potem coś wpadnie mi do głowy. W katedrze będziemy mogli spokojnie stworzyć plan, jak działać dalej. Licznik jeszcze nie skończył odliczania”.

– Jeśli wszyscy się zgadzają, nie powinniśmy tracić więcej czasu – powiedział León.

Wszyscy kiwnęli głowami.

– To ruszajmy!

Gdy wyszli na ulicę, wiatr dmuchał im w twarz dymem z szalejącego w oddali pożaru. Członkowie *muerta negra* wycofali się. To mogło nie mieć z nimi nic wspólnego, bo od zastrzelenia Cristiana Rabána nie minęło wiele czasu. Jeb podejrzewał raczej, że skończyła im się amunicja albo że po prostu na zewnątrz nie było już nikogo, do kogo mogliby strzelać. Wciąż czuł się słabo, ale próbował nie dać tego po sobie poznać. Nienawidził takiego stanu, gdy miał wrażenie, że własne ciało nie chce mu się podporządkować. Mimo to szedł dalej. Tak naprawdę bał się, że w którymś momencie się załamie.

Przyciskając plecy do ściany domu, by chwilę odsapnąć, stał z resztą grupy w cieniu domu i sondował okolicę.

Wyglądała na wymarłą. Oprócz wszechobecných trzasków ognia nic nie było słyhać. Wszędzie panowała napięta atmosfera, jakby świat wstrzymał oddech, żeby śledzić, co się teraz stanie.

– Idziesz przodem – syknął León i dotknął ramienia Loco.

Hijo nie zwlekał. Pochylony, pod ochroną domów, gnał w dół ulicy.

Zrobiło się jeszcze goręcej. Płonęło kilka budynków, a płomienie buchały z wybitych okien.

„Dawniej mieszkali tu ludzie – pomyślał Jeb. – Rodzice kładli dzieci spać, obchodzono rodzinne uroczystości, a teraz? Wszystko zniszczone”.

Kiedyś skończą się rozruchy, władze odzyskają kontrolę nad dzielnicą, ale te budynki wydają się tak zniszczone, a przemoc tak wszechobecna, że Jeb zadawał sobie pytanie, kiedy znów życie będzie tu płynąć zwyczajnie. Wielu straciło wszystko. A przy tym to było tak bezsensowne. Biedni ludzie rabowali biednych, sprzedawali im narkotyki, okradali się nawzajem. Latynosi zabijali Latynosów.

„I co my robimy w samym środku tego wszystkiego? – zadawał sobie pytanie, ale czuł, że odpowiedzi jest nieskończenie wiele i ani jednej dobrej. – Czy nasz świat jest taki sam? – zastanawiał się. – Przypominam sobie wiele rzeczy, ludzi i wydarzeń, które mnie dotyczą, ale co ze światem, w którym żyję?”.

Spojrzał na Leóna, który szedł tuż przed nim.

León walczył z Miszą, zabrał mu ostatnią wolną bramę i zostawił w obcym świecie. Skazał go na śmierć.

„I to po wszystkim, co Misza dla nas zrobił” – pomyślał.

Ale León nie był już tylko wściekłym, zimnym jak lód wojownikiem. Wykazywał się odpowiedzialnością i Jeb mógł w jego zachowaniu dostrzec coś na kształt uczuć. Innych niż nienawiść czy chęć zemsty. Coś się wydarzyło pomiędzy Mary i Leónem. Od tej chwili wytatuowany chłopak będzie z taką samą determinacją bronić Mary jak on Jenny. Konflikt był nieunikniony.

„Jeśli dotrzemy do bram, dojdzie do walki pomiędzy nami. W tym stanie chyba nie będę miał szansy wygrać” – uznał Jeb.

Poczuł swoje zmęczone nogi. Na ile jeszcze wystarczy mu sił? Wzdrygnął się na myśl, jak błyskawicznie León zaatakował Latynosa. Nie wahał się, nie zwlekał. Gdy León przedstawiał swój plan, było dla Jeba jasne, że musi się bronić, żeby ich ratować. Co powiedział, kiedy

rozmawiał z Loco?

„Zasadniczy problem polega na tym, że jeden uciekł”.

Czyżby zamierzał zabić obydwu?

Wydawało się, że Leónowi zabijanie przychodzi łatwo, ale nawet jeśli tak nie było, nie zawaha się, by zdobyć wolną drogę dla siebie i Mary.

„Czy jestem zdolny do zabicia kogokolwiek? – zastanawiał się Jeb. – A Leóna, gdy stanie na drodze Jennie i mnie?”.

Nieważne, ile niebezpieczeństw przetrwają i ile jeszcze problemów razem rozwiążą, na końcu zawsze czekają na nich bramy. One nieodwołalnie zakończą życie jednego z nich. Tak, spróbuje to zrobić, bo nie dopuści, żeby Jenna tu została.

Jeb pogrążony w myślach szedł przez płonące Los Angeles, po którym się tak bardzo spodziewał, że zaprowadzi go do domu.

„Mam nadzieję, że będę tak dzielny jak Misza, gdy już do tego dojdzie”.

Potem przyszła mu do głowy myśl, że mógłby zostać dobrowolnie. Ale co później z Jenną?

W następnym świecie León się zatroszczy, żeby to on i Mary zdobyli wolne bramy, i bez skrupułów zostawi Jennę.

„Jeb, pomyśl jeszcze raz, napominał siebie. Jeśli Jenna ma żyć, León musi umrzeć”.

Mocno zagryzł wargi.

„Mam nadzieję, że wystarczy mi sił, by to zrobić”.

Jego myśli płynęły nieprzerwanie, gdy Loco nagle stanął.

– Coś słyszę – powiedział.

Wszyscy nasłuchiwali.

Rzeczywiście, jeszcze daleko, ale wyraźnie brzmiał dźwięk silników. Tym razem nic nie dudniło.

Ktokolwiek się zbliżał, robił to powoli i w skupieniu.

„Przeszukują okolicę – pomyślał Jeb. – Szukają nas. Jeden fałszywy ruch i mają nas na tacy”.

Loco dał im znak i pobiegli. Na najbliższym rogu skręcili i przywarli do wejścia do domu.

Samochód się zbliżał. Reflektory tańczyły po ulicy, potem auto podjechało i zatrzymało się na skrzyżowaniu. Jeb czuł, jak serce mu wali niczym młot. Nienawidził być skazany na bezczynność. Jeden raz w życiu uciekł przed czymś i przysiągł sobie, że nigdy więcej tego nie robi. A teraz stał przyciśnięty do ściany jakiegoś domu i modlił się, by go nie odkryli. Był znów skazany na bezczynność.

Zatem *muerte negra* już dotarł do swojego gangu. Wiedzą, jak wyglądamy i kogo mają szukać.

Typki w samochodzie zastygły na minutę na skrzyżowaniu i obserwowały otoczenie we wszystkich kierunkach. Jeb niemalże czuł ich spojrzenia. Skóra swędziała go jak nigdy dotąd, ale podrapanie się teraz byłoby czystym obłędem. Pojazd gangu wciąż się nie ruszał. Swędzenie stawało się coraz bardziej nieznośne. Obok niego przywarła do ściany Jenna. Słyszał, jak cicho oddycha. León, Mary i Loco stopili się w jeden cień. Jeb myślał, że nie wytrzyma ani sekundy dłużej.

„Nie ruszaj się – nakazywał sobie – ani milimetra albo wszyscy umrzemy. Pomyśl o czymś innym, szybko”.

Jego ręka bez końca macała ścianę w poszukiwaniu ręki Jenny, zagryzał wargi, żeby ból na chwilę zmienił tok jego myśli. Ledwie dotknął nadgarstka Jenny, objęła jego dłoń swoją.

Silnik auta znów zaczął pracować. Pojazd powoli odjechał z jego pola widzenia. Teraz Jeb nie wytrzymał. Gwałtownie wyrwał rękę i zaczął się intensywnie drapać i nacierać obydwoma ramionami.

– Co się dzieje? – zapytał León ledwie słyszalnie. – Co robisz? Te typy mogą w każdej chwili wrócić. – Potem León zwrócił się do Loco: – Dokąd teraz?

– Myślę, że tą ulicą w dół – odpowiedział po cichu.

– Myślisz? – złościł się León.

– Człowieku, to nie jest moje Barrio. Nie znam tej dzielnicy, a jeśli wiesz lepiej, to możesz iść przodem.

León trochę się pochylił. Mocno trzymał broń w garści, z lufą skierowaną do góry.

– Nie zapominaj, kto ma twoją giwerę – syknął. – A teraz dalej.

– Ach tak, giwera, prawie już zapomniałem. Najpierw twierdzisz, że jestem twoim najlepszym przyjacielem, a potem grozisz, że mnie załatwisz. Jak to ma do siebie pasować?

León zwlekał. To nie był najlepszy moment, żeby wyjaśniać sobie takie rzeczy, ale z drugiej strony czuł, że nie uda mu się dłużej kontrolować Loco. Broń nie robiła już na nim wrażenia, ale potrzebowali go, by się stąd wydostać. Żeby w ogóle mieć jakąś szansę.

Im dłużej szli przez noc, tym dziwniejsze wszystko mu się wydawało. To prawda, nie była to jego dzielnica, czuł się tutaj obco. León oczekiwał, że jeśli wróci do swego życia, będzie się czuł bezpiecznie, ale było wręcz przeciwnie. Wszystkie jego zmysły pozostawały wyostrzone, a instynkty sprawiały, że był niespokojny i niecierpliwy. Ogarnęła go trudna do wyjaśnienia wściekłość i teraz poganiała naprzód.

Z trudem udawało mu się trzymać w ryzach, a fakt, że kogoś zastrzelił, nawet jeśli nieumyślnie, nie poprawiał sytuacji. Dawna nienawiść do siebie wróciła i dzieliła go od Mary i pozostałych.

„Staję się zwierzęciem, a przysięgałem sobie, że nigdy więcej do tego nie dopuszczę” – pomyślał.

Klął w duchu.

– Co teraz z tobą i ze mną, *hombre*? – zapytał Loco. – Masz mi coś do powiedzenia?

– Wiem, kim jesteś. Znam wszystkich z gangu. Wiem o was wszystko. Wasza kwatera główna jest w starej piwnicy, do której można się dostać tylko przez zamykaną stalową klapę i po drabinie. Tam bunkrujecie pieniądze, narkotyki i broń. Wystarczająco często byłem tam z tobą na dole, paliłem trawkę i piłem tequilę, którą twój stary pędzi w beczce po oleju.

Loco patrzył na niego z szeroko otwartymi oczami.

– Wiem jeszcze więcej. Twoja mała siostrzyczka Maria zmarła w wieku dziesięciu lat i męczy cię to do dziś, nawet jeśli o tym nie mówisz. Dlatego szukasz zagrożeń. A właściwie szukasz śmierci, choć wszyscy uważają to za odwagę i nazywają cię szalonym.

– Skąd to wiesz? – Loco podszedł tak blisko, że ich twarze prawie się stykały. – Powiedz mi!

– Byłem przy tym. Przy wszystkim. Na pogrzebie Marii stałem obok ciebie.

– Niemożliwe – syknął Loco. – Nie znam cię.

– Nie zmienia to faktu, że cię znam. Jak zwykle siedzimy razem w tym gnoju i musimy się z niego jakoś wydostać. Więc chodźmy dalej. – Już miał pójść, ale zwrócił się do Loco jeszcze raz. – Jeszcze tylko jedno, Loco. Jeśli spróbujesz nas wykiwać albo zwiąć, zakatrupię cię. Nawet jeśli byłeś kiedyś moim najlepszym przyjacielem, zrobię to. Miej tego

świadomość.

Loco bez słowa ruszył.

Przemykali przez noc już chyba całą wieczność. Przechodzili przez tylne dziedzińce, wdrapywali się na płoty. Raz natknęli się na owczarka, który ujadał na nich jak szalony, gdy przemykali obok niego. Bardzo się go bali, ale pies był na krótkim łańcuchu i nie mógł im niczego zrobić. Zanim szczekanie ich zdradziło, znów byli daleko.

Kiedy dochodzili do jakiegoś skrzyżowania i musieli przejść przez ulicę, biegli, jakby ich gonilo stado diabłów. Wielokrotnie słyszeli warkot silników i jeszcze dwa razy pojazdy gangu przecięły im drogę, ale udało się na czas znaleźć kryjówkę i nikt ich nie wypatrzył.

Jeb koniecznie potrzebował znaku, że wszystko będzie dobrze. Tymczasem za fasadami pojawił się pierwszy promień poranka i nie wiedzieli, jak daleko im jeszcze do tej podejrzanej katedry. Jeb przypuszczał, że Loco wielokrotnie się zgubił, ale nie mogli zrobić niczego innego niż niezmordowanie za nim podążać. Gdy dotarli do kolejnego skrzyżowania, podejrzenie Jeba przerodziło się w pewność. Już tu byli. Jeb dał sygnał, żeby się zatrzymali.

Wysiłek, ale też napięcie związane z ucieczką ich wykańczało, byli wyczerpani.

Rozgrzane policzki Mary wyglądały na nienaturalnie czerwone. Jak zwykle martwił się o Jenę, ale ona się nie skarżyła. Sam czuł się, jakby za chwilę miał się załamać, a León wyglądał nie lepiej. Nawet Loco, który dotychczas był najenergiczniejszy, szedł ciężko i sapał przy każdym kroku.

Właściwie musieli szybko zrobić sobie przerwę, ale zatrzymanie się nie wchodziło w rachubę, musieli iść dalej. Ich celem była katedra, a co potem nastąpi, było dla Jeba zagadką. Czy ktoś wiedział, co miało się potem stać?

– Co jest? – sapnął León.

– Ten koleś prowadzi nas w kółko. Tu już byliśmy. Rozpoznaję domy. Przechodziliśmy tu z pół godziny temu.

León odwrócił się i spojrzał na Loco. Jeb się przestraszył, gdy zobaczył gniew w oczach Leóna.

Wrócił dawny León i był bardziej niebezpieczny niż kiedykolwiek przedtem.

– To prawda? – zapytał Loco. – Byliśmy tu już?

Loco drgnął jak pod naporem ciosu.

– Ja... nie wiem. Być może, może wszedłem nie w tę uliczkę.

– Popełniasz błędy, które mnie i moich przyjaciół mogą kosztować życie.

– Przecież nie celowo. Chcę się stąd wydostać, a może sądzisz, że bawi mnie ganiecie po okolicy z *muerte* depczącymi po piętach?

– Nic nie sądzę – wysyczał León. – Ale powinieneś się skupić, bo od tego zależy, czy przeżyjesz noc, czy nie.

Dwadzieścia minut później Loco stanął. Ostrożnie wysunął głowę za uskok ściany jakiegoś domu i wpatrywał się w dal.

– Tam jest – szepnął cicho.

– Udało nam się – powiedziała Mary.

– Ale to nie może być prawda – jęknął Loco. – Zobaczcie.

Jeb od razu dostrzegł, co miał na myśli *hijo*. Wszystko na nic. Całe to bieganie nocą w

ciągłym zagrożeniu, że ich dopadną, było na nic.

Przed katedrą rzucało się w oczy kilka pojazdów. Nie tuż przed nią, ale tak, że ich maski były zwrócone w kierunku budowli z klinkieru, która stała przed nimi ciemna i z zamkniętymi drzwiami.

Widział w ceglanych ścianach ślady po kulach, świadczące o tym, że przemoc nie omijała nawet domu bożego.

Jeb rozejrzał się po okolicy. Był pewny, że w pobliskich budynkach kryją się *muerte negra*, ale nikogo nie dostrzegł. Samochody również były puste. Wiedział z doświadczenia, jak zachowują się ludzie w takiej dzielnicy. Czuł się niepotrzebny i całkowicie zdany na innych.

– Widzisz kogoś? – zwrócił się do Leóna.

– Oni tu są – spokojnie odpowiedział León. – Czuję ich.

– Co teraz robimy? Nie wejdziemy przecież do środka.

Spojrzał na Jennę i Mary, które nieme i blade ze zmęczenia stały obok niego. Ich jedyna nadzieja właśnie się rozwiła. Wkrótce za domami wzejdzie słońce, oni są na wrogim terenie, ścigani i nie ma tu żadnego miejsca, w którym mogliby się ukryć.

– Nie, nie wejdziemy. Wystrzelają nas, zanim dotrzemy do wejścia. Wszystko na nic.

León sprawiał wrażenie wyjątkowo spokojnego, ale Jeb czuł, jakie moce się w nim kotłują w obliczu beznadziejnej sytuacji.

– Musimy zejść z tej ulicy. Natychmiast! – powiedział León i Jeb zadrżał, gdy usłyszał jego lodowaty ton.

– Tam jest wysoki budynek. Wygląda na szkołę. Spróbujemy tam? – powiedziała Jenna i wskazała w dół ulicy.

W nadchodzącym świetle poranka kompleks budynków wyglądał jak gigantyczna cholewka buta, ale w jakiś dziwny sposób budził zaufanie, prawdopodobnie dlatego, że jeszcze niedawno młodzi ludzie, tacy jak oni, chodzili do tej szkoły. Na korytarzach panował śmiech, ciche rozmowy i jednostajna codzienność zajęć. To wszystko Mary, Jenna i Jeb stracili. Jeb był prawie pewien, że León już dawno nie chodził do szkoły. Oto było przed nimi miejsce, które bardziej niż wszystko inne przypominało ich ojczyzny. Dlaczego więc nie ukryć się właśnie tam?

– Ja jestem za – powiedział Jeb.

Mary i León kiwnęli głowami. Loco wzruszył ramionami.

– To ruszajmy – rzekła Jenna.

Liceum imienia Abrahama Lincolna stało opuszczone, ale niczego innego nie oczekiwali. Wszystkie okna na parterze były zakratowane i dodatkowo zabite deskami, żeby nikt nie mógł przez nie wrzucić materiałów zapalających. Może dlatego szkoła, w odróżnieniu od większości budynków w okolicy, pozostała nietknięta.

Te środki ochrony utrudniły jednak wejście do szkoły. W końcu León odkrył za kontenerem na śmieci ukryte okienko do piwnicy, które wybił. Potłuczone szkło głośno zadźwięczało w porannej ciszy, ale nadal panował spokój. Nie włączył się alarm, a w sąsiednich domach nikt nie pokazał się w oknach.

Po kolei wśliznęli się do budynku i pierwszy raz od pojawienia się w tym świecie poczuli się bezpieczni.

O dziwo, był tu prąd, prawdopodobnie działał gdzieś awaryjny agregat prądotwórczy, mogli więc zapalić światło. Nie musieli się martwić, że ich odkryją. Drewniane deski w

oknach dbały o to, by światło nie przeniknęło na zewnątrz.

Na parter szli po schodach. Tu czekał na nich długi korytarz z metalowymi szafkami. Prowadził do kawiarenki. Wszystkie stoły były przykręcone do podłogi, za to krzesła stały i leżały dookoła, jakby uczniowie pośpiesznie zerwali się i uciekli z pomieszczenia. Na podłodze poniewierały się serwetki, kartonowe opakowania i resztki jedzenia. Na stołach walały się tace, a także mnóstwo papieru i jedzenia.

León rzucił na nie okiem. Był głodny, ale wszystko, co znalazł, było albo wysuszone, albo zaczynało pleśnieć.

– Wygląda na to, że gwałtownie uciekali – usłyszał za plecami Jennę. – Prawdopodobnie włączył się alarm i wybiegli.

León skinął głową. Rozeszli się po pomieszczeniu.

– Tu na razie jesteśmy bezpieczni – stwierdził Jeb. – Przeczekamy ten dzień i może wpadniemy na jakiś pomysł. Gdy się ściemni, ruszymy dalej, spróbujemy dotrzeć do bram.

– Co ty bredzisz? Jakie bramy? – zapytał Loco.

– Nie wtrącaj się! – warknął León.

– Chce mi się pić – odezwała się Mary.

– Rozejrzyjcie się. Stoi tu dookoła wiele rzeczy, a poza tym w kącie leżą szkolne torby i plecaki. Na pewno coś w nich znajdziemy – powiedziała Jenna.

Przez następne dziesięć minut wszystko przetrząsali. Jeb odkrył automat z przekąskami, gdy za rogiem sali zajrzał w kolejny korytarz. Wydawało się, że automat działa, bo jego podświetlenie, które reklamowało czekoladowe batony, chipsy i orzeszki ziemne, było włączone i kusząco migało. Nie mieli jednak pieniędzy, a bez narzędzi nie dało się włamać do maszyny.

W końcu posprząтали na jednym ze stołów i rozłożyli na nim swoje znaleziska. Niewiele tego było.

Znaleźli trzy butelki wody i jedną coli. Do tego po czekoladowym batoniku i po dwie torebki orzeszków ziemnych dla każdego.

– Nie za wiele – westchnęła Mary.

– Musi wystarczyć – krótko skwitował León.

Gdy siadali, Jenna przeszła przez salę i zniknęła w obrotowych drzwiach. Zaraz potem wróciła.

– Tam z tyłu jest coś podobnego do kuchni, ale lodówki są puste. Jest zlew, ale – właściwie to nic dziwnego – z kranów nie leci woda. Prawdopodobnie jest odcięta.

– Budynek jest duży, znajdziemy więcej rzeczy, jeśli przeszkujemy klasy i inne pomieszczenia – zapewniał ich Jeb.

León spojrzał na Jeba, ale on tego nie zauważył, bo patrzył na Jennę, która usiadła obok.

„Jak zwykle próbujesz dodać nam otuchy i nadziei, Jeb – pomyślał León. – Ale widzę, że jeszcze nie odzyskałeś dawnej siły, i nie mam pojęcia, jak długo wytrzymasz”.

León zastanawiał się, co robi, jeśli Jeb nie będzie mógł iść dalej.

„Pomogę mu czy zostawię jak kiedyś Jennę na stepie?”.

Nie znał odpowiedzi i to go zaskoczyło. Postanowił zostawić sprawy ich biegowi, bo jeśli do tego dojdzie, będzie wiedział, co zrobić. Mary podała mu przez stół butelkę z wodą i zaczął pośpiesznie pić, ale zadowolili się kilkoma łykami.

Loco rozsiadł się naprzeciwko niego i położył nogi na stole. W Leónie zawrzało. Rozwścieczyło go to.

Spod przymkniętych powiek wpatrywał się w chłopaka, który patrzył na niego z uśmiechem.

– Buty na dół – syknął León.

Rozmowa między Jenną a Jebem zamarła.

– Co? – zapytał speszony Loco.

– Słyszałeś. Nogi na dół!

– Żartujesz? Nie masz tu nic do powiedzenia!

León skoczył na równe nogi i strącił tenisówki Loco ze stołu. Wszystko to jednym ruchem. Loco omal nie stoczył się z krzesła na podłogę.

Na jego twarzy malowało się zaskoczenie i to sprawiło, że León się uspokoił. Ogarniający go nagle gniew uleciał.

– Jeśli coś mówię, zrób to – powiedział spokojnie.

Potem wstał i wyszedł.

Jeb wpatrywał się w zebranych. Wszyscy milczeli. Nawet ten *hijo* nie powiedział słowa. Wybuch Leóna zaskoczył ich wszystkich i Jeb w duchu zadał sobie pytanie, czy León był bliski utraty kontroli nad sobą.

Dlaczego? León nigdy nie okazał słabości, mimo to jego gwałtowna reakcja była niezwykła.

Loco wstał od stołu.

– Zdrzemną się. Od dwóch dni nie spałem.

Nie czekając na odpowiedź, rozciągnął się w kącie kawiarenki, chwycił jakiś plecak i wsunął go pod głowę. Wkrótce potem jego regularny oddech obwieścił wszystkim, że zasnął.

– Co teraz robimy? – cicho zapytała Jenna.

Jeb spojrział na nią.

– Poczekamy, aż się ściemni, i spróbujemy przebić się przez ulice.

Mary wstała.

– Idę poszukać Leóna. Jeśli coś planujemy, powinien być przy tym. – Chwilę później zniknęła.

– Co powiesz o Leónie? – zapytał Jeb.

Jenna wzruszyła ramionami.

– Ma prawo się wkurzyć. Nikomu nic się nie stało.

– Owszem, ale trochę się go boję.

Jenna cicho się roześmiała.

– A czy nie zawsze tak było? Taki po prostu jest. Dziki i trochę nieobliczalny.

– Co będzie, gdy dotrzemy do bram? – dopytywał się Jeb. – Oboje wiemy, że będzie rościł sobie prawo do wolnych bram dla siebie i Mary. – Jeb spojrział na nią. – I będzie gotowy o nie walczyć.

– Nie myśl o tym teraz. Bramy są daleko, poza naszym zasięgiem. Może się jeszcze wiele zdarzyć.

– Musimy być przygotowani.

Wyciągnęła rękę i palcami zmierzwiła mu włosy.

– Ach, Jeb, nie możemy się na nic przygotować. Nigdy nie mogliśmy, odkąd jesteśmy w labiryncie.

Wciąż wszystko jest nowe i zaskakujące, nigdy nie wiemy, co przyniesie następna chwila.

Możemy tylko mieć nadzieję i walczyć.

Jeb spuścił głowę, żeby Jenna nie mogła spojrzeć mu w oczy. On będzie przygotowany, gdy dojdzie do walki z Leónem o bramy.

Jenna wstała.

- Rozejrzę się. Na pewno jest tu jeszcze parę rzeczy, których moglibyśmy potrzebować.
- Idę z tobą – od razu powiedział Jeb, ale Jenna pokręciła głową.
- Musisz mieć go na oku – powiedziała i skinęła w kierunku Loco, który wciąż jeszcze spał, cicho pochrapując.
- Poczekaj, aż León i Mary wrócą – zaproponował Jeb.
- Nie, reakcja Leóna mnie zdenerwowała. Nie mogę tu przesiadywać. Muszę coś zrobić.
- Dobrze, to się wyżyj. – Jeb słabo się uśmiechnął. – Może znajdziesz latarkę, przydałaby się.
- Będę miała oczy otwarte.

Jenna wyszła z kawiarenki i podążyła korytarzem, który prowadził w prawo do klas. Większość drzwi stała otworem, również tu widoczne były wyraźne ślady pospiesznej ucieczki. Dookoła leżały torby i plecaki. Książki i papiery były porozrzucane na ławkach, ale też na podłodze. Jenna weszła do pierwszego pomieszczenia i szukała jedzenia, wody albo ubrań. Wszystko, co znalazła, zapakowała do tekstylnej torby z nadrukiem ze *Smiley*. Gdy przeszukała wszystkie klasy, łup był całkiem solidny. Miała trzy kolejne plastikowe butelki z wodą, trzy puszki napojów energetycznych i jedną coca-colę, do tego kilka czekoladowych batoników, opakowania gumy do żucia, syrop na kaszel i tabletki od bólu głowy.

Latarki oczywiście nie było, więc Jenna postanowiła poszukać pokoju woźnego.

Skradała się wzdłuż korytarza i nasłuchiwała na każdym rogu, zanim weszła w kolejny szeroki korytarz. Dziwne, jak znajomo pachniały te pomieszczenia: tenisówkami, kanapkami, kredą... Jakby w następnej chwili życie w tej szkole miało się zacząć od nowa. Było upiornie cicho, jak może być tylko na szkolnych korytarzach, gdy we wszystkich salach odbywają się zajęcia. Pierwsze spojrzenie Jenny przez okienko w drzwiach klasy po lewej potwierdziło, że to pomieszczenie, a także następne, są puste.

Wtedy usłyszała kroki.

Mary znalazła Leóna przykucniętego na podłodze za długim szeregiem metalowych szafek. Ułożył głowę na podciągniętym kolanie i nie podniósł jej nawet, gdy podeszła bliżej i usiadła obok niego. Położyła mu rękę na ramieniu. Minęła chwila, zanim León podniósł wzrok.

- Powinnaś iść do nich. Nie jestem dobrym partnerem do rozmowy.
- Nie musimy rozmawiać – powiedziała Mary. – Pozwól mi tylko z tobą zostać, dobrze?
- Ach, Mary – westchnął, potem objął ją i przyciągnął do siebie.

Mary przytuliła się do jego barku. Wdychała jedyny w swoim rodzaju zapach jego skóry.

W pobliżu Leóna zawsze panowała cisza, dosłownie go otaczała. Może wynikało to z jego małomówności. Była jak pancierz, przez który słowa nie potrafiły przeniknąć.

Przytuliła się więc tylko mocniej do niego, wdychała jego zapach i jeszcze raz pragnęła, żeby czas się zatrzymał.

Odgłos kroków dochodził z korytarza, który na prawo oddalał się od stołówki. Jenna usłyszała, jak ktoś klnie. Chyba po hiszpańsku. I brzmiało to tak, jakby ten ktoś był sam. Kroki powoli oddalały się od niej, co pozwoliło Jennie odetchnąć.

„W każdym razie nie wpadnę mu wprost w ramiona” – pomyślała.

Ostrożnie stawiała jedną stopę za drugą, ciężkie podeszwy jej butów dudniły głucho przy każdym kroku. Przynajmniej w uszach Jenny. Nasłuchiwała. Ten ktoś szedł dalej swoją drogą, wydawało się, że nic nie słyszał.

Jenna doszła prawie do końca szeregu metalowych szafek, które znajdowały się pomiędzy drzwiami po jej lewej i prawej stronie. Kątem oka dostrzegła po prawej obok siebie drzwi z napisem „*Janitor*”.

Biuro woźnego.

Jeszcze tylko trzy kroki, dwa, jeden, potem wyjrzała zza rogu.

Zobaczyła chłopaka, który płynnie poruszał się w kierunku podwójnych szklanych drzwi, prowadzących na wewnętrzny dziedziniec liceum.

Jenna od razu go poznała.

Ten martwy *muerte negra*! Wszędzie by go rozpoznała po idiotycznym kraciastym dresie i jaskrawożółtych butach, w których właśnie opuszczał budynek. To niemożliwe! Jak to...? Jenna otworzyła usta, jakby chciała coś zawołać za zmarłym... Wtedy Cristiano Rabán się do niej odwrócił.

Powoli, jakby czas się rozciągał, odwrócił w jej kierunku korpus, a potem twarz.

Zobaczyła szeroki uśmiech, w którym błyszcząły białe zęby. Jenna wyraźnie widziała ciemną dziurę w jego czole, wyglądała jak brud, jakby Jenna musiała przetrzeć obraz przed oczami, żeby plama z twarzy tego człowieka zniknęła. Jenna tylko patrzyła przed siebie, nie odważyła się ruszyć.

Potem *muerte negra* podniósł dłoń. Zacisnął ją w pięść, wyciągnął naprzód palec wskazujący, kciuk do góry i przystawił sobie do czoła. Później wydał policzki w bezgłośnym „paf”, mrugnął do Jenny i w następnej chwili zniknął. Pochłonęła go ziemia jak fatamorganę.

Jenna się zatoczyła. Już nie zwracała uwagi na to, by być cicho, tylko musiała dotrzeć do pozostałych.

Pospiesznie się odwróciła. Nie miała czasu do stracenia, ale nie chciała wracać do nich z kwitkiem.

Jak miałyby wyjaśnić, że wróciła z pustymi rękami, skoro znalazła pokój woźnego?

„Nie – zdecydowała. – Nie dam się wodzić za nos temu zasranemu labiryntowi – pomyślała. – Muszę się skupić na rzeczach, które są ważne, nie na jakichś upiorach. Muszę przestać myśleć o podłości tego labiryntu, jeśli chcę przeżyć”.

Szybko odwróciła się w lewo i otworzyła drzwi, obok których teraz stała. W odróżnieniu od innych pomieszczeń biuro woźnego wyglądało na posprzątane. Z bijącym sercem Jenna się rozejrzała. Gdzie schowałaby różne przybory, gdyby była woźną? W tych masywnych drewnianych szafach? Szarpnęła za jedno z drzwiczek... Były otwarte! Po kolei otwierała szafki i w pewnej chwili dostrzegła dużą latarkę, która po naciśnięciu drżącymi palcami guzika od razu rzuciła światło na ścianę. Reszta szafek kryła koce, środki czystości i narzędzia, dla których nie widziała zastosowania. Już chciała wypaść z tego pomieszczenia, gdy na półce zobaczyła złożony papier, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak mapa.

Jenna natychmiast dostrzegła coś, co przyspieszyło jej puls. Znalazła możliwość uratowania im życia.

Nie miała czasu do stracenia, nie trwonila też myśli na jakies wizje *muerte negra*, który zamacił jej zmysły. Musiała przedstawić swój plan.

Jeb siedział na krześle i patrzył przed siebie. Wciąż jeszcze był skonsternowany gwałtowną reakcją Leóna, ale o wiele bardziej niepokoiła go myśl, że León mógł zwariować. To wciąż był ważny sojusznik w walce z labiryntem i jego zagrożeniami i nieraz pokazał, do czego był zdolny.

„Mój Boże – pomyślał – jeśli już León traci głowę, to tylko kwestia czasu, kiedy wszyscy powariujemy”.

Kiedy podążał za swoimi mrocznymi myślami, jego wzrok padł na zgięcie lewego łokcia. Ku swemu zaskoczeniu odkrył na nagim ramieniu czerwonosine, lekko wypukłe, podłużne plamki, które dotkliwie bolały, gdy ostrożnie je pogładził.

„Co się, do diabła, stało? – zadawał sobie pytanie. – Dlaczego moja skóra się przebarwiła? Dlaczego to tak boli?”

Jeb był pewny, że tych ciemnych śladów przedtem tu nie było. Teraz obawiał się, że i on traci rozum.

Na szczęście jego drugie ramię było nietknięte. Chociaż... Gdy Jeb bliżej przyjrzał się skórze, odkrył bladezielone, ledwie widoczne plamki.

„Co to ma znaczyć?” – zastanawiał się.

Gdy Jenna wróciła do kawiarenki, Loco już się obudził i siedział przy jednym stoliku z Jebem. León i Mary trochę oddalili się od tej dwójki i stali w pobliżu automatów.

Kiedy weszła do sali, wszyscy na nią spojrzeli. Starła się, by jej twarz wyglądała na spokojną. Nie chciała dać po sobie poznać, co właśnie przeżyła. Były ważniejsze problemy, te prawdziwe, które tu i teraz trzeba było rozwiązać.

– Uśmiechasz się konspiracyjnie – stwierdził Jeb. – Znalazłaś coś do jedzenia? A może nawet latarkę?

Jenna uśmiechnęła się z ulgą. Najwyraźniej jej maska dawała rezultat, skoro nawet Jeb nic nie zauważył.

– Nawet więcej.

Położyła swoje znaleziska na stole i rozpostarła przed grupą plan systemu odwadniającego. Podeszli również Mary i León i razem pochylili się nad planem.

– Co to jest? – zapytała Mary.

– Nasz ratunek – odpowiedziała Jenna i głos jej się prawie załamał, tak szybko chciała opowiedzieć o swoim pomysle. – Przed wami leży plan, który przedstawia system wodny w szkole. Szkoła ma basen i jest z niego dostęp do kanałów ściekowych w mieście. Jeśli się nimi podąży... – powiodła palcem po tej linii i puknęła w plan – ...można dotrzeć do przedsiębiorstwa wodociągowego...

– Które znajduje się poza tą dzielnicą – przerwał jej podekscytowany Jeb.

– Tak, a nawet lepiej, te wodociągi znajdują się tam, gdzie ostatnio widzieliśmy gwiazdę. Stamtąd nie może już być daleko do bram.

– Jesteśmy uratowani! Uratowałaś nas! – wykrzyknęła Mary.

Jeb pozostał dziwnie cichy i nic nie powiedział.

„Co z nim? – pomyślała Jenna. – Co się zdarzyło podczas mojej nieobecności?”

Zanim zagłębiła się w dalsze przemyślenia, przerwał jej León: – Jeszcze nie – powiedział,

badając wzrokiem mapę i marszcząc czoło. – Jakiej wysokości są te kanały i droga, która do nich prowadzi?

– Dostatecznie wysokie, by się w nich wyprostować. Wymiary są podane.

– Są jakieś przeszkody na drodze?

– Żadnych, które byłyby zaznaczone na mapie. Przy wodociągach zaznaczone jest coś, co mogłoby być drzwiami, ale tym się zajmiemy, gdy już tam będziemy.

Po raz pierwszy od dawna zobaczyła na twarzy Leóna uśmiech.

– *Madre de Dios*, to może się udać.

– Pamiętasz te wodociągi? – zapytał Jeb.

León pokręcił głową.

– To nie mój teren. A ty, Loco?

Hijo zaprzeczył, odwrócił się pozornie niezainteresowany i podszedł do automatu. Jenna uznała to za dziwne i postanowiła mu się przyjrzeć.

– Dobra, to co robimy? – zapytała Mary.

– Musimy znaleźć basen, ale to nie może być specjalnie trudne. Prawdopodobnie sale gimnastyczne i basen są przy głównym budynku – wyjaśniła Jenna.

– Nic nie widzieliśmy, kiedy tu przyszliśmy.

– To czas poszukać. Na co czekamy?

Nagle zabrał głos Jeb, który dotychczas milczał: – Zanim wyruszymy, muszę wam coś pokazać.

Jego poważne spojrzenie zaniepokoiło Jenę. Jeb wyszedł przed wszystkich i pokazywał lewą rękę zagłębieniem łokcia do góry. Jenna najpierw nie wiedziała, czego od nich chce, a potem zobaczyła plamki.

– Skąd to masz? – zapytała.

Jeb zacisnął usta.

– Nie wiem, nagle się pojawiły.

León powiódł po nich czubkami palców.

– Niektóre wyglądają na stare nakłucia, inne na świeże.

– Zatem sądzicie tak jak ja, że to są nakłucia? – zapytał Jeb.

– Nie widzę innego wyjaśnienia – przyznał León. – Pytanie brzmi, jak długo to masz?

– Nie wiem. Te plamki teraz wpadły mi w oko, przedtem ich nie było.

– Dziwne – powiedziała Mary.

– Nie chcę nadawać tej sprawie nadmiernego znaczenia, tylko was ostrzec i doradzić, żebyście obserwowali, czy u was pojawiają się podobne ślady.

Wszyscy natychmiast sprawdzili swoje ręce, ale oprócz Jeba nikt nie miał na nich żadnych nakłuć.

– Dziwne, że się pojawiają akurat teraz. W świecie, który jest bardzo podobny do naszego. Dlaczego były niewidoczne wcześniej, niektóre już dawno się wygoiły, Jeb musiał je mieć jakiś czas, ale przedtem niczego nie zauważył.

– Co teraz robimy? – zapytała Jenna.

– Ruszamy – powiedział León.

Przeszli przez budynek i stanęli przed zamkniętymi drzwiami. Przez zabite deskami okna wpadało niewiele światła, ale latarka Jenny oświetliła otoczenie.

– Wszystko przeszukaliśmy. To muszą być drzwi do reszty budynków – powiedział León.

Jeb stał obok niego. Przyłożył twarz do szczeliny w oknie i wyglądał na dwór.

– Widzę je. Dwa niewysokie budynki. Ewidentnie to, czego szukamy. Jeśli teraz, w środku dnia, pobiegniemy do nich, będzie nas widać jak na dłoni.

– Jest tam ktoś?

– Nie, ale to nic nie znaczy.

– Moglibyśmy zaryzykować – powiedział León. – Przebiec przez dziedziniec, a potem do hali.

– A co, jeśli drzwi są zamknięte? Trochę potrwa, zanim dostaniemy się do budynku, i to wszystko w biały dzień. Proponuję, żebyśmy poczekali, aż się ściemni – zwróciła się do nich Jenna.

Loco powiedział to, co inni myśleli: – Nie wyjdę ani na krok, dopóki jest widno.

– Powinniśmy odczekać i jeszcze trochę odpocząć – dodała Mary.

– Ja jestem za tym, żeby spróbować – upierał się León i zwrócił się do Mary łagodnym głosem: – Będę na ciebie uważał.

Jeb widział, jak Jenna w zadumie wykrzywiła twarz, i lekko dotknął jej ramienia.

– Jenno, co myślisz? Ty odkryłaś te plany, ty powinnaś zdecydować, co robimy dalej.

Podniosła wzrok.

– Spróbujemy, kiedy się ściemni.

Wrócili do kawiarenki, zjedli to, co Jenna znalazła, i trochę się napili. Teraz mogli już tylko czekać. Jeb poszedł do biura woźnego i przyniósł stamtąd koce.

– Nie jest tu może przytulnie, ale już sypialiśmy w gorszych warunkach. – Wręczył Mary dwa koce. – Gdzie jest Loco?

– W toalecie.

– Sam?

– Tak, chyba nie będzie próbował uciec. Jest zbyt niebezpiecznie, by odważył się wyjść. Nie martw się o niego.

– Uważasz, że będzie dobrze, jeśli położymy się tu w kącie? – Wskazał jedyną stronę pomieszczenia, gdzie było okno, ale zabite od wewnątrz.

– Żaden kłopot – powiedział León.

On i Mary poszli do przeciwległego kąta stołówki, kiedy Jeb przed sobą i Jenną rozścielał koc.

Położyli się na nim. Drugim kocem się okryli, chociaż w pomieszczeniu było ciepło i duszno. Zapadła cisza. Trochę światła wpadało przez deski w oknie, a z ulicy nie słychać było żadnych odgłosów.

„Wydaje się, że jest prawie spokojnie” – pomyślała Mary.

Przysunęła się bliżej Leóna i położyła głowę na jego piersi. Chwilę później poczuła, jak delikatnie gładzi ręką jej włosy.

„Nigdy nie pomyślałabym, że mogłabym się przy kimś, kogo ledwo znam, czuć tak bezpiecznie. A już zupełnie nie przy kimś takim jak León – rozmyślała. – Nie potrafię sobie wyobrazić, że zostaję bez niego.

Myślenie o nim boli i boli to, że zostało nam razem tak niewiele czasu. Kiedy sobie wyobrażę, że rano mogłoby go już tutaj nie być...”

Mary powiodła ręką po jego piersi, czuła mięśnie pod koszulą. Rozpięła guziki i wsunęła rękę.

Spojrzał na nią. Mary oczekiwała uśmiechu, choćby bladego, ale León pozostał poważny.

– Co z tobą? – zapytała go, ale nie odpowiedział od razu.

– To wszystko jest takie zagmatwane – odezwał się w końcu. – A z tobą tak nie jest? Nie masz czasem wrażenia, że już nic nie wiesz?

– Przy tobie czuję się bezpieczna, Leónie. Tyle wiem.

– Jestem tu dla ciebie, zawsze. – León przyciągnął ją bliżej i mocno objął. Było tak, jakby nic nie mogło ich rozdzielić, jakby czas się zatrzymał. – Może urodziłem się tylko po to, żeby cię spotkać? Może los zaprowadził mnie do ciebie do labiryntu?

Mary przełknęła ślinę.

– Ale smutno mi, że tu jesteśmy i musimy walczyć o przetrwanie.

– Jestem przy tobie.

Przytuliła się do jego szyi i wyszeptała: – Trzymaj mnie mocno.

Ramiona Leóna były silne. Wprawdzie było w nich wiele siły, ale Mary czuła też rozpacz, z jaką ją przytulał.

Dzień mijał, rzucał światło przez szczeliny. Mary wsłuchiwała się w równomierny oddech Leóna, który zasnął.

Odwróciła głowę. W mdłym świetle jego twarz trudno było rozpoznać, ale gdy spał, wydawało się, że opada z niego całe napięcie, jego rysy miękły i było zza nich widać chłopaka, którym nigdy nie wolno mu było zostać.

„Och, Leónie, co to życie ci zrobiło? – pomyślała. – I co mnie zrobiło?”.

Był tutaj. Przy niej. Więcej nie można było żądać od losu.

Jeszcze raz objęła go wzrokiem, potem zamknęła oczy i zapadła w głęboki sen.

Jeba obudził tumult wokół niego i wściekły wrzask Leóna. Potrzebował chwili, żeby dojść do siebie.

León podbiegł i gwałtownie chwycił go za ramię.

– Uciek! Te cholerny skurwysyn spieprzył!

– Co? – zająknął się Jeb. – Co się dzieje?

– Loco, ta świnią. Uciek! stąd!

Jeb przetarł sobie oczy i strząsnął zmęczenie.

– Jesteś pewien? Może musiał do toalety albo przeszukuje pomieszczenia.

– Wszędzie go szukałem. Nie, ewidentnie uciek.

– Uspokój się – powiedziała Jenna. – To przecież wszystko jedno.

– Doprawdy? – przeciwstawił się jej León. – Tan dumny pies nie oddali się nawet na milę, zanim go schwytają, a potem nas zdradzi. Spróbuje uratować swoją skórę, wydając Rojo morderców jego brata.

Musimy natychmiast ruszać!

– León ma rację – powiedziała Mary. – Musimy stąd zniknąć.

Pierwotnie chcieli poczekać do północy, przekraść się przez szkolny dziedziniec, a potem spróbować niepostrzeżenie dostać się na basen. Każde z nich wiedziało, że to ryzykowne, ale teraz sprawa się jeszcze skomplikowała. Na zewnątrz akurat zachodziło słońce.

Jeb, Jenna, León i Mary poruszali się ostrożnie po dziedzińcu. Po kilku metrach dotarli do wejścia na basen, zabezpieczonego masywnym żelaznym łańcuchem i zamkiem.

León dał znak, żeby szli za nim, i zniknął za najbliższym rogiem. Tam zatrzymał się pod oknem. Nie było zabite deskami. Albo nie starczyło na to czasu, albo kierownictwo wyszło z założenia, że na basenie nie było nic do zrabowania, więc nie przyciągnie włamywaczy.

León się uśmiechnął.

„Mogli sobie oszczędzić wysiłku z zabezpieczaniem drzwi” – pomyślał.

Bez wahania zdjął koszulę i owinął nią sobie pięść. Jeb chciał coś powiedzieć, ale León podniósł palec, pokazując mu, że ma być cicho. Potem uderzył.

O zmierzchu brzęk był głośniejszy, niż można było oczekiwać, a knykcie zabołały. Szyba była masywniejsza, niż oczekiwał. León zaklął i nasłuchiwał.

Nic.

Wokół było cicho. Zaczął wyjmować lewą ręką tkwiące w ramie odłamki szkła. Gdy wszystko oczyścił, kiwnął na pozostałych. Po kolei wdrapali się do środka.

Było tu zupełnie ciemno i powitało ich zastałe powietrze, jeszcze pachnące chlorem. León włączył latarkę.

Byli w jednej z przebieralni. Tu i ówdzie wisiały na hakach zapomniane ubrania, a w jednym z rogów leżał stary ręcznik, poza tym pomieszczenie było puste. León podszedł do drzwi naprzeciwko i wyszedł na korytarz, który według tabliczki wiódł w jedną stronę do pryszniców. Na pływalnię szło się w przeciwnym kierunku.

Jenna go dogoniła. Trzymała w rękach rozłożony plan.

– Poświeć mi na to – powiedziała.

León przekierował strumień światła.

– Zgodnie z planem dojście znajduje się przy górnym końcu basenu i prowadzi stamtąd do kanalizacji.

– Jak to dojście wygląda? – zapytał León.

– Jestem pewna, że to wpuszczona w dno kratka, żeby woda mogła odpłynąć.

León zagryzł wargę.

– Miejmy nadzieję, że otworzymy to gównno.

Pokrywę studzienki na szczęście nietrudno było znaleźć. Była niepozorna, ale wyraźnie widoczna, wpuszczona w dno i dwumetrowej średnicy. Mieli szczęście, ciężka krata zabezpieczająca szyb nie była ani przyspawana, ani zamocowana w jakikolwiek sposób – prawdopodobnie po to, by można ją było podnieść do konserwacji albo czyszczenia. Razem ją unieśli i przesunęli w bok. Gdy metal szorował po ceramicznych kaflach dna, hałas był piekielny, i gdy znów nastała cisza, wsłuchiwali się w ciemność.

Nic nie było słychać.

León poświecił w dół i dostrzegł na bocznej ścianie szybu metalową drabinę, której szczeble prowadziły w głąb czeluści. Tuż nad odpływem okropnie cuchnęło. Próbował oświetlić szyb, ale światło było za słabe, żeby dosięgnąć dna. To oznaczało, że szyb schodził dość głęboko w dół. Na dole coś szeleściło.

León podniósł wzrok i spojrzał w twarze Jenny, Jeba i Mary, potem kiwnął do nich głową, wszedł na drabinę i zaczął schodzić na dół. Mary głęboko zaczerpnęła powietrza i poszła za nim bez zwłoki.

Jeb oświetlał obojgu drogę, na ile się dało. Już na samo wyobrażenie, że wkrótce znów będzie uwięziony w wąskich korytarzach, czuł ucisk w krtani. Musiał być silny, dla Jenny. W każdym razie teraz nie był sam i to go trochę uspokajało. Dał znak Jennie, która z powodu smrodu z otchłani przed nimi wykrzywiła twarz. W końcu i ona zeszła w głąb, naprzeciw stęchliźnie.

Krata była za ciężka, by samemu wciągnąć ją na szyb. Jeb spojrzał na nią ze zmarszczonym czołem.

Jeśli ktoś będzie ich ścigał i dotrze do basenu, dowie się, dokąd uciekli, ale nie było na to rady. Jeb jeszcze raz wsłuchał się w ciemność, zmusił się, by spokojnie oddychać, a potem zszedł na dół.

Było tu duszno, pachniało stojącą wodą i stęchlizną. Z początku korytarz był tak wysoki, że można się było wyprostować, ale po pięćdziesięciu metrach zmienił się w wąski tunel, którym można było iść tylko na ugiętych kolanach i z głową wciągniętą w ramiona.

Jenna pomyślała o Jebie i jego klaustrofobii w labiryncie. Miała nadzieję, że w ciemności, która ich otaczała, będzie mu łatwiej poruszać się w tych korytarzach. Może ta czerń wokół była dla niego błogosławieństwem. Miała nadzieję, że będzie mogła mu pomóc, jeśli panika go sparaliżuje.

„Ostatnim razem daliśmy radę wspólnie – przypomniała sobie. – Teraz też się stąd wydostaniemy”.

Jenna się rozejrzała. Niewiele mogła stąd dostrzec, ale o dziwo, rynny ściekowe były suche. Może wynikało to z odcięcia dopływu wody, a może z tego, że korytarz, którym szli, służył do innego celu.

W każdym razie Jenna się z tego cieszyła. Przed nimi w ciemności wciąż coś szeleściło. Podejrzewała, że to szczury, uciekające przed nimi i przed światłem latarki. Za nią podążała Mary, León i na końcu Jeb, który zamykał szereg.

Duszne powietrze utrudniało oddychanie i już wkrótce zaczęła się pocić. Nikt nie powiedział ani słowa. W milczeniu i zawzięcie maszerowali przez ciemność.

Jenna myślała o chaosie nad ich głowami na ulicach Los Angeles. Gdzie oni trafili? Co to był za świat, gdzie było tyle przemocy i śmierci? A León? Czy naprawdę zabił tego młodego gangstera z zimną krwią, jak się jej wydawało? Ile razy już to zrobił?

„Czy nas też po prostu zastrzelisz, Leónie, jeśli przyjdzie co do czego? Jak długo pozostaniesz naszym przyjacielem?” – zastanawiała się.

Jej myśli na chwilę powędrowały do Loco. Dlaczego z nimi nie został? Teraz prawdopodobnie złapali go *muerte negra*. Zrobią z niego egzemplarz pokazowy, by krwawo unaocznic wszystkim *hijos*, jak się kończy wtargnięcie na ich terytorium.

Ten świat, ten czas były straszne i Jenna nie chciała już niczego innego, tylko po prostu stąd zniknąć.

Patrzyła na tańczące światło latarki przed sobą.

Tu na dole było cicho, ale później...

...ktoś zakaszłał.

Jeb natychmiast stanął i się odwrócił.

– To był ktoś z was? – Jenna usłyszała drżący w jego głosie strach.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy to słyszeli, a Jeb musiał mieć świadomość, że to ktoś obcy.

– Tu ktoś jest – powiedziała Jenna.

– Kto tu ma być? – zapytała Mary.

– Może jacyś inni ludzie ukrywają się tu na dole.

León wyszedł naprzód. W jego ręku metalicznie błyszczała broń, którą zabrał Loco.

– Idę popatrzeć. Zostańcie tutaj – powiedział i spojrzał na Jeba wyzywająco.

– O nie – natychmiast odrzekła Jenna. – Zostaniemy razem. Nie mam ochoty stać tu w ciemności i robić w spodnie ze strachu. Poza tym jest tylko jedna droga, a z powrotem

wrócić nie możemy.

– Dobra – zgodził się Jeb. – To wszyscy razem, ale po cichu. – Jego głos był trochę zduszony, ale brzmiała w nim ulga.

I mógł mówić. Jenna podejrzewała, że też był zadowolony, że grupa się nie podzieliła.

Jeb lekko przykrył ręką latarkę i świecił tuż przed sobą na ziemię.

– Lepiej, żeby nikt nas nie zobaczył, zanim się dowiemy, co się tu dzieje. Jesteście gotowi?

– Co zrobimy, jeśli tam z przodu czają się *muerte negra*? – dopytywała się Jenna.

– Nie wiem, my...

– Wywalczymy sobie wolną drogę! – León twardo i kategorycznie powiedział to, co wszyscy wiedzieli. Nie było innej możliwości. Podążali tym korytarzem aż do właściwego systemu kanalizacyjnego. W cieniu tunelu przykucnęli na ziemi i patrzyli w górę na podobne do jaskini pomieszczenie, które trochę przypominało halę dworcową. Grubo ciosane kamienne ściany otaczały węzeł, w którym rozgałęziało się we wszystkich kierunkach kilka kanałów ściekowych.

Podłoga była z litego kamienia, ale równa. Po prawej od nich prowadziła na górę metalowa drabina, podobna do tej, z której korzystali, by zejść.

Tu w środku było światło. Po ciemnościach w korytarzu musieli przymknąć oczy i dopiero stopniowo pojmowali, co widzą. Zaniemówili.

Nie byli sami.

Na kamiennej podłodze i na ścianach płonęło mnóstwo świec. W ich migoczącym świetle Jenna rozpoznała dziesiątki ludzi. Młodych i starych, mężczyzn, kobiet, dzieci.

Siedzieli przykucnięci albo leżeli na podłodze, rozłożyli pod sobą koce albo podarte tekturowe pudła.

Twarze mieli blade, wynędzniałe, naznaczone chorobami, wiele z nich pokrywały wypryski albo czerwone plamy. Jenna zdrętwiała ze strachu. To byli biali, czarni i Latynosi. Tu na dole nie było segregacji rasowej, tylko ucieczka od światła na górze.

Jeb dał swoim znak i cofnęli się kawałek do tunelu, na tyle, aby znaleźć się poza zasięgiem słuchu.

– To nie są uchodźcy? – cicho szepnęła Jenna.

– *Mole people* – odpowiedział León równie cicho. – Przypominam sobie. To ludzie, którzy mieszkają pod ziemią, żyją z odpadków i kradzieży na powierzchni. Wychodzą na górę tylko nocą, nigdy za dnia. Ich wzrok odzwyczaił się już od światła, a poza tym natychmiast rzucaliby się w oczy.

– Kreci lud – wymamrotała Jenna. – Czy są niebezpieczni?

– Nie, myślę, że przeciwnie. Ci ludzie boją się innych i obcych, a jeśli mogą, uciekają albo się ukrywają. Wytropiliśmy ich tu na dole w ich obozie, ale w tych tunelach będą jeszcze inni.

– Mają broń? – Mary zadała to pytanie słabym głosem.

– To mało prawdopodobne. Metal tu na dole szybko rdzewieje, już po niedługim czasie wskutek dużej wilgotności powietrza pukawki byłyby bezużyteczne.

– Ale pewny nie jesteś.

– Nie.

– Dobra. – Jeb głośno wypuścił powietrze. – Widzę sprawę tak, że musimy przejść przez nich. Jak mamy się do tego zabrać?

– Pokażemy im nasz pistolet, podniesiemy ręce do góry i przejdziemy spacerkiem

pomiędzy nimi. Nikt nas nie zatrzyma.

Jenna drgnęła. Bała się tych ludzi. Wyglądali tak... dziwnie. Byli zobojętniali i sprawiali wrażenie własnych cieni.

León twierdził wprawdzie, że są niegroźni, ale Jenna uważała, że tak nie wyglądali. Przeciwnie, wielu z mężczyzn, których widziała, sprawiało wrażenie niebezpiecznych. Tak jakby nie mieli nic do stracenia.

W to, że ci ludzie mieli nie posiadać broni, Jenna nie wierzyła. Ktoś zawsze miał broń, tego nauczyło ją doświadczenie w tym świecie.

Mimo to musieli przejść obok nich. Jakoś.

– Poruszamy się powoli, nie wykonujemy żadnych gwałtownych ruchów – powiedział León. – Nikt z nikim nie rozmawia. Musimy być jak duchy, które snują się wśród nich, jak mgła, która przesuwa się obok. Jeśli zauważą, że niczego od nich nie chcemy, zostawią nas w spokoju.

– A jeśli nie? – zapytał Jeb.

– Powalimy pierwszego, który stanie nam na drodze. Reszta rozpierzchnie się po tunelach.

Jenna zmarszczyła czoło, gdy usłyszała twardy ton w głosie Leóna.

Chciałaby, by oprócz przemocy była jeszcze inna droga. Wystarczająco źle się stało, że León zabił tego *muerte negra*, nawet jeśli to był wypadek albo obrona konieczna. Nie chciałaby bić ludzi tylko dlatego, że stoją im na drodze.

– Nie będziemy nikogo bić, tylko spróbujemy z nimi rozmawiać – stanowczo się sprzeciwiła.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Jenna słyszała, jak Jeb wstrzymał oddech, potem westchnął, ale odpowiedział jej León.

– Rozmawiać, Jenno? Doprawdy? Tu chodzi o nasze życie! – Głośno wypuścił powietrze. – Też mi się to nie podoba, uwierz mi, ale... Jeśli chcemy ująć z życiem, musimy sobie w miarę możliwości wywalczyć wolną drogę. A w razie konieczności zdobyć ją strzałami.

– Mówię tylko...

– Na takie rzeczy nie mamy teraz czasu – przerwał jej Jeb. – Zgadzam się z Jenna, León. Zróbmy to spokojnie.

León uniósł nos do góry.

– Dobra, *compadres*, spróbujmy.

Reszty nie powiedział, ale Jenna wiedziała, że León był gotowy bronić swojej małej grupy. Przeciwno każdemu wrogowi i za wszelką cenę.

Wśliznęli się z powrotem do wylotu tunelu i wyszli do dużego pomieszczenia. León szedł pierwszy, za nim Jenna i Mary. Jeb zamykał szereg.

Był zdziwiony, jak spokojny pozostał w systemie kanałów. W dużym pomieszczeniu było lepiej niż wcześniej. Poza nim dzięki towarzystwu naprawdę udawało mu się zapomnieć o ciasnocie. Samo to, że była przy nim Jenna, pomagało zachować jasny umysł. Jeszcze raz wziął głęboki wdech, a potem spojrzął na swoje stopy. Wciąż dodawał sobie otuchy, wmawiał sobie, że to normalny spacer w grupie.

„Lepiej oświetlać podłogę niż ściany, które się nade mną zamykają... – pomyślał. – Korytarze są wysokie, są przestronne, są tak bardzo przestronne, ciemność wokół nas jest wielka i rozległa”.

Zaraz za wejściem wszyscy czworo się wyprostowali i zatrzymali. Tylko chwilę trwało,

zanim dostrzegł ich pierwszy człowiek.

To był mężczyzna w postrzępionej wojskowej kurtce, który odwrócił głowę i powoli się podniósł.

Wysyczał coś spomiędzy spierzchniętych warg, obok niego stała kobieta w średnim wieku, której czarne matowe włosy smutno opadały na ramiona.

W rękę trzymała plecak, który w tym otoczeniu wyglądał nienaturalnie ze względu na wyjątkową czystość. Jeb natychmiast go rozpoznał.

To był plecak Leóna.

León stracił go w pierwszym świecie, a później, o dziwo, plecak pojawił się znów w innym miejscu.

Jenna i Jeb znaleźli go na swojej drodze do bram w pierwszym świecie, ale zostawili, bo był pusty.

Teraz miała go w rękę jakaś nieznana kobieta z dziwnie spiczastymi zębami, które teraz szczyrzyła.

„Wygląda wręcz jak... szczur z kanału” – pomyślał Jeb.

Jeb wydusił ostrzegawczo imię Leóna spomiędzy warg, dotknął łokcia Jenny przed sobą i skinął głową w kierunku kobiety. Ten sygnał dotarł aż do Leóna. Chwilę później usłyszał, jak León cicho klnie, ale zaraz potem umilkł.

Wydawało się, że teraz wszyscy w hali ich zauważyli. Ludzie stawali przed swoimi legowiskami.

Mężczyźni, kobiety, starcy, a nawet dzieci. Brudne twarze z głęboko zapadniętymi oczami odwracały się do nich. Nikt nie powiedział ani słowa, ale szelest ubrań był jak groźny szepot, gdy León zrobił pierwszy krok naprzód. Podniósł puste ręce, żeby pokazać, że jest nieuzbrojony. Potem grupa poszła za jego przykładem.

Jeb próbował przyjaźnie się uśmiechać, ale napięte mięśnie twarzy mu to uniemożliwiały. Żeby nie robić wrażenia, że ma coś do ukrycia, starał się patrzeć ludziom prosto w oczy.

Spojrzenie odwzajemniali ludzie, którzy stracili wszystko i żyli z niczego. Spojrzenia bez życia w twarzach bez życia. Była w nich głucha beznadzieja.

Jeb widział tę nędzę i nie mógł uwierzyć. Cały ten brud, krosty i dziwnie zgarbiona postawa wszystkich tutaj na dole zmieniały ich w istoty, które wydawały się nie z tego świata.

Jeb słyszał przed sobą, jak Jenna wdycha powietrze i od razu je wypuszcza. Zauważył, że sam nieświadomie oddycha podobnie; zapach starego potu, brudu i niemytych ciał w stęchłej hali osadzał się na jego płucach niczym gruby materiał. Próbował oddychać płytko, lecz mimo to smród był nieznośny.

„Tylko teraz nie kaszleć i nie kichać” – mówił sobie.

Cisza wokół nich była krucha i w momencie, gdy się rozpadnie, wszystko może się zdarzyć.

Doszli prawie do połowy hali, gdy stanęła im na drodze jakaś starsza kobieta. Wyglądała, jakby miała co najmniej sto lat, sądząc po zmarszczkach i bezzębnych ustach, ale Jeb podejrzewał, że to przez życie tu na dole ci ludzie starzeli się szybciej.

Jej włosy były równie brudnoszare jak ubranie. Była pochylona, tak że Jeb mógł spojrzeć jej w twarz dopiero, gdy stanęła na wprost niego i podniosła głowę. Wstrzymał oddech, potem staruszka powoli i opieszale przeszła obok grupy i zatrzymała się przed nim.

Tysiące zmarszczek wyłobiło głębokie rysy w jej twarzy, która być może kiedyś była

młoda, ale teraz wyglądała jak wybielona zwierzęca skóra.

Kobieta spojrzała mu głęboko w oczy. Milczała i nie dało się wyczytać z jej miny, co myślała, czy była przyjaźnie, czy wrogo nastawiona. Jeb spokojnie odpowiedział na jej spojrzenie, ale poza tym się nie poruszył.

Gdy skończyła go lustrować, pokuśtykała do Jenny i Mary. Potem odwróciła się do Leóna. Długo się w niego wpatrywała. W migoczącym świetle świec jego tatuaże wyglądały jak żywe obrazy. Wydawały się tańczyć po jego twarzy, tak jakby chciały wypisać przesłanie na skórze.

Minęła minuta, potem staruszka wyciągnęła kościstą rękę i powiodła czubkiem palca po niebieskoczarnych liniach na twarzy Leóna. León się nie ruszył.

– Jesteś aniołem? – Kobieta rzuciła pytanie w ciszę.

Zaskoczony Jeb podniósł wzrok. Wyobrażał sobie, że z krtani tej pomarszczonej staruszki musi wydobyć się skrzeczący głos. Ale jej głos brzmiał czysto i młodo.

León otwarcie na nią spojrzał.

– Nie, tylko chłopakiem, który chce do domu.

– To idź – westchnęła staruszka i odsunęła się na bok.

Jeb czuł, jak napięta postawa ludzi wokół nich się rozluźniła. Wprawdzie nikt się nie ruszał ani nic nie mówił, ale widział, jak ramiona im opadły i wyjęli ręce z kieszeni spodni i kurtek. Najwyraźniej starsza kobieta była kimś w rodzaju przywódczyni grupy. Ponieważ ona nie dostrzegła w nich zagrożenia, również inni *mole people* zachowywali się pokojowo.

Gdy Jeb przeszedł jako ostatni obok kobiety, z wdzięcznością kiwnął do niej głową. Czuł spojrzenia tych ludzi na swoich plecach, ale też, że z ich strony nie grozi im niebezpieczeństwo. Bez uszczerbku dotarli do przeciwległego wejścia do tunelu. Po kilku metrach stanęli i gdy Mary, Jenna i León się do niego odwrócili, spojrzał im po kolei w twarz.

– Wszystko w porządku?

– To było trochę niesamowite – powiedziała Mary.

León wyszczerzył zęby.

– O nieba, miałem gęsią skórkę. Jedno słowo tej staruszki i kto wie, co by z nami zrobili!

– Tak, widzieliście zęby tej kobiety? Jak maleńkie zęby gryzoni. Mogłaby nas rozszarpać na kawałki! – Jebowi przeleciał po plecach zimny dreszcz.

I zauważył, że na widok tych dziwnych postaci nawet klaustrofobia pozwoliła o sobie zapomnieć.

Niemalże wpadł w euforię po uldze, którą poczuł, gdy przeszli bez szwanku.

– No tak, ale nie wszyscy mieli takie budzące groźę zęby. I jeśli spotkamy takich jak oni, wiemy, że zasadniczo nie są wrodoży. – Jenna była blada jak popiół, ale szeroko się uśmiechała.

– To może dotyczyć tylko tych ludzi – powiedział León. – Nie powinniśmy wyciągać wniosków, że wszyscy *mole people* puszcza nas wolno. To ich królestwo.

– Przedtem mówiłeś coś zupełnie innego – zarzuciła mu Jenna.

– Bo jeszcze nigdy ich nie widziałem.

Jeb maszerował przodem. Nie uszli daleko, gdy usłyszeli za sobą dźwięk. Brzmiał, jakby ktoś walił metalowym kubkiem o kamienne ściany.

– Co to jest? – zapytała Mary.

– Prawdopodobnie przesłanie. Ostrzegają innych *mole people* przed nami, mówią, że jesteśmy w drodze do nich – odpowiedział León.

– To dla nas dobrze czy źle?

– Nic nam nie zrobią. Gdyby planowali coś złego, wysłaliby posłańców do innych tuneli. Dobrze się orientują tu na dole. Z łatwością mogliby nas obejść i się zacząić. Dlatego myślę, że to stukanie ma znaczyć, że z naszej strony nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Ledwie stukanie przebrzmiało, ciszę rozerwał strzał. Był ogłuszający i Jeb wiedział, co znaczył: ktoś wypalił z broni.

Potem słyszeli krzyki. Podenerwowane głosy, w których drgały lęk i panika.

Kolejne strzały.

Ktoś po hiszpańsku wydawał rozkazy.

Czwórka młodych ludzi drgnęła.

Rojo Rabán ich znalazł.

Z wciągniętymi w ramiona głowami próbowali poruszać się naprzód jak najszybciej. Pot płynął im po twarzach, oczy piekły, co dodatkowo utrudniało widzenie.

Po kilku minutach trafili na pierwsze rozgałęzienie. Ich tunel przechodził w większy korytarz, który rozwidłał się na prawo i lewo. Tu znów mogli się wyprostować. Jeb zatrzymał się.

– Dokąd? – zapytał.

– W lewo – wysapała Jenna.

– Nie, musimy pójść w prawo – sprzeciwił się León. – Jeśli pójdziemy w lewo, ten tunel prawdopodobnie zaprowadzi nas szerokim łukiem z powrotem do hali *mole people*.

– Dobra, to w prawo! – rozkazał Jeb i pobiegł naprzód.

Sapał, biegł, ale się ruszał. Miał cel i brak tchu zostawił za sobą. Teraz musieli uciekać, nie mieli wyjścia. Musiał zabrać stąd Jennę. Za nim Jenna, Mary i León próbowali się nie potknąć. Było mroczno, ale światło latarki wystarczało, żeby nikt nie upadł.

Nie uszli daleko, gdy natknęli się na następne rozgałęzienie. Jeb oświetlił ściany i podłogę, sprawdzając, czy są na nich wskazówki, który korytarz dokąd prowadzi, ale nic nie było. Jeb znów odwrócił się w prawo. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Zatrzymaj się – syknął León.

Jeb go posłuchał.

– Co jest? – wysyczał.

– Cicho!

Wszyscy nasłuchiwali. Tak, to było oczywiste. Dało się słyszeć kroki. Stłumione przekleństwa. Ktoś za nimi podążał. Echo niesło głosy po ścianach, docierało do nich i rozchodziło się po tunelach. Nagle wydawało się, że kroki zbliżają się ze wszystkich stron. Musieli uciekać, natychmiast.

– Co teraz? – zapytał Jeb.

– Dalej...

– Nie, poczekaj – przerwała mu Jenna. – Nie słyszycie tego? Jest coś jeszcze.

Milczeli. Jeb wyłączył latarkę.

Wtedy to usłyszeli. To było jak pluskanie, znany szum.

Głosy z przeszłości.

Zimna dłoń chwyciła Jeba za serce.

Wrócili.

Duszopijcy.

León zaklął. Słyszał szepty tych, którzy ścigali ich na stepie. Ten dźwięk piał się po karku i wżerał w duszę. Byli tu. Teraz ścigają ich nie tylko *muerte negra*. Ten wróg był jeszcze bardziej bezlitosny, był nieludzki, tego León był pewien. Myśl, że duszopijcy ich wytropili, wstrząsnęła nim.

„Jak to możliwe? – pomyślał. – Zostawiliśmy ich w pierwszym świecie. Nie było bramy, z której mogliby skorzystać”.

A mimo to byli tutaj. Pojawili się jak duchy w miejscu, gdzie trudno było przed nimi

uciec. To wszystko było dużo gorsze niż paść od kuli. Bo duszopijcy, jak nazwała ich Mary, mogli zajrzeć głęboko do ich wnętrza. Duszopijcy ich znali. Znali ich lęki.

Teraz do nich wrócili.

„Co robimy?”

Stali w ciemności i León czuł przerażenie grupy. Trzymał rękę Mary, gdy potknęła się i wpadła mu w ramiona. Jej wykrzywiona strachem twarz w świetle latarki wyglądała jak biała maska.

– On tu jest – szepnęła mu do ucha. Cała drżała.

– Kto, Mary? O kim mówisz? – León nic nie rozumiał.

– On, mój ojciec. On tu jest. Żeby mnie zabrać. Sprawí mi ból. Wiem to. Zabrać mnie i siebie. Od ciebie. Leónie, nie dopuść do tego.

Panika w jej głosie świadczyła o niewyobrażalnej rozpacz.

– Nie ma tu twojego ojca, Mary. Spójrz na mnie, uspokój się. Nie może go tutaj być. Za nami w korytarzach szepczą duszopijcy, igrają z naszymi lękami, jak już raz to zrobili.

Mary bała się swojego ojca. Patrzył w jej wielkie ciemne oczy, przytulał ją jeszcze mocniej i nie przyznał się, że też się obawia. Pojawienie się starych wrogów zdeorientowało go i pierwszy raz w życiu brakowało mu siły i woli do walki.

„Jak to możliwe, że te bestie tu są? – dudniła mu w głowie myśl. – Dlaczego? I jak mamy się przed nimi bronić? Nie ma światła, nie ma ognia, jak okiem sięgnąć. Tylko ta głupia, nędzna latarka”.

Najchętniej rzuciłby nią o ścianę.

„Uciekaj – szeptał głos w jego uchu. – Uciekaj, zostaw resztę. Jesteś szybki, oni są powolni. Silni przeżyją, słabi zginą”.

León próbował ignorować ten głos.

„Nigdy” – przysięgł sobie i mocno ugryzł się w wargę, aż poczuł smak własnej krwi.

– Ale ja go słyszę. To jego kroki – szepnęła Mary.

Objął ją ramieniem i mocno przytulił.

– Jestem tutaj. Przy tobie. Obronię cię.

Obok słyszał sapanie Jenny. Nie rozumiał, co mówiła do Jeba, ale jej nie odpowiadał. Szeptał coś o swojej zmarłej matce. Coś kołatało w ciemnościach. Snop światła latarki Jeba oświetlał na oślep zimne ściany kanału, a potem wszystko zgasło.

Co się tu dzieje?

Dlaczego te głosy działały na każde z nich tak odmiennie? Dlaczego wydawało się, że każde słyszy w nich coś innego?

„Nie rozumiem tego” – przyznał León.

Na równinie ich prześladowcy byli jak schematy. Nieuchwytni. Mieli kształty, które wydawały się wciąż zmieniać. Płynne jak cienie. A mimo to byli tak niebezpieczni, że León czuł grozę, która od nich biła, w najdalszym zakamarku jego duszy.

Gorączkowo poszukiwał wyjaśnienia. To był czwarty świat, który przemierzali. O tak wielu rzeczach sobie przypomniał, o tym, jak wielką miał nadzieję, że wróci do domu. Teraz jego nadzieje legły w gruzach. Miał jeszcze jeden cel, tak jak sobie przysięgł.

„Muszę zabrać stąd Mary. Cokolwiek mówi o swoim ojcu, tam na zewnątrz, w ciemności czai się coś, co przekracza nasze pojęcie – myślał. – Coś, co ma nas w garści. Bo się boimy. Pozostaje nam tylko uciekać. Tu na dole nie świeci słońce i nie mamy ognia, by ich zatrzymać”.

Czuł broń, która była zatknęta z tyłu za pasek.

„Może kula ich zatrzyma” – pomyślał.

Jednak w co miałyby celować, jeśli przeciwnik nie miał konturów? Mimo to była jakaś nadzieja.

– Jeb? – syknął w ciemność.

Charkot.

– Cholera! Nie mamy czasu. Włącz latarkę.

Jeb zwlekał.

– Wypadła mi z ręki.

– *Dios mio!* – pieklił się León.

Jeb wreszcie podniósł latarkę.

León zaświecił w twarze i przestraszył się: wydawało się, że stoją przed nim trzy upiornie wykrzywione gęby. Po Mary, Jennie i Jemie widać było czyste przerażenie.

– Wszyscy ich słyszeliście?

Kiwnęli głowami z rozpaczą.

– Musimy uciekać. Natychmiast. Tu na dole dopadną nas wcześniej czy później. Na powierzchni mamy więcej szans.

– Już dawno nie widziałam wyjścia na górę. Ostatnie było w hali – powiedziała Mary.

Gdy mówiła, drżały jej wargi.

– Pójdziemy dalej tym korytarzem – Jeb odchrząknął. Chyba trochę się opanował. – To znaczy wcześniej czy później dotrzemy do przedsiębiorstwa wodociągowego, które jest poza terenem *muerte negra*.

– Jeśli się nie zgubimy – wtrąciła Jenna.

– Idę przodem – zdecydował León.

Zrobił pierwszy krok, gdy zabrzmiał przerażający krzyk. Padły strzały.

Potem znów szepty.

A potem cisza.

Szli korytarzami jak najszybciej. León oświetlał drogę. Za nimi rozbrzmiewały przerażające krzyki, ale nie wiedział, czy wydają je duszopijcy, czy to skrzeczenie umierających członków gangu. Cokolwiek się za nimi rozgrywało, musiało budzić grozę. León przyspieszył.

Wciąż natykali się na kolejne tunele i rozgałęzienia, aż w końcu dostrzegli jeden, którym płynęła woda.

Płynęła głęboką rynną, a po jej prawej i lewej stronie były wąskie ścieżki. Była to czysta woda, zatem, jak triumfalnie podejrzewał León, pochodziła z wodociągów. Jeśli będą podążać za rynną, szybko tam dotrą.

Przejścia po bokach rynny były zbyt wąskie, by nimi iść. León kilkakrotnie próbował, ale wciąż się zsuwał. W końcu wszedł do rynny. Woda była tak lodowata, że jęknął. Sięgała mu do kolan. Od tej chwili będą się posuwać naprzód powoli, bo dość silny prąd dodatkowo utrudniał marsz.

Pod wpływem plusku León poczuł palące pragnienie. Pochylił się i nabrał rękami wody, którą pospiesznie wypił. Spłynęła mu do gardła i uczyniła z jego żołądka bryłę lodu. Ale pomogła. Nawet jeśli nie smakowała wyjątkową czystością, ugasiła pragnienie. Potem orzeźwiająco spryskał sobie twarz i kark. Od razu poczuł się lepiej. Rześko. Był gotowy.

Poświecił pozostałym, by pili i się odświeżyli.

W kanale panowała cisza. Nie słyhać było ani strzałów tych, którzy ich ścigali, ani głosów duszopijców. Tylko ciche bulgotanie wody. W tej scenie było coś spokojnego, mimo że byli głęboko pod ziemią, otoczeni grubymi murami i głęboko położonymi rurami... Wkrótce będą bezpieczni, tak czuł León.

Pokiwał dwa razy latarką na znak, że mają iść dalej, potem ruszył przodem.

Od tego momentu szli prosto. Podłoże lekko się wznosiło, woda spływała. Niestrudzenie płynęła pod ich nogi. Gdy światło latarki się po niej ślizgało, była ciemna jak atrament w nocy.

Chłód wody stawał się nie do wytrzymania. Jeśli z początku było jeszcze znośnie, to teraz stopy Leóna drętwiały. Wydawało mu się, że nogi stopniowo pokrywa warstwa lodu. Dziesięć minut później nie czuł stóp. Bez czucia, jak obce ciała, poruszały się naprzód, ale miał wrażenie, jakby przemierzał gęste błoto.

Jenna szczekała zębami. Mary i Jeb nie wydawali żadnych dźwięków.

„Jak długo możemy dalej tak iść? – zadawał sobie pytanie León. – Kiedy potknie się pierwsze z nich, bo straci czucie w stopach, i wpadnie do lodowatej wody?”

Gdy się nad tym zastanawiał, rozległy się strzały. W oddali ktoś rozwścieczony krzyczał. Potem krzyk zmienił się w bolesny pisk, który niemalże wwierał się w szpik kości. W końcu zabrzmiał okrzyk triumfu. Nad wszystkim unosiły się szepty, wyrzekania i groźne krzyki, które wydawali duszopijcy. León czuł dreszcze. Ale nie miało to nic wspólnego z zimną wodą, w której stapał.

Ci, którzy ich ścigali, znów się zbliżyli, w oddali słyhać było strzelaninę. Mary drżała, ale walczyła, by poruszać się naprzód. Wciąż za szerokimi plecami Leóna brodziła w wodzie, przez którą straciła czucie w nogach. Nie odpuszczała. Musiała wierzyć, że León ją stąd wyprowadzi, inaczej była zgubiona.

Strzały, które rozbrzmiewały w uszach Mary, nie napędzały jej nawet połowy tego strachu co sapanie jej ojca, które ciągle wyraźnie słyszała. Wprawdzie słyhać je było z pewnej odległości, ale wiedziała, że tu był. Strzały i to, do kogo były skierowane, nie obchodziło Mary. Wojna band to nie była jej wojna.

Jej wrogiem był ojciec, który się zaczął... na nią, na Mary. Zabrała mu Davida i ojciec się za to mścił.

I nawet jeśli León jej wmawiał, że to zagrożenie jest nierealne, czuła je na skórze bardziej niż te strzały, które brzmiały w jej uszach. Głuche puknięcie, gdy kule trafiały na kamienne ściany, zanim do nich dotarło, zwielokrotniało się w korytarzach. A napastnik, prawdopodobnie Rojo Rabán, wciąż wykrzykiwał rozkazy. Broń wypaliła. Brzmiała jak grzmot, który zbliżał się do nich tunelem.

Przez minutę powietrze wypełniały strzały i chrapliwe krzyki. Wciąż mieszał się z nimi głos ojca Mary, który wściekły ją wołał.

León próbował ocenić, ile strzałów w ciemności przerzedziło szeregi *muerte negra*, ale to było niewykonalne. Zabrzmiało nienaturalne skrzeczenie, po czym zastąpił je krzyk, czyli tu na dole, w tunelu, musiało być co najmniej dwóch duszopijców. León sądził jednak, że było ich więcej.

„Cała ta historia z *muerte negra* ma tę zaletę, że być może zatrzymują naszych prawdziwych wrogów – pomyślał. – Może uda im się załatwić przynajmniej kilka z tych bestii”.

Ale tak naprawdę w to nie wierzył.

„Dobra, w tym momencie jedna i druga grupa ścigających są zajęte sobą nawzajem. Co teraz robimy?

Musimy wyjść z tej zimnej wody, w przeciwnym razie dalej nie uciekniemy”.

Nieoczekiwanie powróciła cisza. Co miała znaczyć? León nagle stanął. Mary wpadła na jego plecy.

– Co się dzieje? – zapytała cicho.

León skierował światło w sufit, żeby nikogo nie oślepić, i czekał, aż dogonią ich Jeb i Jenna.

– Jak się czujecie? – zapytał.

– Ja już od dłuższego czasu nie czuję stóp – jęknęła Jenna.

– Mam wrażenie, że zamarzam – dodał Jeb.

– Wszystko mam zdrętwiałe. – Mary spojrzała na swoje stopy zanurzone w wodzie, jakby przestały być częściami jej ciała.

– U mnie podobnie – wyjaśnił León. – Obawiam się, że niebawem nogi odmówią nam posłuszeństwa.

Musimy wyjść z wody. I potrzebujemy odpoczynku.

Jenna, Jeb i Mary nie sprzeciwili się.

„Pewnie są równie zmęczeni jak ja” – pomyślał León.

Chociaż niebezpieczeństwo czaiło się tuż za nimi, nie mieli innego wyjścia niż wyjąć teraz nogi z wody i powoli je rozgrzać. Prześladowcy się uspokoili, ale León wiedział, że to nie potrwa długo.

Kiedy stojąc na przemian na jednej nodze, rozmasowywali sobie stopy i łydki, León podtrzymywał Mary, która ugniatała swoją lewą stopę. Palce miała pobielale z zimna, prawie sine. León oparł się o ścianę tunelu po prawej i po kolei wyciągał nogi z wody. Oświetlił przy tym latarką głębię tunelu, chociaż był pewny, że usłyszy każdego, kto będzie brodził w ich kierunku.

– Tam z tyłu coś się wydarzyło – powiedział Jeb.

– Tak. – León splunął do wody.

– To dla nas dobrze.

– Też tak myślę.

– Do wodociągów nie może być już daleko, chyba że...? – wtrąciła się Jenna.

– Tutaj na dole trudno to ocenić – powiedział León.

– A jak daleko stamtąd do bram?

– Znajdziemy je. Jest tam ta przeklęta gwiazda, więc znajdziemy i bramy.

Nie powiedział głośno, że będą tylko trzy bramy, ale wiedział, że wszyscy w jednej chwili pomyśleli o tym samym.

Następne minuty wypełniło gorzkie milczenie.

Jak na niewypowiedzianą komendę czwórka młodych ludzi odwróciła się w kierunku wodociągów i poszła dalej.

Mniej więcej kwadrans później dotarli do skrzyżowania w podziemnym systemie. Główny tunel nadal biegł prosto, ale tu w obie strony odchodziły suche boczne korytarze. León zatrzymał się, wyszedł z wody i oświetlił otoczenie. Inni podążyli za nim i Jenna ucieszyła się z suchego i widocznego podłoża pod stopami.

– Co teraz myślicie? – odezwał się León.

– Co masz na myśli? – odrzekła Jenna.

– Moglibyśmy pójść tymi korytarzami. Przynajmniej są suche, szczerze mówiąc, zimna

woda wyciąga z moich nóg wszelkie siły. Nie mam pojęcia, jak długo będę mógł w niej maszerować.

Jenna rozumiała Leóna aż za dobrze. Ale jednocześnie wiedziała, że muszą zostać na prostej drodze do wodociągów, żeby dotrzeć do celu.

– Opuszczenie teraz głównego tunelu jest bez sensu – wtrącił się Jeb. – To prosta droga. Kto wie, dokąd zaprowadzą nas korytarze. Przy odrobinie pecha nawet wprost w ramiona naszych wrogów.

– Jeb ma rację – wtórowała mu Mary. Jenna widziała, jak zaskoczony León się do niej odwrócił. – Najpewniejszą drogą jest tunel. I ma tę zaletę, że słychać, gdy ktoś się zbliża. W innych korytarzach można nas zaskoczyć.

– Wiem to wszystko – zaszczekał zębami León. – Ale jesteśmy zbyt powolni, idziemy coraz wolniej.

Kto wie, jak długo jeszcze będziemy brodzić w tej wodzie. Nie wiem, czy to dobrze.

Jenna podeszła do Leóna i przytrzymała mapę pod latarką.

– Zgodnie z mapą... ten korytarz ma jakieś dwa kilometry. Gdzie jesteśmy, nie mam pojęcia, ale to nasza jedyna szansa. – Pokazała szeroki korytarz z falistymi liniami, który wydawał jej się korytarzem z wodociągów, którym cały czas szli pod prąd. – León, spójrz na nas. Każde z nas gotowe jest dać z siebie wszystko. Spróbujmy – zakończyła Jenna.

– W porządku, jeśli o mnie chodzi, ale pozwól nam przynajmniej zostawić fałszywy ślad.

Spojrzeli na niego z zaciekawieniem w świetle kieszonkowej latarki.

– Jeb, wiesz, co mam na myśli. Pamiętam, jak nas wykiwał w pierwszym świecie. Mógłbym się założyć, że wtedy poszedłeś za nami kawałek i zostawiłeś ślady.

Jeb skinął głową i według Jenny wyglądał na trochę zawstydzonego.

– Chciałem, żebyśmy mieli jakąkolwiek szansę.

Gdy Jenna o tym pomyślała, prawie zrobiło jej się niedobrze. Cieszyła się, że już nigdy później nie szło im tak marnie jak wtedy.

– Dobra, spróbujemy jeszcze raz tego samego. Jeśli się uda, dobrze, jeśli nie, niczego nie tracimy.

– Oprócz czasu – rzuciła Jenna.

– Musimy zaryzykować. Wejdę w lewy korytarz. Może z pięćset metrów. Ślady moich stóp i woda, która spływa mi z butów, będą wyraźnie widoczne. Przy odrobinie szczęścia zarówno *muerte negra*, jak i duszopijcy pójdą tym tropem. Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

– Gdy ślady się skończą, zauważą, że poszli fałszywym tropem. Zaraz znów będą za nami.

– Nie. – León pokręcił głową. – Z czasem z moich butów będzie spływać coraz mniej wody, ślady i staną się niewyraźne, więc nie zauważą, jeśli ich dalej nie będzie. A poza tym... – Wyciągnął broń, fachowo wyjął magazynek i wyrzucił jeden nabój na dłoń – rzucę to daleko w korytarz. Żeby myśleli, że tędy szliśmy.

– Brzmi lepiej niż brak jakiegokolwiek planu – przyznała Jenna. – Warto spróbować. My poczekamy tutaj.

– Nie, idźcie dalej tunelem. Dogonię was.

Mary patrzyła na niego natarczywie.

– Nie chcę cię tu zostawić samego.

León się uśmiechnął.

– Zostawienie śladów potrwa najwyżej dziesięć minut, jeśli z powrotem będę biegł, jeszcze mniej, czyli żeby was dogonić, potrzebuję mniej niż dwudziestu minut. Jeśli się

pospieszę, wkrótce znów będę z wami.

– Nie mamy światła. Masz jedyną sprawną latarkę i też jej potrzebujesz, w przeciwnym razie będziesz zbyt wolny – powiedziała Mary.

Jeb i Mary patrzyli sceptycznie, gdy León doskonał plan.

– To weźcie zapalniczkę. – León wręczył ją Jennie. – Jeśli będziecie ostrożni, wystarczy wam tyle światła.

– No to ruszajmy, nie powinniśmy tracić czasu – zdecydował Jeb. Podszedł do Leóna i poklepał go po ramieniu. – Na razie.

– Tak, na razie.

Jenna skinęła mu głową i odwróciła się, chciała, żeby León i Mary mogli się pożegnać. Mary podeszła do niego i mocno go objęła. Jenna słyszała słowa Leóna: – Nie martw się.

Potem usłyszała jego kroki w korytarzu i Jenna oraz Mary wskoczyły za Jebem do lodowatej wody.

León cały dygotał. Jeszcze bardziej niż w wodzie. Cholera, było mu zimno.

„To tylko nerwy – powiedział sobie. – Napięcie”.

Ciemność i myśl, że jest sam, budziły strach. León zacisnął zęby i poruszył szczękami.

Przed nim tańczył na podłodze promień światła latarki. Od czasu do czasu coś zaszeleściło, a raz słyszał ciche popiskiwanie. Wiedział, że to szczury, które przed nim uciekały, mimo to miał gęsią skórę na plecach.

Zamierzał biec, żeby oszczędzić czasu, ale na to jego mięśnie były zbyt sztywne. Najszybciej, jak się dało, dreptał na zlodowaciałych stopach przez tunel. Myślał o Mary, o jej spojrzeniu, gdy się żegnali, i o jej wargach przy swoim uchu. On i Mary robili małe kroczki, a i tak wiele pozostało między nimi niedopowiedziane. Nie wiedział, jak ma podchodzić do Mary przy wszystkim, co jeszcze nie zostało wyjaśnione, ale im dłużej o niej myślał, tym robiło mu się cieplej. To ciepło wydawało się pochodzić z wnętrza i napełniało go nadzieją. Pierwszy raz w życiu znów miał cel, wiedział, po co żyje.

Stanął na chwilę i oświetlił drogę powrotną. Ślady stóp wyraźnie odciskały się w kurzu, ale z każdym krokiem były blade.

Zadowolony poszedł dalej.

Dopadły go obrazy z przeszłości. Widział samego siebie w Barrio. Jako dziecko, jako młodego człowieka. Antónię, dziewczynkę z kołyszącymi się warkoczykami, która w wieku dwunastu lat podarowała mu pierwszego całusa.

Ale były wśród nich też obrazy nienawiści i przemocy. Po Barrio chodziła śmierć, należała do życia tak jak oddychanie i dotykała członków gangu, narkomanów i prostytutek, nieważne, czy byli wrogami, czy przyjaciółmi.

Jeśli ktoś miał pecha urodzić się w tej dzielnicy, niechybnie zapoznawał się ze śmiercią. Była przy człowieku od pierwszego oddechu, patrzyła przez ramię i kierowała ręką, w której ktoś trzymał broń.

A jednocześnie była zdrajcą, dziś sprzyjała komuś tylko po to, by jutro go zdradzić i zrabować nadzieję na lepsze życie.

León nagle drgnął i przeciągnął dłońmi po ramionach, żeby się pozbyć gęsiej skóry. Czyżby coś go dotknęło? Zatrzymał się na chwilę i nasłuchiwał. Nic. Przyszła mu do głowy opowieść Miszy o spotkaniu z duszopijcami, odczuł wtedy odrętwienie. León mu wówczas nie uwierzył, teraz instynktownie poruszał rękami, odwrócił głowę na bok, potrząsnął nogami. Mimo to wciąż jeszcze czuł lodowate dotknięcie na ramieniu. Obejrzał się i

poświecił za sobą latarką. Nic nie widać, nic nie słyhać.

Uśmiechnął się gorzko. Czyżby do tego zwariował? Żeby oderwać się od tej myśli, wspominał swoje pojawienie się w labiryncie. Pierwszy świat. Ucieczkę. Znow nadaremnie próbował domyślić się, co go tam przeniosło.

A potem była Mary.

I już wciąż Mary.

Jej słabość, która jednocześnie była jej siłą. Jej uśmiech, gdy wieczorem siedzieli przy ognisku.

Zaczerwieniona z wysiłku twarz podczas marszu przez rozżarzoną równinę. Mary, po której tańczyły płatki śniegu. Mary przed ostatnią bramą i spojrzenie Mary, kiedy go tak naprawdę pierwszy raz dostrzegła.

Zadziało się w nim coś, co sprawiło, że nie chciał dłużej chodzić samotnie własnymi ścieżkami. Nie był nikomu nic winny, nie musiał sobie niczego udowadniać, a jednak, gdyby teraz przyszło mu podejmować decyzję, wiedziałby, jak będzie działać.

Mary.

Wszędzie i zawsze.

Mary.

Nagle jakiś dźwięk wyrwał go z zamyślenia. To nie był kolejny szczur przemykający po korytarzach, nie, przed nim w ciemnościach stał człowiek.

León poderwał latarkę do góry, drugą ręką sięgnął za pasek spodni i wyciągnął broń. W tym momencie oślepił go silny promień kieszonkowej latarki. León nic nie widział, musiał przymknąć oczy.

„Kto tu jest? – zastanawiał się. – Jakiś *muerte negra*? Czy jeden z *mole people*?”

Za światłem widać było tylko schematyczny zarys. Bardziej przecucie niż rzeczywisty obraz. León się nie ruszał. Ten drugi też nie. Światło było cały czas skierowane na niego.

– Czy to ty, Bene? – zapytał go ten intruz.

„Dobrze, światło mojej latarki oślepia go tak samo jak jego latarki mnie” – pomyślał.

Spróbował pewnego triku i powiedział: – Tak!

Jeszcze zanim wypowiedział to słowo, już wiedział, że nie zadziała. León poderwał rękę i wypalił do cienia za światłem. Jednocześnie po drugiej stronie zobaczył błysk w lufie pistoletu. Coś trafiło Leóna, odrzuciło go do tyłu. Gdy padał, znow strzelił, a potem twardo uderzył plecami o kamienną posadzkę.

Powietrze wypełnił gwizd z jego płuc. Mieniające się gwiazdki tańczyły przed zamkniętymi oczami.

Latarka wypadła mu z ręki i potoczyła się kilka metrów. León otworzył oczy i odwrócił głowę.

Strumień światła był przypadkiem skierowany w stronę jego przeciwnika. Zobaczył go. Leżał skurczony na boku jak potłuczona lalka. Oczy miał otwarte, patrzyły bez życia w jego stronę i go nie widziały.

Był młody. Niewiele starszy niż León. Chudy i żylasty. Wokół głowy miał zawiązaną kolorową chustkę, nosił szorty do kolan i koszulkę z nadrukiem. Zwyczajny młody człowiek jak on. I nie krwawił.

León jęknął z bólu. Zaczął drżeć. Przez jego ciało pędziła adrenalina i trzęsła nim jak burza gałęzią.

Próbował zacisnąć zęby, jakoś stłumić to drżenie, ale jego zęby mimo woli szczękały w ciemności.

„Co ja narobiłem? Czy to mój los?” – pomyślał.

Znów stał naprzeciw niego jakiś chłopak i nie był dość szybki. Kara śmierci. Broń nie wybaczła, nie toleruje zawodności.

„Znów zastrzeliłem człowieka – analizowałem. – Wszystko się powtarza. Gdziekolwiek bym poszedł, jak daleko uciekłem, mój los mnie dogania, czai się za następnym rogiem”.

León całkowicie stracił kontrolę nad swoim ciałem, opanowało go drżenie i zaczął płakać. Uciekający czas nagle przestał grać jakąkolwiek rolę.

Łzy płynęły po jego policzkach, spadały na przeklętą broń, którą wciąż trzymał w rękach. Najchętniej by ją wyrzucił. Cisnął z daleka od siebie, ale nie mógł tego zrobić. Być może jeszcze będą jej potrzebować. Sapiąc, wstał, potem go zemdliło i zwymiotował. Do końca. Aż poczuł w ustach smak żółci.

Potem podszedł skurczony do nieżyjącego chłopaka. Pochylił się. Zamknął mu znieruchomiałe oczy. Po cichu wyszeptał modlitwę, którą sobie przypominał. To była modlitwa na dobranoc. Matka odmawiała ją z nim, gdy był jeszcze dzieckiem.

Mijały minuty, potem zabrał zmarłemu broń. Sam miał już niewiele amunicji. Wziął też latarkę.

Podniósł się i pokuśtykał po swoją, nieustannie oświetlającą zmarłego, który nie krwawił. W jej świetle obejrzał własne ciało.

Kula weszła mu trochę powyżej biodra. Podniósł czarną koszulkę i popatrzył na ciemną dziurę w swoim ciele.

Był zaskoczony, gdy zobaczył tak wiele krwi. Zaskoczony, że w ogóle zobaczył krew – dlaczego inni ludzie w tym świecie nie krwawią, a on tak? Jęknął z bólu. Dotychczas szok z powodu tego, co zrobił, był tak silny, że do głowy Leóna nie dotarł ból. Ale teraz, na widok własnej krwi, której było coraz więcej i którą nasiąkało ubranie, bolało go całe ciało.

Nagle poczuł się nieskończenie zmęczony. Ta ciągła walka go wykończyła, nie chciał już iść dalej.

Zewnętrzna nieustępliwość, którą dawał innym odczuć, na pewien czas uczyniła go silnym i niezwykłym. Teraz ta ochronna otoczka została nadszarpnięta i przez rysę napływały zranienie, wyczerpanie i niechybnie śmierć. León był świadomy, że bez pomocy lekarza ta rana wkrótce go zabije.

Prawdopodobnie się wykrwawi. Nie wiedział, ile czasu mu jeszcze zostało.

Mary! Musiał iść do niej. Przynajmniej ją ochronić. Spojrzał w jedną i drugą stronę tunelu. Jego plan, by zwabić *muerte negra* na swój fałszywy trop, upadł w wielkim stylu. Gdzie był jeden z nich, z pewnością byli też inni i wszyscy słyszeli strzały.

„W całej tej sprawie dobrze chociaż, że to odwiedzie *muerte negra* od moich towarzyszy” – pomyślał.

Ale teraz sam zaprowadził ich z powrotem na właściwy ślad. Wystarczy, że gang pójdzie po śladach krwi, które z pewnością będzie zostawiał. Gdyby dotarł do tunelu z wodą, ślad by się zatarł, ale wówczas ścigający go bez kłopotu wywnioskowaliby, w którym kierunku poszedł.

León gorączkowo zastanawiał się, co zrobić. Trzeba było chronić Mary i dać Jebowi szansę zaprowadzenia dziewczyn w bezpieczne miejsce, ale coś przecież musiał zrobić, żeby odwieść przeciwników. Wpadł na pewien pomysł.

Spojrzał na martwego chłopaka.

„Potrzebuję jego koszulki, żeby zatamować krwawienie” – pomyślał.

Miał teraz dwa pistolety. Nie było tu jednak żadnej możliwości ukrycia się ani ochrony.

Jeśli sprawy zaszły tak daleko, musiał strzelać wokół siebie jak szalony i mieć nadzieję, że zdarzy się to, co najlepsze.

Ale przede wszystkim nie mógł teraz tracić czasu.

Kilkoma krokami podszedł do zmarłego.

– *Lo siento* – przeprosił cicho, zdjął mu koszulkę przez głowę i wcisnął ją sobie do tylnej kieszeni spodni, tam, gdzie nie mogła nasiąknąć krwią.

Jeszcze raz wziął głęboki wdech.

Potem ruszył.

Do tunelu.

Jak najdalej od chłopaka, którego zabił.

Jak najdalej od Mary, Jenny i Jeba.

Słyszeliście to? – zapytała zaalarmowana Mary.

Pytanie było niepotrzebne. Oczywiście, że słyszeli. Odgłos wystrzałów wciąż jeszcze rozlegał się w systemie tuneli. Dwa pierwsze strzały padły niemal jednocześnie, trzeci tuż po nich.

– León – szepnęła przerażona Mary.

– To nie musi mieć z nim związku. – Jenna dokładnie wiedziała, jak żałośnie to zabrzmiało. – Kto wie, do czego strzelają ci za nami. A duszopijcy...

– Nie mów bzdur, Jenno – fuknęła Mary i Jenna ustąpiła przestraszona. W bladym świetle zapalniczki twarz Mary była w kolorze prześcieradła. – Jeśli dopadli Leóna... Wracam, on mnie potrzebuje.

– Nie, Mary – wtrącił się Jeb. – Zostajesz z nami. León nas dogoni. Poczekamy na niego.

– A co, jeśli on... On nie może być teraz sam!

– Nie możesz nic dla niego zrobić!

– Ale nie musi tego przechodzić sam. Nie może...

– Mary, nie rób głupstw – powiedziała Jenna. – León jest wojownikiem. Znajdzie nas. Powinniśmy iść dalej, w przeciwnym razie jego poświęcenie nie zda się na nic. On by tego chciał.

Zdecydowane spojrzenie Mary zamigotało. Czy może to było tylko migotanie małego płomienia zapalniczki?

– León by tego nie chciał – jeszcze raz spokojnie powiedziała Jenna. – Został, żeby dać nam czas.

Ryzykuje życie, żeby wyprowadzić naszych prześladowców w pole, a jeśli ty teraz wrócisz, wszystko zepsujesz. On przyjdzie.

– Przysięgnij mi! – nedorzecznie zażądała Mary. – Przysięgnij mi, że on przyjdzie, a jeśli tego nie zrobi, że pójdziesz go poszukać i przyprowadzisz do mnie. Przysięgnij mi na swoją miłość do Jeba.

Jenna nie zwlekała ani chwili.

– Przysięgam.

Mary spojrzała na nią poważnie. Wyglądała na całkowicie spokojną, ale Jennie wydawało się, że lodowata dłoń chwyta ją za serce, gdy Mary powiedziała: – Jeśli złamiesz słowo, Jenno, to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobisz w tym życiu.

Jenna nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Przecież próbowała tylko pomóc Mary. Mary była, oczywiście, zmieszana, wystraszona, jej troska o Leóna kazała jej mówić rzeczy, których tak naprawdę nie myślała. Mimo to aż zaniemówiła.

– Nie próbuj tego, Mary – wszedł między nie Jeb.

Mary spojrzała na niego wściekła.

– Nie cofnę słowa. Ani jednego.

– Musimy iść dalej – zakończyła dyskusję Jenna i poszła w lodowatej wodzie naprzód, nie zwracając uwagi na tych dwoje.

Przy każdym kolejnym metrze obawiała się, czy do niej dołączy. W końcu usłyszała plusk wody za sobą. To musiał być Jeb. Potem, w pewnej odległości, usłyszała wściekle stąpanie

w wodzie. Byli za głośno, tego była pewna, ale przynajmniej posuwali się naprzód.

Po pewnym czasie trafili na kolejne skrzyżowanie tuneli. Mary wyszła z wody i przysiadła na podłodze. Gdy opuściła krąg światła zapalniczki, znów stała się tylko cieniem w ciemnościach. Jenna zatrzymała Jeba i wskazała Mary.

– Co ty robisz? – zapytał chrapliwie i Jenna dziwiła się tej niepewności, która brzmiała w jego głosie.

Czyżby ciasnota zamkniętego pomieszczenia dawała mu się wciąż we znaki? Głowa Jenny była wypełniona myślami o Mary i jej groźbie, gdyby coś stało się Leónowi. Mimo to Jenna nie zapomniała, jak trudne musiało być dla Jeba poruszanie się tu, w tunelu. Miała nadzieję, że tylko wybuch Mary był przyczyną niepewności w jego głosie.

– Czekamy tu na Leóna. – Mary wzięła się pod boki.

– Nie – zaprotestował Jeb. – Idziemy dalej.

Jenna stała niezdecydowana pomiędzy Jebem a Mary. Zamiast mu odpowiedzieć, Mary zdjęła buty i wylała z nich wodę do rynny w tunelu. Zdjęła skarpety, wycisnęła je i masowała stopy.

W milczeniu minęło im kilka minut. Jenna i Jeb również wyszli z rynny i oparli się na tyle, na ile się dało, o łukowate ściany tunelu.

„Proszę, niech León zaraz przyjdzie. Nie może mu się nic stać” – błagała w myślach Mary.

W tym momencie Jenna pomyślała, że Mary zrobiła się dziwna. Wyglądała na spokojną, chociaż przedtem była zdenerwowana. Emanowało z niej niesprecyzowane zagrożenie. Mogło skierować się przeciwko każdemu i wszystkiemu. Jennie Mary trochę przypominała Kathy, która sprawiała wrażenie, że się kontroluje, a jednocześnie nie panuje nad sobą.

„Jak wulkan tuż przed wybuchem” – oceniła Jenna.

– Daj jej parę minut – szepnęła Jebowi do ucha.

– Musimy iść dalej. Nasza przewaga kurczy się wraz z każdą bezsensowną przerwą, którą tu robimy.

– Mimo to – prosiła Jenna – bądź w porządku. Nie zrobiłbyś tego samego, gdyby chodziło o mnie? Ja w każdym razie urządzałabym awantury, gdybyś ty gdzieś błądził albo gdybym nie miała pojęcia, co się z tobą dzieje. – Poglaskała go delikatnie po policzku i spojrzała błagalnie.

Jeb westchnął i przysiadł obok Mary. Jenna usiadła po jej drugiej stronie. Przez chwilę wszyscy próbowali pobudzić krążenie krwi w stopach. Ciszę przerywał jedynie szum przepływającej obok wody.

Potem z oddali usłyszeli cichy plusk. Jeb jednym susem zerwał się na nogi. Zgasił zapalniczkę. Jenna z trudem odnalazła w ciemności swoje buty, które na chwilę zdjęła, żeby wyjąć skarpetki. Obok niej coś szeleściło. Znak, że również Mary drżącymi palcami przygotowywała się do marszu.

Gdy spojrzała w korytarz, zobaczyła światło podskakujące po ścianach tunelu w górę i w dół.

Czy to León? W ciemności aż trzeszczało z napięcia. Obok niej wyraźnie słyhać było oddech Mary.

– Czy to on? To León? – szeptała Mary.

– Myślę, że tak – szeptem odpowiedział Jeb. – To może być nasza latarka. Ale musimy być tego pewni.

Światło się zbliżyło. Pluskanie wody stało się głośniejsze. Jenna nie wytrzymała dłużej niepewności.

Jeśli to był wróg, powinni jak najszybciej uciekać. Ostrożnie trąciła Jeba, który czekał w bezruchu obok niej. Wydawało się, że zrozumiał. Po cichu podniósł zapalniczkę przed siebie, potem cicho gwizdnął.

Natychmiast usłyszeli odpowiedź. Jeb zapalił ogień, a latarka błysnęła dwa razy.

Jenna z ulgą rzuciła się Jebowi na szyję. Mary wydała z siebie cichy okrzyk radości. Wskoczyła do rowu i brodziła w stronę Leóna.

Mary była szczęśliwa, szczęśliwsza niż kiedykolwiek. León żył, wracał do niej. Dostali szansę. Uciekną swoim prześladowcom, znajdą bramy i opuszczą ten straszny świat przemocy i zniszczenia.

Już nie czuła lodowatej wody. Światło latarki trafiło na jej twarz, oślepiło ją, ale to wszystko jedno.

Chwilę później León opuścił latarkę, bo Mary czuła pod zamkniętymi powiekami, że na jej twarzy nie ma już światła.

Potem stanęła przed nim, a w zasadzie padła mu w ramiona. Całowała jego szyję, usta, szeptała mu do ucha niezrozumiałe rzeczy. Kiedy jej kipiąca radość ze spotkania powoli się wyciszała, poczuła, że z Leónem jest coś nie tak. Był zdystansowany, ledwie odwzajemnił jej uściski i oddychał zrywami. Nie mógł jej teraz objąć i pokazać, jak bardzo ją lubi? Nie, w wielu sprawach był jeszcze powściągliwy.

– Kazałeś mi długo czekać – szepnęła szczęśliwa. Światło latarki było skierowane na podłogę, nie mogła więc dojrzeć, czy się uśmiechał, ale po prostu wychodziła z takiego założenia.

– Chodźmy do nich – powiedział León i Mary pociągnęła go za rękę.

Jeb zatrzasnął zapalniczkę, a León do nich podszedł i wcisnął mu w rękę drugą latarkę.

– Skąd ją masz? – zapytał Leóna.

– Natknąłem się na pewnego *muerte negra*. Doszło do... wymiany strzałów. Wziąłem sobie jego broń i latarkę. – Wcisnął Jebowi w rękę jedno i drugie.

– Dzięki Bogu, nic ci się nie stało – wydusiła z siebie Mary.

– To nie takie proste, Mary. – Głos Leóna brzmiał smutno. Poświecił latarką po swoim ciele.

Krew. Wszędzie krew. Jego koszulka i kawałek materiału, który obwiązał wokół bioder, były przesiąknięte krwią i ciekła spod nich wciąż nowa.

Mary krzyknęła.

– Nie!

– Już w porządku – powiedział León. – Nie jest tak źle, jak wygląda.

– Proszę, o Boże, nie... – Mary nie wiedziała, gdzie najpierw ma patrzeć, na ranę Leóna, w jego twarz, by szukać oznak bólu, czy na Jeba i Jennę, żeby poznać ich ocenę sytuacji.

Widziała, że sytuacja jest zła. Ledwie mogła znieść widok tej krwi. Ręce jej drżały, gdy delikatnie głaskała Leóna po twarzy.

Co powinna teraz zrobić?

Jej myśli dziko się kłębiły. Czy on umrze? Nie, to niewyobrażalne. Wszyscy umierali, można ich było zranić i krwawili, ale nie León, jemu przecież nikt nie mógł nic zrobić, a mimo to krew płynęła z niego strumieniami. Mary krzyknęła.

León objął ją ramieniem, pocałował jej włosy.

– Już dobrze – cicho szepnął. – Wszystko będzie dobrze.

– Pokaż mi to – energicznie powiedziała Jenna.

León pokręcił głową.

– Nie ma tu nic do oglądania.

– Mimo to pokaż. – Jenna odwróciła się do Jeba. – Przyświeć mi. Mary, odejdz, proszę, trochę na bok.

Gdy Jeb skierował strumień światła na Leóna, Mary patrzyła, jak Jenna zdejmuje z niego najpierw wymazaną krwią sportową koszulkę, a potem podnosi koszulkę Leóna. Drgnęła, gdy zobaczyła ranę postrzałową. Fatalnie. W świetle latarki wyglądała na ciemną, prawie czarną i wciąż ciekła z niej krew.

Zacisnęła wargi, żeby nie krzyknąć. León chwycił jej rękę i mocno ją ścisnął, odpowiedziała uściskiem, żeby mu pokazać, że jest z nim. Razem to przetrwają.

– Jeb, potrzebuję twojej koszulki – spokojnie powiedziała Jenna. – Mary, trzymaj latarkę.

Mary oświetlała troje pozostałych, gdy Jeb i Jenna odwiązywali swoje flanelowe koszule z bioder, Jeb zdejmował koszulkę, a potem narzucał koszulę.

– Chcecie też moją? – zapytała Mary.

– Nie, to powinno wystarczyć – powiedziała Jenna. Złożyła koszulkę, którą Jeb dostał od Carmelity, i ostrożnie przycisnęła do rany Leóna. – Przytrzymaj to tak – powiedziała do niego. Potem zawiązała mu wokół bioder swoją koszulę, żeby ten prowizoryczny opatrunek mocno się trzymał i nie mógł się przesunąć.

– Dziękuję – cicho powiedział León.

– Na początek ujdzie. Ale musisz pójść do lekarza.

Uśmiechał się umęczony.

– Jeśli widzisz jakiegoś, to mi powiedz. Tylko słabo się czuję na nogach, ale myślę, że wy macie podobnie.

– Wyciągniemy cię stąd – zdecydowanie powiedziała Mary. – Bez dwóch zdań. Znajdziemy kogoś, kto ci pomoże. Na zewnątrz muszą być szpitale albo przynajmniej lekarze, musisz tylko wytrzymać, Leónie.

Obiecuj mi to. Obiecuj mi, że się nie poddasz.

– Wiesz przecież. – Jedno jego spojrzenie wystarczyło i Mary wiedziała, że León mówi to, co myśli.

León nigdy się nie poddawał, jeśli mógł dalej walczyć.

Mary widziała kątem oka, jak Jeb i Jenna dawali sobie znaki, by iść dalej. Jenna zwróciła się do nich i powiedziała: – Chodźmy. Musimy się stąd wydostać.

Mary spojrzała na Leóna.

– Obejmij mnie ramieniem i oprzyj się na mnie.

– Lepiej nie – odrzekł León. – To sprawia mi tylko większy ból. W tej chwili jest w porządku, po prostu idźmy dalej.

– Ale gdy gorzej się poczujesz, to nam powiesz. Możemy cię nieść. – Spojrzała na Jeba i Jennę, oboje kiwnęli głowami.

– Dobrze. Powiem wam, jeśli będę potrzebował pomocy.

Jeb i Jenna odwrócili się i weszli do zimnej wody. León ostrożnie zsunął się do kanału. Mary podążyła za nim. Teraz, ponieważ León tu był, i ona zaczęła się spieszyć.

Przez chwilę stąpali w wodzie we czwórkę. Zimno robiło Leónowi dobrze, trochę przeganiało ból z jego biodra, skupiało myśli na innym miejscu. Ale León czuł, że słabnie.

Każdy krok kosztował go sporo sił, których nie miał, ale zagryzał zęby i maszerował dalej. Mary nie powinna zauważyć, że z każdą chwilą jest z nim gorzej. Martwiłaby się i

próbowała mu pomóc. A jemu już nie można było pomóc.

León wiedział, że już nie wyjdzie z tego labiryntu tuneli i kanałów. Dlaczego? Nie wierzył, że na powierzchni będzie czas i okazja, by poszukać lekarza. Gang szukający zemsty był za nimi, a na ulicach panowała wojna, do tego dochodzili jeszcze ich wieczni prześladowcy z pierwszych światów, duszopijcy, nawet jeśli od pewnego czasu nie było ich słyhać. Będą mogli mówić o szczęściu, jeśli w ogóle dotrą do bram. Pomyślał o Miszy i jego żebrach, które – wydawało się – spontanicznie się zagoiły po przejściu przez bramę. Czy bramy mogły go uratować? Będą tylko trzy... Jasne było, że powinny przejść dwie dziewczyny, a potem on i Jeb będą musieli walczyć o ostatnią bramę. Tym razem nie było mowy o losowaniu, a w jego aktualnej kondycji nie był dla Jeba żadnym przeciwnikiem i nawet gdyby udało mu się go pokonać – pomogłoby mu to czy by się wykrwawił w następnym świecie?

Poza tym nie taki miał plan. Ten świat bardzo przypominał mu jego wcześniejsze życie, żałosny byt w Barrio. Nie mógł i nie chciał tu wracać. Dzięki Mary dostrzegł, co tak naprawdę w życiu się liczy.

Miłość. Opieka. Dawanie i branie. Tam, skąd przyszedł, te rzeczy były nieważne.

„Nie, nie chcę więcej takiego życia. Ale nie potrafię też sobie wyobrazić innego” – pomyślał.

Szybko odwrócił głowę, spojrzał na Mary w świetle latarki i się uśmiechnął.

„Ty musisz żyć – pomyślał. – Proszę, pamiętaj o mnie. Pamiętaj o wytatuowanym chłopaku, który pojawił się, żeby cię ratować”.

Mary odpowiedziała na jego uśmiech. W jej uśmiechu było tak wiele nadziei. Nigdy by go nie porzuciła, chciała wierzyć, że jest jeszcze dla niego szansa, ale on wiedział lepiej.

Już od pewnego czasu tunel, którym szli, stopniowo się rozszerzał. W końcu mogli nawet wyjść z lodowatej wody i iść wąską ścieżką obok rynny. A teraz tunel otworzył się przed nimi w przestronne wysokie pomieszczenie. Sufit i ściany były, jak przedtem, litą skałą, ale podłoga stała się wybrukowaną cegłami platformą, do której dotarli po wąskich schodkach. Przed nimi był cel ucieczki.

Woda płynęła do rowu z szerokiej rury wychodzącej wprost ze ściany. León i Jeb starannie oświetlili otoczenie.

W końcu León je zobaczył.

Na końcu platformy. Po prawej od wielkiej rury dostrzegł ciężkie metalowe drzwi.

Byli uratowani.

To musiało być wejście do starych wodociągów, które Jenna odkryła na mapie. León nie myślał, że droga tutaj będzie aż tak długa. Ale im się udało. Przejdą przez te drzwi i zabarykadują się za nimi. To powinno zatrzymać *muerte negra* i prawdopodobnie również duszopijców odwiedzie od pogoni.

Na zewnątrz wodociągów musiał wstawać dzień, ale León miał nadzieję, że gwiazda była jeszcze widoczna. Bez niej nigdy nie znajdą bram, które z pewnością nie są daleko. Poczł nieskończoną ulgę.

Byli prawie u celu. Doprowadził tu Mary, chronił ją tak dobrze, jak umiał. Teraz do zrobienia było tylko jedno.

Jego biodro już bardzo bolało. Paliło, jakby ktoś rozpalił w nim ognisko, i coraz trudniej było mu się wyprostować. Każdy ruch sprawiał, że się kulił, ale jeszcze udawało mu się z tym walczyć. Cud, że aż dotąd wytrzymał. Ale ile to potrwa, zanim padnie?

No dobrze, wiele czasu już nie potrzebują. Spojrzał na Jenę.

– To muszą być te drzwi, które znaleźliśmy na planie, prawda, Jenno?

Jenna skinęła głową z ulgą.

– Tak, nigdy nie widziałam nic piękniejszego.

– Jeśli wybraliśmy właściwy korytarz, wyprowadzą nas z tej szurzej nory na wolność.

– Miejmy nadzieję, że będziemy je mogli zabezpieczyć z drugiej strony – powiedział Jeb z namysłem.

– Coś nam wpadnie do głowy – dodał León.

– Jak się czujesz? – przerwała mu zatroskana Mary. – Boli cię?

Spuścił światło latarki na podłogę, żeby strumień nie padał na niego. Nie powinna widzieć jego zaciśniętych zębów, a także krwi, która przesączyła się przez opatrunek Jenny i kapała.

– W porządku. Wprawdzie zdarzało mi się już czuć lepiej, ale przynajmniej nie jest gorzej.

To kłamstwo gładko i wiarygodnie przeszło mu przez gardło. Mary pocałowała go w policzek.

– Wytrzymaj – szepnęła cicho. – Wkrótce dotrzemy do celu.

Uśmiechnął się udęczony. Tak, wkrótce dotrze do celu. Zostawi wszystko za sobą i w końcu będzie wolny.

Nagle w korytarzu za nimi rozległy się szelesty. Niegłośne i w dość dużej odległości. Potem zabrzmiały ledwo słyszalne szepty i niezrozumiałe słowa. Później ciszę rozdarły skrzeki, nieziemskie dźwięki, które wielokrotnie odbijały się od kamiennych ścian kanałów i niosły echem.

Potem znów zapadła cisza, ale ten spokój był zatrważający.

– Cholera – szepnęła Jenna. – Musimy się pospieszyć.

Kilkoma krokami przeszli przez platformę i stanęli przed drzwiami. Szare, grube i masywne, z wierzchu pokryte rdzą, tkwiły przed nimi jak bastion. Spływały po nich krople wody. Na zawiasach rosły porosty, jakby już dawno nikt ich nie otwierał. Drzwi robiły wrażenie stabilnych. Zatrzymałyby wszystko i każdego.

León oświetlił je latarką, a Jeb chwycił za klamkę ją nacisnął.

Zabrzmiał pisk, ale nic się nie wydarzyło.

Klamka poruszyła się w dół i odskoczyła do góry, gdy Jeb ją puścił. Znów szarpnął za klamkę. Nic nie osiągnął, oprócz głośnych trzasków. Spróbował jeszcze raz. Użył więcej siły i jednocześnie się zaparł.

Nic.

Teraz szczęścia spróbował León. Lekceważąc wszystkie bóle, rzucił się na drzwi.

Nie ruszyły się nawet o milimetr.

León zacisnął szczęki. Dotarli tak daleko i stali przed zamkniętymi drzwiami.

Wykrzyczał całą swoją frustrację.

Mary się wzdrygnęła. Była przestraszona reakcją Leóna, ale go rozumiała. Potrzebował pomocy, a te drzwi były jedynym wyjściem.

„Weź się w garść i nie zaczynaj beczeć. León cię potrzebuje – myślała Mary. – Musisz teraz zachować jasny umysł”.

Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić. Mary owładnął strach, zrobiło jej się ciemno przed oczami, ale odpędziła lęk i zacisnęła dłonie w pięści.

„Jestem Mary, ta, która przetrwała już poprzednie światy, i jestem silna. Wydostaniemy się stąd. Jest jakieś wyjście”.

– Co teraz robimy? – zapytał zrezygnowany Jeb.

– Z powrotem do tunelu – zaproponował León. – Spróbujmy znaleźć inną drogę do wodociągów.

– Nie wierzę, że jest jakaś inna droga – sprzeciwiła się Jenna. – A jeśli nawet, jak mamy ją szybko znaleźć w tej sieci korytarzy?

– Nie mamy wyboru – upierał się León.

Nagle Mary wpadła na pewien pomysł.

– A jednak mamy – powiedziała stanowczo. Sama się zdziwiła, że jej głos brzmiał tak zdecydowanie.

– Jaki? – zapytała Jenna. – Drzwi są zabarykadowane, a za nami czają się wrogowie wszelkiej maści.

To tylko kwestia czasu, żeby nas dogonili!

– Otworzę te drzwi od wewnątrz, prawdopodobnie są zaryglowane – spokojnie powiedziała Mary.

Pozostała trójka popatrzyła po sobie, jakby Mary straciła rozum.

Mary kiwnęła głową w stronę rury w ścianie, z której do rowu wciąż spływała lodowata woda.

– Wejdę tam! – Wskazała czarną dziurę.

Pozostali milczeli speszeni.

W końcu Jeb zapytał:

– Naprawdę myślisz, że przejdiesz przez rurę, nie klinując się tam albo nie topiąc?

– Warto spróbować, nie sądzicie? – Mary wzruszyła ramionami.

W istocie w chwili, kiedy głośno mówiła reszcie o swoim pomysłe, stawiała wszystko na jedną kartę.

Bo gdyby się jej nie udało, byliby zgubieni. Próbowwała odsunąć od siebie tę myśl jak najdalej.

– Nie – stanowczo sprzeciwił się León. – Nie zrobisz tego. Ja pójdę.

Mary widziała jego rozpacz i bezsilność. Oboje wiedzieli, że ranny nie da rady tego zrobić.

– Ty zostajesz tu i czekasz, aż otworzę drzwi – stanowczo powiedziała Mary, a twarz jej płonęła.

– Ja mogę spróbować – niezdecydowanie wtrącił Jeb, ale Mary pokręciła głową.

– Nie, ty i Jenna jesteście za duzi, zaklinujecie się ramionami w rurze. Tylko ja mam szansę się przez nią precyzyjnie. – Zrobiła głęboki wdech. – Pomyślcie o Tianie i Kathy. Poświęcili się. Teraz moja kolej.

Może mi się uda.

Dostrzegła krytyczne spojrzenie Jeba.

– A co zrobisz, jeśli za murem nie ma wyjścia z rury? Jeśli ta rura po prostu przechodzi w kolejną?

Utopisz się.

– Tego dowiemy się dopiero, kiedy spróbuję. Jeśli tu zostanę, i tak umrzemy.

– Nie. Proszę, Mary – błagał León i widziała po nim, że na tę myśl dostawał mdłości. Wyraźnie nie nawykł do tego, że kto inny brał na siebie niebezpieczeństwo. – Daj nam przemyśleć jakąś inną możliwość.

– Nie ma innej i sam to wiesz. Abstrahując od tego: wy wszyscy już tak wiele ryzykowaliście, teraz moja kolej. I może mi się udać. – Widziała, że León znów chce się sprzeciwić, ale delikatnie położyła mu palec na ustach. – Zaufaj mi. – I zanim coś zdążył odpowiedzieć, dodała: – Żadnych pożegnań. Wróć i cię zabiorę.

Z tymi słowami odwróciła się i podeszła do rury.

– Jeb, daj mi, proszę, swoją latarkę.

Podał ją Mary, a ona poświeciła w wodę, która nieustannie stamtąd wypływała. Widok budził grozę.

Woda była czarna jak atrament, wypływała ze ściany z ogromną prędkością, a przy tym wypełniała prawie całą rurę. Próbowwała oszacować jej szerokość, ale ponieważ była drobna, właściwie powinna bez kłopotu przez nią przejść. Dostęp do powietrza mógł być trudny. Tylko na samej górze była w rurze wąska przestrzeń, której nie wypełniała woda. Będzie przez dłuższą chwilę musiała wstrzymać oddech i się pospieszyć. Po plecach przeleciał jej dreszcz.

W tunelu za nimi zabrzmiały okrzyki ekscytacji. Nie potrafiła już odróżnić, kto je wydaje, jakie głosy klną i kto grozi im śmiercią. Lęk przed ojcem rozproszył się, odkąd ranny León znów był u jej boku. Już się nie bała, teraz musiała być silna za nich oboje, jeśli miała dostać jeszcze jedną szansę. To było dla Mary jasne: byli w mniejszości i ktokolwiek ich tu znajdzie, bez trudu się z nimi rozprawi. Musiała się pospieszyć, jeśli również jej przyjaciele

mają się uratować.

Mary oddała Jebowi latarkę.

– Przyświeć mi, proszę.

Zaczęła się rozbierać.

– Potem będę miała przynajmniej suche ubranie i od razu nie zamrznę, jeśli uda mi się otworzyć drzwi. Jenno, weźmiesz dla mnie te rzeczy? Będą tylko przeszkadzać podczas pływania.

Kiedy została w samych majtkach, od razu zmarzła. Już pojedyncze krople spływającej lodowatej wody powodowały gęsią skórkę. Próbowwała zignorować dygot i skupić się na zadaniu.

„Oddychaj głęboko, oddychaj głęboko – mówiła do siebie. – Tak głęboko, żebyś dotarła do drugiego końca rury”.

Mary głęboko wciągnęła powietrze, chwyciła brzeg rury, oparła się na ramionach Jeba i wśliznęła do środka.

Jeszcze ostatni, głęboki wdech. Potem wsunęła się w ciemność.

Jej twarz i ciało natychmiast otoczyła lodowata woda. Wyciągnęła ramiona do przodu i ruszyła naprzód. W głowie miała tylko jedną myśl: jak długo człowiek może wstrzymać oddech?

León wraz z Jebem patrzyli w rurę, ale światło latarki nie przenikało przez masy wody i już po kilku sekundach przestali widzieć Mary. Gdy zniknęła w rurze, León z jękiem opadł na podłogę. Objął kolana i ułożył na nich głowę. Jeb przypuszczał, że chce zostać sam, więc zostawił go w spokoju i dalej świecił w rurę, bo nie wiedział, co innego miałby zrobić. Może światło mimo wszystko jakoś pomoże Mary, może doda jej pewności siebie to, że tu czekają.

– Widzisz ją? – zapytała Jenna, przyciskając do siebie ubrania Mary.

– Nie. Nic.

Jenna milczała przez chwilę, a potem powiedziała: – Tam w środku jest strasznie ciemno i lodowato. Kto by pomyślał, że Mary będzie miała aż tyle odwagi?

„Tak – pomyślał Jeb – jest niewiarygodnie odważna. Ale zadziwił go przede wszystkim rozwój Mary, który nastąpił od czasu, gdy pojawiła się w pierwszym świetle. – Z rozpuszczonej kozy zmieniła się w energiczną młodą kobietę, zdecydowaną wziąć swój los we własne ręce”.

Nagle znów zabrzmiał ostry krzyk jakiegoś duszopijcy i Jeb rozpoznał w nim aż nadto dobrze znany głos. Wypełnił go ciemnością, nienawiścią do siebie i wyrzutami sumienia. Słaby głos jego umierającej matki przeniknął go do głębi. I widział po nerwowym spojrzeniu Jenny przez ramię i po drgnięciu Leóna, że również ich dotknęło coś, o czym najchętniej by zapomnieli. Nie odważył się o to zapytać, ze strachu, że sam musiałby ubrać w słowa koszarne wspomnienie.

Tak, najchętniej przynajmniej na chwilę zapomnieliby o tym, co im się przydarzy, jeśli te wspomnienia ich tutaj dopadną do reszty. Czy całkiem ich strawią? Czuł, jak blisko już były. Jeb wpatrywał się w rurę jak zauroczony.

„Proszę, pospiesz się” – myślał.

Było ciemno i zimno. Woda opływała Mary, ciągnęła ją i nią miotała. Mary miała otwarte oczy, żeby wypatrywać promieni światła, ale nic nie było widać. Twarz ją bolała, a woda

drażniła w oczy. Silnymi ruchami przebijała się naprzód, zapierała się o ściany po lewej i prawej i posuwała dalej.

Oceniała, że pełźnie przez rurę dopiero kilka sekund, chociaż wydawały się jej wiecznością. Leżąc na brzuchu i macając ramionami przestrzeń przed sobą, odpychała się stopami i poruszała nogami centymetr po centymetrze do przodu. Woda była gęsta i kradła mnóstwo sił. Miała wrażenie, że nie posuwa się naprzód. Gdy stała przed rurą, wyobrażała sobie, że dużo łatwiej będzie utorować sobie drogę przez wodę. Walczyła o każdy centymetr, z każdym litrem wody i czasem.

„Nie dam rady” – pomyślała.

Ta myśl była ciężka i stała jej na drodze. Nagle była już tylko świadomość, że nie zdoła wykonać tego zadania. I to ścisnęło jej gardło. Nieważne, jak daleko by dotarła, to wciąż było za mało. Zaczynała zauważać, że brakuje jej tchu. W płucach rosło ciśnienie. Czuła, jakby ktoś uciskał jej klatkę piersiową, a potrzeba otwarcia ust i złapania powietrza była coraz silniejsza.

To było straszne uczucie, całkowitej niemocy, bo nie wiedziała, co jeszcze mogłaby zrobić. Zawrócić?

Niemożliwe. Przemieszczała się w rurze pod prąd, ale na szczęście nie był tak silny, żeby ją wypchnąć.

Mogła się poruszać tylko w jednym kierunku. Naprzód!

Pomyślała o Leónie, gdy palcami macała wnętrze rury, a stopami się od niej jeszcze raz odepchnęła.

„Posuwaj się małymi etapami”.

Oczami duszy zobaczyła krzywy uśmiezek Leóna, jego niezliczone tatuaże, które często oglądała.

A potem przypomniała sobie to zranione spojrzenie, kiedy dotarło do niego, że tym razem nie może jej ratować. I ten obraz dodał Mary sił. Zdwoiła wysiłek i zastanawiała się, skąd czerpie na to energię.

Miała za sobą kolejny spory kawałek drogi, ale to ciągle było mało. Czy ta rura nie ma końca? Wciąż jeszcze nie widziała światła. Lodowata ciemność, która wnikała w jej członki, sprawiała, że ciało sztywniało i nieruchomiało.

„Nie poddawaj się” – powtarzała sobie.

Płuca ją paliły. Ciśnienie było potężne, szumiało jej w uszach i powoli zaczynało się kręcić w głowie.

„Już nie wytrzymam – pomyślała. – Muszę wziąć oddech. Nie! Nie otwieraj ust. Umrzesz. Muszę.

Muszę. Muszę”.

Mary wypuściła z płuc resztkę powietrza.

– Czy nie powinna już dawno dać nam jakiegoś znaku? – Jenna odważyła się przerwać ciszę.

León podniósł głowę. W jego spojrzeniu była cała rozpacz, jaką człowiek może odczuwać. Wydawało się, że zapomniał o swojej ranie. Według Jenny od początku wyglądała źle. Prowizoryczny opatrunek był przesiąknięty krwią, a koszulka ciężko zwisała. León był bliski kresu, nawet jeśli wkrótce stąd wyjdą.

– Zamknij dziób! – wykrzyknął León. Jego głos był jednym wielkim charkotem.

Mary była w tej przekłętej rurze od kilku minut. Jenna wiedziała, że kiedyś będą musieli

zmierzyć się z najgorszym. Kiedy?

– Jeśli rura otwiera się za ścianą, Mary powinna już przejść. Jeśli jej się udało, już od dawna stoi pod drzwiami.

– Gównu wiesz, Jenno. Po prostu poczekaj.

Jeb położył Jennie rękę na ramieniu i dał znak, żeby milczała.

– Może szuka jeszcze drogi do drzwi albo ma kłopot z ich otwarciem – próbował mediować.

Jenna była mu za to wdzięczna, bo jej brakowało na to sił. Mimo to złe myśli gryzły ją dalej.

„Przecież sam w to nie wierzysz, Jeb – złościła się wewnętrznie. – Przyznaj przed sobą, że Mary nie wróci i nie otworzy dla nas drzwi. Ona nie żyje, a my jesteśmy uwięzieni. Nie możemy się wydostać z tego labiryntu, a za nami czyhają wrogowie. Pytanie nie brzmi: czy nas dopadną, tylko: kto pierwszy nas wykończy. I tak długo, jak tu tylko stoimy, nasze szanse na ratunek znikają”.

W niemej złości miętosiła ubrania Mary. Jeb niespokojnie oświetlał halę, potem znów rurę i drzwi.

Później podszedł do nich i cicho zapukał. Przyłożył ucho do metalu i nasłuchiwał odpowiedzi.

Jenna pytająco podniosła głowę, ale potem uświadomiła sobie, że Jeb nie mógł widzieć tego gestu.

– I co? – zapytała.

Pokręcił głową.

Niespodziewanie León się pozbierał. Jenna widziała, jak jego twarz wykrzywiła się z bólu, i chociaż światło było kiepskie, dostrzegła, że jego koszulka z przodu cała była nasiąknięta krwią. Przycisnął dłoń do boku, powlókł się do Jeba i odsunął go na bok. Potem z całym impetem uderzał w drzwi, kuląc się i wrzeszcząc przy każdym uderzeniu: – Mary? Mary? Gdzie jesteś?

Jenna mu współczuła. Jej wzrok przesunął się z Leóna na Jeba i wstydziła się cichej radości, że nie jest na miejscu Leóna. Jej wzrok wciąż uciekał do tunelu. Krzyk Leóna z łatwością wskazywał drogę prześladowcom. Ale nie powstrzyma Leóna. Próbowwała odciąć się od jego rozpaczliwego wołania i przypatrywała się Jebowi. Chociaż znali się dopiero kilka dni, czuła, że zna każdy jego ruch i umie go przewidzieć. Jakby całe jej życie było przygotowaniem do tego, by kochać Jeba.

Chrapliwe i pełne wściekłości okrzyki wytatuowanego wojownika znów przebiły się do jej świadomości.

Podeszła do Leóna, stanęła obok niego, waliła w drzwi i wołała Mary.

Mary instynktownie odwróciła się na plecy, zanim otworzyła usta, i stał się cud: mogła oddychać. Wąski prześwit w rurze, wysokości kilku centymetrów, ten, którego nie wypełniała woda, uratował jej życie.

Sapiąc, wdychała i wydychała powietrze, ale oddychała. Gdy gwałtownie uniosła się z wody do góry, mocno uderzyła głową w rurę, ale nawet ból nie mógł zepsuć tej chwili radości. Kręciło jej się w głowie, a całe ciało drżało. Znowu mogła oddychać – tak wyzwolona nie czuła się jeszcze nigdy.

Mary kilkakrotnie zacisnęła powieki i jeszcze bardziej się skupiła. Znowu nabrała odwagi. Teraz mogła być pewna, że sobie poradzi, bo jeśli to będzie konieczne, może spokojnie pooddychać i odpocząć kilka sekund. Jej towarzysze byli z pewnością chorzy ze zmartwienia, wiedziała, że straciła poczucie czasu. Ale była pewna jednego: przedrze się przez tę rurę i ich uwolni.

Mary jeszcze raz wzięła głęboki wdech, potem znowu zanurzyła głowę pod wodę i próbowała posuwać się naprzód. Na plecach nie szło jej dobrze. Musiałaby uginać kolana, a tak wiele miejsca w rurze nie było. Odwróciła się więc i posuwała naprzód jak foka.

Musiała jeszcze pięć razy nabrać powietrza. Przez męczące odwracanie się straciła więcej czasu, a przede wszystkim kosztowało ją to mnóstwo sił. Ciało miała już zdrętwiałe z zimna i tylko mechanicznemu działaniu swoich kończyn zawdzięczała to, że nadal się odpychała w wodzie. Jednak po tym, jak ostatni raz nabrała powietrza, przed piekącymi oczami chyba zobaczyła jakiś promień. Najpierw było to raczej przeczucie światła, ale potem stało się rzeczywistością. Teraz musiała dobrze gospodarować powietrzem w płucach, żeby nie zabrakło go w trakcie ruchu. Zmęczonymi nogami odepchnęła się od rury ostatni raz i wylądowała w zbiorniku. Od razu jak kamień opadła na dno.

Ogarnęła ją panika, że nie wypłynie już na powierzchnię. Szukała czucia w skostniałych rękach i nogach, robiła niezgrabne ruchy i w końcu zaczęła posuwać się do góry. Powietrza miała niewiele, ruchy, do których nie przywykło wyczerpane ciało, męczyły ją, a płuca znowu piekły.

„Płyń, Mary, płyń jak w zawodach o życie! Dasz radę, może ci się udać!”

Zrobiła jeszcze jeden silny ruch i oczekiwała, że wypłynie na powierzchnię. Wyciągnęła głowę do góry, żeby nabrać powietrza, ale dookoła niej wciąż była woda. Przeliczyła się. Przez chwilę zaczęła bezładnie machać nogami i walić rękami wokół siebie, potem odzyskała kontrolę nad sobą. W skroniach jej dudniło, ale po kolejnych dwóch ruchach w końcu przebiła głową powierzchnię wody i prychnąwszy, głęboko wciągnęła powietrze.

Naprawdę jej się udało!

Była na zewnątrz.

Mary potrzebowała chwili, żeby odpocząć. Przed oczami miała woal z mgły, nic nie widziała. Całą wieczność trwało, zanim dopłynęła do brzegu zbiornika. Znalazła się przy krawędzi i podciągnęła drżącymi ramionami. Sapiąc, z płonącymi płucami i szumem w uszach, skurczona, siedziała kilka minut na brzegu. Objęła nogi rękami i choć temperatura otoczenia była znacznie wyższa niż wody, zaczęła niemal konwulsyjnie dygotać.

W końcu się rozejrzała. Była w przestronnym pomieszczeniu, przy ścianie którego pracowały potężne pompy, których nie było słyhać zza drzwi. Nad nią, u wysokiego sufitu na metalowych linkach dyndały brudne neonówki i zalewały całą przestrzeń zimnym światłem.

Zorientowała się, gdzie jest. To był zbiornik przelewowy wielkości mniej więcej dziesięć na dziesięć metrów, wypełniony prawie po brzegi. Rura była wpuszczona w górny brzeg tego basenu.

„Gdyby zbiornik był pełny, nie miałabym żadnych szans” – uznała.

Dopiero teraz poczuła ból spowodowany chłodem. Z wychłodzenia prawie zasypiała. Dręczyła ją kusząca myśl, by położyć się na podłodze, zwinąć i po prostu zamknąć oczy.

„Chcę się tylko chwilę przespać i odpocząć. Jestem taka zmęczona” – myślała.

Jej ciało otrząsnęło się z zimna i tylko dlatego udało się wziąć w garść i nie ulec chęci położenia się.

Jak wyrwana ze snu znów się rozejrzała. Po co tu przybyła?

„Drzwi, León, Jenna i Jeb. Musisz ich wpuścić, zanim będzie za późno” – przypominała sobie.

Z trudem wstała. Bose stopy zostawiały ślady wody na kamiennej podłodze, gdy skierowała się w prawo i jak najszybciej pospieszyła wąskim korytarzem, z rękami dla ochrony ułożonymi na nagim tułowiu.

Już od dłuższej chwili przestali nawoływać i walić w drzwi. Mary nie było, nie stała za nimi. Drzwi się nie otworzą.

Mary się nie udało.

Zanim Jeb cokolwiek usłyszał, poczuł powiew wiatru, który wpłynął do hali i owionął platformę.

„To ci, którzy nas ścigają! – pomyślał. – Teraz nas dopadną. Wszystko skończone”.

W korytarzu za nimi pluskała woda.

Muerte negra?

Szło do nich kilka osób, przesuwali przed sobą powietrze w ciasnych tunelach i Jeb myślał, że to członkowie gangu.

Nie słyhać było nieludzkiego skrzeczenia i szeptów duszopijców.

Teraz dotarło do nich ciche pokasływanie. Jeb przykrył ręką latarkę. León swoją wyłączył. Tyłem do zardzewiałych drzwi wpatrywali się w bezruchu w halę i nasłuchiwali kolejnych odgłosów.

Wtedy za nimi rozległ się głośny pisk. Zaalarmowana trójka się odwróciła. Jeb skierował strumień światła latarki na drzwi.

A w nich stała ona!

Mary!

W samych majtkach, a z jej włosów spływała woda. Objęła się rękami i dygotała. León podbiegł do niej i przytulił.

Jeb z ulgą chwycił Jennę za rękę, a ona bez słowa wycierała sobie łzy ubraniem Mary. Na ich twarzach w jednakowym stopniu wypisane były ulga i przerażenie.

Kroki i pluskanie były coraz głośniejsze. Już niedługo nie będą sami... I nagle krzyk. Ktoś coś wrzasnął. Potem rozległ się strzał. Kula z wyciem uderzyła w skalną ścianę i upadła gdzieś na podłogę.

Jeb wtulił głowę w ramiona. Mary przeprowadzała Leóna przez drzwi, on próbował

znaleźć rękę Jenny, która już stała na progu. Padły kolejne strzały. Jeb przecisnął się przez szparę, Mary już domykała drzwi. Gdy Jenna i on byli za drzwiami, Jeb błyskawicznie się odwrócił i również się na nie rzucił.

Z głośnym hukiem się zamknęły. Mary majstrowała przy ryglu, który je blokował. Byli bezpieczni. Głośno wypuścił powietrze.

– Mało brakowało. – Spojrzał na Mary i tylko ze śmiechem pokręcił głową. – Dziękuję, Mary. Jesteś wspaniała.

– Przykro mi, że nie dało się szybciej, rura była dłuższa, niż się spodziewaliśmy – wyrzuciła z siebie, drżąc.

León się do niej uśmiechnął.

– To nic. Ważne, że ci się udało.

Jeb powiódł światłem latarki po wąskim korytarzu.

– Dokąd on prowadzi? – zapytał.

– Do pomieszczenia z basenem i pompami.

– Znalazłaś wyjście?

Pokręciła głową.

– Nie miałam czasu poszukać.

– Dobrze, zrobimy to razem.

Mary wzięła od Jenny swoje ubrania i po drodze je wkładała. Jeb oglądał pomieszczenie, świecąc latarką, gdy Mary nagle krzyknęła: – *Nie*. León. Nie!

Poświecił w ich kierunku. Aż zaczął dyszeć, gdy zobaczył krew, która przesiąkła przez opatrunek.

Twarz Leóna była blada. Jeb spojrzał na Jennę, która też wpatrywała się z przerażeniem w ранego chłopaka. León nic nie mówił, tym bardziej więc Jeb podejrzewał, że odczuwał niepojęty ból.

– León, nie, proszę, nie – szeptała Mary, a potem: – Zróbcie coś!

– Uspokój się – poprosił León. – Już jest jako tako.

– Strasznie krwawisz. Tyle krwi...

– Uwierz mi, to wygląda gorzej, niż jest naprawdę. – Głos miał słaby.

– Bzdura – ofuknęła go. – Wykrwawiasz się. Wszyscy to widzimy, więc nie rznij bohatera.

– Mary, ja...

Przerwała mu.

– Musimy iść dalej. Natychmiast. – Objęła go ramieniem, żeby się na niej oparł.

W jej głosie było tyle samo stanowczości co rozpacz. Jeb wiedział, że Mary robi wszystko, żeby ratować Leóna, lecz najpierw musiała iść dalej, nawet jeśli tylko jedno z nich miało się uratować.

Wiedział o tym każdy z nich i dlatego bez słowa ruszyli korytarzem i weszli do pomieszczenia z pompami. Tu paliły się neonówki i ich blade światło zmusiło Jeba, by przymknął oczy. Gdy odwrócił się do Leóna, dostrzegł, że to wszystko było jeszcze straszniejsze, niż myślał. Krew w świetle nie była już ciemnoczerwona, tylko prawie czarna, tak bardzo nasiąkł nią opatrunek.

Kredowobiała twarz Leóna i posiniąte wargi mówiły wszystko o jego stanie. To cud, że dotarł aż tutaj.

Jeb czuł, jak po policzku spływa mu łza.

– Przestań beczeć i pomóż mi – objęła go Mary.

León zatoczył się, chociaż Mary go podtrzymywała. Jeb szybko podszedł i wsunął rękę

pod pachę Leóna. Chłopak wydał głuchy okrzyk bólu, gdy jego ciężar spoczął na Jebie. Kolana mu zmiękły, ale trzymał się na nogach.

– Dalej! – wysapał.

Jeb spojrział w szeroko otwarte oczy Leóna i zobaczył to. León czuł, że umrze, ale miał jakiś plan, Jeb wyraźnie to widział po sposobie, w jaki chłopak na niego patrzył.

– Słyszeliście go – powiedziała Mary i zrobiła pierwszy krok. Jeb nie miał wyboru, również ruszył.

Przeszli przez halę i natknęli się na kolejne drzwi. Nie były zamknięte i weszli do pomieszczenia, gdzie po prawej stronie na górę prowadziła metalowa drabinka.

Mary podniosła głowę i spojrzała na nią. Udało im się.

Przed nimi było wyjście na powierzchnię. Jeśli zgadzało się wszystko, co im powiedziano, to teren *muerte negra* był za nimi. A to znaczyło też, że bramy są niedaleko. Ciężar Leóna spoczywał na niej, ale jeśli będzie trzeba, poniesie go dalej. Dalej, byle dalej stąd. Stanęli i spojrzeli do góry. Tylko León nie patrzył, bo głowa opadła mu na pierś. Latarka wypadła mu z ręki i z hukiem uderzyła o podłogę. Kolana ostatecznie się ugięły i chłopak upadł.

Mary krzyknęła. Miała uczucie, że León ciągnie ją teraz za sobą, na podłogę, żeby nigdy więcej nie wstała, jeśli i on tego nie zrobi. Natychmiast się schyliła, chwyciła brodę Leóna i uniosła mu głowę.

León był świadomy. Jego spojrzenie było przytomne. Ciemne oczy błyszczały, było w nich to, co nieuchronne.

– Dalej nie mogę – powiedział cicho.

– Musisz, León. Musisz. Proszę. – Mary wiedziała, jak rozpaczliwie brzmi jej głos i że jej błaganie nie pomoże.

– Uwierz mi. To niemożliwe. – Powoli pokręcił głową. Podniósł rękę i delikatnie powiodł palcami po twarzy Mary. Otarł jej łzy i Mary dopiero wtedy poczuła, że jej twarz jest od nich cała mokra.

– Nie bądź smutna. To jest w porządku. Dostałem o wiele więcej, niż oczekiwałem.

– León! – To był krzyk pełen rozpacz. Był w nim cały ból tego świata. – Kocham cię! To znaczy: musisz wstać. *Wstawaj teraz.*

Mary dygotała, jakaś dłoń dotknęła jej ramienia. Jeb.

– On już nie może.

– A co ty o tym wiesz? – wrzasnęła na niego, potem uklękła obok Leóna.

Pocałowała go, trzymała jego twarz i całowała, szeptała mu do ucha, opowiadała o wszystkich tych rzeczach, o których marzyła.

Nie słyszała cichego głosu Jenny, gdy ta mówiła do Jeba. Nie widziała łez, które mieli w oczach. Nie słyszała szlochu Jenny.

Mary widziała tylko Leóna, jego ciepłe spojrzenie, w którym było pożegnanie na zawsze.

Patrzył na nią i wszystko, co widział, napępniało go szczęściem i zadowoleniem, którego dotąd nie znał.

Ta niewiarygodnie piękna, odważna dziewczyna go kochała, płakała nad nim. Był wybrańcem. Pokochała akurat jego, chłopaka ze strasznymi tatuażami, mordercę, który pochodził ze świata, jakiego nie rozumiała i nigdy nie zrozumie.

Na twarzy Mary odbijał się jego ból. Tak wielu łez nie wylał przez całe życie. Jej ból go poruszał, pozwalał mu prawie zapomnieć o własnym.

– Mary, musisz teraz iść – prosił.

- Nie – szepnęła. – Nie zostawię cię samego.
- Musisz. To nie powinno pójść na marne. Żyj za nas dwoje.
- Nie bez ciebie. Bez ciebie nic nie ma sensu.

Czuł, że po jego twarzy przeleciał uśmiech.

- Jestem ci taki wdzięczny. Za wszystko. Za twoją miłość.
- León.

– Dobrze jest, jak jest. Proszę, idź teraz. Macie cel, który warto osiągnąć.

– Ja... nie mam nikogo oprócz ciebie. – Jej wargi drżały, gdy to mówiła.

Przyłożył swoje czoło do jej czoła, czuł jej ciepły oddech na swoim policzku i w momencie, gdy oddychali tym samym powietrzem, jego wargi dotknęły jej ust i szepnął: – Kocham cię.

Chciał powiedzieć więcej, ale słowa nie przychodziły. Zabrakło mu słów.

Nagle ciszę rozerwał głośny wybuch. Podłoga i ściany zadrżały. Z sufitu posypał się pył. Wszyscy przerażeni podnieśli wzrok. Ciężkie metalowe drzwi nie na długo zatrzymały *muerte negra*. Po prostu je wysadzili.

León wymienił długie spojrzenie z Jebem i zrobił ruch głową. Jeb bez słów zrozumiał, podniósł lamentującą Mary z podłogi i zaprowadził do drabiny.

Gdy Mary stała przed drabiną, jeszcze raz się do niego odwróciła. Nic nie powiedziała, tylko spojrzała, a potem wspięła się po drabinie. Jenna i Jeb podążyli za nią.

Potem León został sam.

Własna krew to osobliwy widok, lecz León czuł w sobie dziwny spokój. Może tak jest, gdy człowiek dociera do końca wszystkich pytań.

Dowlóknął się do ściany, która była naprzeciwko drzwi. Oparł się plecami o skałę. Miał w rękach obydwa pistolety. Był gotowy.

Muerte negra wejdą przez drzwi, a on musi ich zatrzymać, żeby Mary, Jenna i Jeb mieli szansę dotrzeć do bram.

Halę jeszcze raz wypełnił huk potężnego wybuchu. Coś ciężkiego, metalowego ogłuszająco uderzyło o podłogę. Masywne drzwi wypadły z futryny. Było już tylko kwestią czasu, kiedy go dopadną.

León próbował się wyprostować. To była ostatnia przysługa, jaką mógł zrobić Mary. Powinna mieć szansę opuścić ten świat. Powinna żyć i zabrać ze sobą marzenia. To był jedyny sposób, by nie został zapomniany.

Słyszał szelest, potem głosy za wyrwanymi drzwiami, przez które niedawno we czwórkę weszli.

Najwyraźniej *muerte negra* podejrzewali, że ktoś się na nich zaczął. Nie mieli odwagi wejść do środka.

Ale przyjdą.

Jeszcze raz León spojrzał w dół na siebie.

Wszędzie była tylko krew. Jego krew.

Przed wejściem zrobiło się cicho, potem wskoczył mężczyzna. Czy to był osławiony Rojo? Dziko strzelał wokół siebie.

León poderwał do góry broń i wystrzelił jeden z niewielu naboju, które mu zostały.

Mężczyzna padł na podłogę i już się nie ruszył.

Nastała cisza.

León nasłuchiwał.

Nic.

Minęła minuta.

Potem pojawił się jeszcze jeden *muerte negra*.

León znów podniósł broń.

W tej ostatniej walce nie miał już nic do stracenia.

Jenna przesunęła ciężką pokrywę studzienki ściekowej z powrotem do właściwej pozycji. W dole zabrzmiały strzały. Wiedziała, że nie zostało im już wiele czasu. Błyskawicznie się odwróciła, przeszukała wzrokiem okolicę. Jeb, obok niej, instynktownie zrobił to samo.

Noc jeszcze się nie skończyła, ale świt trochę rozświetlił miejsce przed nimi i zapowiadał kolejny słoneczny dzień. Niebo było jeszcze ciemnoniebieskie i nietrudno było na nim dostrzec gwiazdę.

Migotała prawie pionowo nad ich głowami. Przed nimi był niewysoki pagórek, a za nim już niebiesko świeciły bramy. Prawie się udało.

Miejsce było opuszczone.

Znów usłyszeli z dołu wystrzały.

Mary, Jenna i Jeb pobiegli zmęczonym krokiem w kierunku bram, które świeciły, oczekując na ich przybycie. Żadne nie spojrzało za siebie, ale Jenna wiedziała, że wszyscy troje byli myślami na dole, w kanalizacyjnych korytarzach.

Nie będą musieli walczyć o bramy, ale straszne było w taki sposób znaleźć się w grupie tych, którzy przeżyli.

Okolica była opustoszała. Nie było już budynków. Zaczynała się pustynia. Za nimi znajdowała się niska budowla, otoczona wysokim płotem z siatki – przedsiębiorstwo wodociągowe albo przynajmniej ta jego część, która była nad ziemią. Jenna spojrzała na Jeba, potem na Mary. Bezwiednie zacisnęła dłonie w pięści, aż zaboląły. Łzy płynęły jej po policzkach. Mary, która szła obok, była nieobecna duchem.

Przestała płakać. Z głową zwieszoną na piersi, opuszczonymi ramionami wpatrywała się tępo w wypaloną słońcem ziemię.

Krok za krokiem wlekli się naprzód. Jenna wzięła Mary za rękę i ciągnęła ją za sobą.

Strzały ze studzienki ucichły. To mogło oznaczać tylko jedno. León nie żył. W każdej chwili mogli pojawić się *muerte negra*. Nie było teraz czasu na żałobę.

Po drugiej stronie Mary dużymi krokami w kierunku bram szedł Jeb, wciąż oglądając się za siebie.

Mary i Jenna podtrzymywały się wzajemnie, bo Jenna również była u kresu sił.

Nie było już daleko, tylko dwie mile. Wspięli się na pagórek i spojrzeli na małą dolinkę za nim.

Chroniona przed wiatrem rosła tu sucha łykowata trawa i kilka potarganych krzaków.

Tam stały bramy.

Świeciły niebiesko w ciemności. Pulsowały jednostajnie jak powolne, spokojne bicie serca.

Trzy bramy. Trzy wejścia do kolejnego świata.

Co ich tym razem czekało? Czy będzie jeszcze gorzej?

Nie było na to odpowiedzi i Jenna o tym wiedziała. Odsunęła te myśli na bok i wzięła Jeba za rękę.

Razem szli w dół piaszczystego pagórka.

Ustawili się przed bramami.

Jenna pomyślała o Leónie, a Jeb zmówił za niego cichą modlitwę. Potem Jenna spojrzała

na Jeba i Mary. Jeb spojrział na nią. Mary patrzyła w ziemię.

– Ty pierwsza – powiedziała do niej.

Co zaskakujące, Mary nie zwlekała. Jeb myślał, że może będzie się bronić przed przejściem, ale po prostu zrobiła krok i zniknęła, a wraz z nią brama.

Jeb skinął głową. Potem przeszedł.

Jenna ostatni raz się obejrzała. To miasto upału i gwałtu było jak zapowiedź śmierci i bólu. A jednak dali sobie radę.

Jenna jeszcze raz głęboko odetchnęła, poczuła zapach pustyni, a potem podążyła za Mary i Jebem.

I opuściła ten świat.

Jeb spadł. Z szeroko otwartymi oczami, wiosłując ramionami, gnał wprost w błękitną wodę i przełamał jej powierzchnię.

Prędkość, z jaką spadał, wepchnęła go głęboko pod powierzchnię wody, potem coś nim okręciło, i nie wiedział, co się dzieje.

Chciał otworzyć usta, oddychać, ale jakiś głos w środku szeptał mu, że umrze. Utonie.

Nagle pojął, że jest pod wodą.

„Muszę na powierzchnię” – pomyślał.

Ale gdzie była powierzchnia?

Tam. Migocząc, światło wskazało mu drogę.

Jeb mocnymi pływackimi ruchami przebił powierzchnię, szeroko otworzył usta i do jego płuc wpłynęło powietrze. Chwytał je, kaszląc i charcząc.

Czuł się jak nowo narodzony.

Po kilku minutach zorientował się, gdzie jest. Pływał w jakimś bezkresnym błękicie. Nad nim było promiennie jasne niebo, a pod nim nieskończona głębia i bezmiar oceanu.

Wtem po lewej usłyszał jakiś głos. Mary. Zrobił kilka ruchów rękami i zobaczył ją w odległości kilku metrów. Płynęła rozluźniona, choć wciąż jeszcze miała twarz białą jak kreda.

„Nic dziwnego – stwierdził – jeśli pomyśleć o tym, co jeszcze kilka minut temu dla nas zrobiła”.

Już chciał do niej podpłynąć, ale nad nim, niedaleko, zabrzmiał dziki krzyk. Jeb podniósł głowę i zobaczył, jak Jenna wpada do wody. Spieniła się w miejscu, gdzie dziewczyna się zanurzyła.

Z ulgą odwrócił się w wodzie i czekał, aż wypłynie.

Czekał, ale nie wypływała. Owładnął nim strach, ale zmusił się do spokoju. Teraz nie mogły mu puścić nerwy.

Począł jeszcze kilka sekund. Za długo.

„Już, Jenno, ruszaj się!” – poganiał ją w duchu.

Bez zbędnej zwłoki zanurkował. Z otwartymi oczami, które drażniła sól, płynął w ciemną głębię.

Nic.

Nie było Jenny!

Nie było ryb i roślin, niczego nie było. Żadnych oznak życia.

Tylko pustka, z każdym ruchem ręki ciemniejsza.

Nagle z dołu dotarły do niego małe pęcherzyki powietrza, przepłynęły obok niego i wzniosły się nad nim. Powietrze oznaczało oddech. Oddech oznaczał Jennę.

Była na dole. Prawdopodobnie zbита z tropu popłynęła w niewłaściwym kierunku, głębiej.

Wkrótce skończy się jej powietrze.

Jeb też nie miał go za wiele. Chęć wzięcia oddechu stała się przemożna, ale gdyby teraz wypłynął na powierzchnię, przypieczętowałby los Jenny. Nie! Zanim nabierze powietrza i znów zanurkuje, ona się utopi.

„Muszę działać błyskawicznie” – zdecydował.

Jeb mocno wbił ręce w wodę. Zignorował ciśnienie w organizmie, które go, miał wrażenie, rozsadzało, i popłynął głębiej.

„Tam! Złoty przeblask! To musi być Jenna” – pomyślał. Jej włosy.

Widziane przez wodę ciało było tylko zarysem, sprawiało wrażenie czegoś, co się rozplywa w wodzie. Im bliżej jednak podpływał, tym wyraźniej ją rozpoznawał. Jenna się nie ruszała, unosiła ją woda. Miała otwarte oczy, patrzyła na Jeba, ale był pewny, że go nie rozpoznała, że nie wie, co się stało.

Z jej ust wciąż wydobywały się pęcherzyki powietrza, więcej Jeb nie mógł stwierdzić w słabym świetle.

Wyciągnął do niej rękę, chwycił za kołnierz koszuli i odwrócił się w stronę powierzchni. Pospiesznie poruszając nogami, wypływał.

W jego żyłach krew się gotowała. Płuca wołały o tlen, a Jenna ciągnęła go w dół. Nie ruszała się.

Gdy już myślał, że nie da rady, pojawiła się Mary. Chwyciła jedną ręką wiotkie ciało Jenny, drugą Jeba i ciągnęła ich oboje za sobą do góry, do światła.

Drugi raz w tak krótkim czasie doświadczył tego wyzwającego uczucia, że może oddychać. Drugi raz w tak krótkim czasie Mary uratowała im życie. Jeb wsysał w siebie powietrze i mocno je wypuszczał.

Obok niego Mary trzymała głowę Jenny nad wodą.

Jenna wciąż się nie ruszała.

Myśli Mary dziko się kotłowały. Ogarniały ją bezsensowne wspomnienia, ale potem pojawił się pewien obraz. Wyłożona kaflami hala, zapach chloru, zimna woda na rozgrzanej skórze. Obraz człowieka, który wymiotował potokiem wody.

„Jenna ma wodę w płucach – pomyślała. – Trzeba się jej stamtąd pozbyć, żeby mogła oddychać”.

Mary podpłynęła do Jenny od tyłu, puściła jej głowę i objęła nieprzytomną dziewczynę obydwoma ramionami. Gdy jej dłonie spotkały się przed środkiem ciała Jenny, zmobilizowała wszystkie siły i ścisnęła jej klatkę piersiową.

Z ust dziewczyny wydobył się dziwny dźwięk, prawie rżenie, a potem Jenna szeroko otworzyła usta i wyrzuciła z siebie strumień wody. Kaszłała i sapała, strumień wypływał za strumieniem, aż w końcu Jenna mogła oddychać.

– Och, Boże – wycharczała. – Co się stało? Gdzie jesteśmy?

Mary podtrzymała ją pod pachami.

– Nie wiem.

Jeb, który jak sparalizowany patrzył na to z odległości kilku metrów, podpłynął.

– Jenno, wszystko w porządku? – W jego spojrzeniu była szczerza troska, co zabolęło Mary.

„León – pomyślała. – Jemu nie mogłam pomóc”.

Jenna w jej ramionach próbowała się uśmiechnąć.

– Płuca mnie pieką jak ogień.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytała Jeba Mary.

– Widzę tylko wodę wokół nas. Jak okiem sięgnąć – powiedział. – Musieliśmy wylądować na środku oceanu.

– To jesteśmy zgubieni – szepnęła Mary.

– Nie – stanowczo zaprzeczył Jeb. – To niemożliwe. Nie po tym wszystkim, co

przetrwaliśmy. To nie może się tak skończyć. Jest jakieś wyjście, jakaś szansa. Dotychczas zawsze była. – Natarczywie i jak sądził, zachęcająco, spojrzął na Mary i odpoczywającą Jennę.

Zobaczył, jak Jenna się odwraca.

– To pokaż mi, proszę, tę szansę.

– O północy pojawi się gwiazda – powiedział Jeb. – Do tego czasu musimy wytrzymać. Ona pokaże nam drogę.

– Ale dokąd, Jeb? Dokąd nas zaprowadzi. Tu nic nie ma. Tylko woda i pustka.

Mary zwróciła się do Jenny: – Umiesz pływać?

Jenna skinęła głową.

– To teraz cię puszczę.

Zrobiła to i Jenna zaczęła młócić wodę rękami i nogami.

– León nie żyje – cicho powiedziała Mary. – Powinnam była z nim zostać. Lepiej było umrzeć z nim niż żyć tutaj.

Nikt jej nie odpowiedział.

Jeb zadawał sobie pytania: „Czy było lepiej zostać przy życiu w otoczeniu bez wyjścia i walczyć o przetrwanie? Dlaczego w ogóle jeszcze walczę, racjonuję swoje siły? Mary miała rację: po co?”

„Bo tkwi w tobie wola przetrwania – odpowiedział sobie. – Nie możesz jej wyłączyć, twoje ciało podtrzymuje ją samo z siebie. Dzięki adrenalinie pozwala ci zapomnieć o bólu, chce, żebyś działał dalej.

Utrzymuje krew w twoim ciele, żeby narządy podtrzymywały życie. Pcha cię na powierzchnię, żebyś mógł oddychać. Nawet jeśli już nie chcesz żyć, twoje ciało będzie cię tak długo utrzymywać przy życiu, jak tylko może”.

Nadciągnął lekki wiatr. Woda zaczęła się marszczyć, potem przyszły fale, które wznosiły się i opadały.

Ich ciała kołysały się na nich. Z nieba świeciło na nich gorące słońce, a woda tak połyskiwała, że Jeb musiał przymykać powieki, żeby cokolwiek widzieć. Wciąż obracał się wokół własnej osi, podnosił ciało z wody i wpatrywał się w odbijającą się nicość.

Nigdzie nie widać było nawet mglistego zarysu lądu.

„Jeśli nie ma tu lądu, umrzemy – myślał. – Mary nie tak całkiem nie ma racji, że w ostatnim świecie mogliśmy przynajmniej walczyć, a tu? Kiedyś skończą nam się siły i nie będziemy się mogli utrzymać na powierzchni, to wtedy zacznie się ostatni bój”.

Jeb słyszał, jak Jenna po cichu rozmawia z Mary. Obie zniosło kilka metrów od niego i nie rozumiał słów. Prawdopodobnie Jenna pocieszała Mary.

Wokół nich było tak wiele wody, a jego gardło paliło z pragnienia. Na pewno nie było rozsądne picie tej słonej wody. Głowa Jeba była rozgrzana od słońca, czarne włosy dosłownie pochłaniały promieniowanie. Jeb na chwilę ją zanurzył, żeby się schłodzić.

Nagle dostrzegł cień długości może czterech metrów, który przesunął się pod nim.

„Rekin!” – coś w nim zawyło. Już chciał gwałtownie ruszyć w panice i odплыnąć, gdy sobie uświadomił, jak to było bez sensu.

Dokąd miał uciekać?

I czy wtedy jeszcze bardziej nie zwróci na siebie uwagi tego potwora?

Jeb wstrzymał oddech i próbował zachować jasny umysł.

„To nie musiał być rekin – próbował sobie wmówić – to mogła być jakaś wielka ryba, która płynęła pode mną w głębinę. Nie daj się ponieść nerwom. Nie wariuj, mówił sobie w

duchu.

Czy powinien opowiedzieć dziewczynom o swoim odkryciu? Jeśli to zwierzę było niegroźne, tylko napędzi im strachu, a jeśli nie, nie zmieni nic w ich sytuacji, jeśli będą wiedziały o niebezpieczeństwie.

W każdym razie nie będą się bały. Będą się spokojnie zachowywały, a nie panicznie wierzgały nogami jak on. Tak czy owak byli bezwolnymi zakładnikami swojego losu”.

Jeb znów wsadził głowę pod wodę i się rozejrzał.

Nie było nic widać. Tylko promienie słońca przebijały wodę i sprawiały, że wszystko połyskiwało w tym nierealnym błękitcie, dopóki nie zostało połknięte przez nieprzenikloną czerń poniżej.

Jenna widziała, że Jeb kilkakrotnie zanurkował i szukając, kręcił się w kółko. Chciała go właśnie zapytać, co się dzieje, gdy coś dotknęło jej nogi.

Coś gładkiego i sprężystego.

Bezwiednie wydała z siebie cichy krzyk. Mary, która milczała, natychmiast na nią spojrzała.

– Co jest?

– Coś... coś dotknęło mojej nogi.

Jeb po jej krzyku z wahaniem do nich podpłynął. Jenna spojrzała pytająco na Mary. Może ona niechcący...

– To nie ja, ale też to czułam, coś jest pod nami.

Jenna słyszała, że głos Mary drży, i widziała, jak blada dziewczyna zastyga i na chwilę prawie cała się zanurza pod wodą.

Jenna szeroko otworzyła oczy, ze strachu, że coś może ją wciągnąć w głębie. Ale potem dostrzegła, że Mary tylko na moment przestała płynąć. Oniemiała z otwartymi ustami, a potem zapytała: – Jeb, co to było?

Miał kłamać? Ukryć przed nimi to, co widział? A może raczej myślał, że widział? Był pewien, że potrafią rozpoznać prawdę po jego oczach. Chodziło teraz o to, żeby nie wpadły w panikę i nie zrobiły czegoś, co przyciągnie uwagę rekina.

– Jest w pobliżu jakaś duża ryba. Zauważyłem ją już chwilę temu. – Starał się, by jego głos brzmiał spokojnie, jakby to nie było nic szczególnego.

Oczy Jenny zrobiły się jeszcze większe, a Mary się w niego wpatrywała.

– To rekin – od razu powiedziała Jenna. – Prawda?

Jeb próbował utrzymać mimikę pod kontrolą. Tak naprawdę nie wiedział tego na pewno.

– Nie wiem. Poza cieniem niczego nie mogłem rozpoznać, gdy przepływała pode mną. Od tego czasu już tej ryby...

– Nie mów „ryby”, Jeb! – przerwała mu Jenna niezwykle gwałtownie. – Wiemy z Mary, co to jest.

Duża ryba oznacza rekina. Ponieważ podpłynął do nas tak blisko, że nawet nas dotknął, jest też jasne, że wzbudziliśmy jego ciekawość. To niedobrze, bardzo niedobrze!

– To pływajmy bliżej siebie – powiedział Jeb. Nie wiedział, jak się zachować. Dotychczas znał Jennę jako osobę spokojną i rozsądną.

Ale tutaj, w wodzie, która najwyraźniej nie była jej żywiołem, jej myśli ze strachu szalały.

– Jeśli będziemy wyglądać na większych od niego, to go może odstraszymy.

Nawet w jego uszach zabrzmiało to żałośnie. Jeśli naprawdę rekin tej wielkości krążył wokół nich, jasne było, że byli łatwym łupem. Ten drapieżnik szybko sprawiłby się z nimi, bezbronny i osłabiony.

– Coś widzę! – nagle krzyknęła Mary.

Jeb gwałtownie obrócił się w wodzie, chociaż miał zamiar unikać takich ruchów. Myślał, że Mary dostrzegła rekina, który płynął ku niej z widoczną tylną płetwą – ten obraz z niezrozumiałych powodów wyraźnie stał mu przed oczami, jakby widział go tysiąc razy. Wyciągnięta z wody ręka Mary wskazywała horyzont.

– Widzicie to? – W głosie Mary brzmiało podekscytowanie, ale nie lęk.

Jeb przymknął oczy. Ta przekłeta woda odbijała światło, a wznoszące się i opadające fale utrudniały dostrzeżenie czegokolwiek.

Mary miała rację. Horyzont już nie był pusty.

Był tam tańczący punkt, który wznosił się i opadał.

– Co to jest? – zapytał bez tchu.

Mary przymknęła oczy.

– Myślę, że łódka.

– Łódka? – Dla niego tak to nie wyglądało. Był to raczej niesiony przez fale pień drzewa, w żadnym razie nie łódka, nie zgadzał się kształt.

– Leży w wodzie odwrócona do góry dnem – stwierdziła Mary.

Jeb jeszcze raz próbował coś rozpoznać. Wtedy Jenna powiedziała: – Mary ma rację. To jest łódka.

Jeba przeszedł dreszcz. Tak, teraz również to dostrzegł. Łódka niesiona była po bezkresnym oceanie kilem do góry.

Oznaczała, że nie musieli już dłużej pływać. Oznaczała ochronę przed rekinem.

Jeb poczuł jakiś ruch. Woda przy jego stopach została czymś poruszona. Zanim zdążył otworzyć usta, w jego uszach rozległ się krzyk Mary.

Jenna się przestraszyła, gdy Mary obok niej zapiszczała.

– Znów tu jest!

– Ja też to czułem! Widziałas go? – zapytał zdenerwowany Jeb.

– Nie, ale go czuję. Nadal. Przesuwa się pod moim ciałem. Przepląwa obok mnie... – Mary zaczęła kwilić, a wtedy Jeb zanurkował. Serce Jenny zamarło, ale zaraz znów się wynurzył.

– Nic nie ma! Nic tu nie widać!

– Czułam go – upierała się Mary.

Jenna przełknęła ślinę. Ci dwoje muszą wytrzymać, muszą spokojnie dopłynąć do łódki. Byli wyraźnie lepszymi pływakami od Jenny, co zauważyła od razu. I właśnie dlatego nie mogli teraz sfiksować, osłabnąć ani się poddać. Chciała, by jej głos brzmiał kategorycznie, gdy mówiła: – Ta łódka jest niedaleko. Natychmiast płynicie.

Jenna powoli, jednostajnymi ruchami płynęła naprzód. Wkrótce usłyszała za sobą, jak Jeb i Mary wykonują regularne pływackie ruchy. Wciąż posuwali się przez wodę. Ale im dłużej płynęli, tym bardziej łódka wydawała się od nich oddalać. Jenna czuła, że mimo to się zbliżali.

Rekin się więcej nie pokazał. Być może czaił się w głębinie, gotowy do ataku, ale jeszcze się trzymał na dystans i Jenna znów nabrała nadziei. Najpierw woda, potem rekin. Jedno i drugie budziło w niej skrajne przerażenie. Nie wiedziała, dlaczego tak jest, ale czuła, że na

świecie było niewiele rzeczy, których bała się bardziej.

Następne minuty mijały koszmarnie wolno. Mary w każdej chwili oczekiwała, że rekin się pojawi, ale nie było go widać. Tymczasem jej serce biło tak mocno, że drapieźnik mógłby je usłyszeć. Tego była pewna.

Nikt nic nie mówił. Płynęli przez grzbiety i zagłębienia łagodnych fal. Słońce paliło ich z góry, a Mary czuła, że nadchodzi ból głowy. Chciało jej się pić, a gdy pomyślała o Leónie, o tym ostatnim spojrzeniu, które jej rzucił... była bliska tego, by przestać ruszać rękami, zatrzymać ruchy nóg i dać się wodzie ponieść, a potem zabrać. Po prostu odpocząć, nie walczyć już ani przez minutę, już nie musieć się trudzić.

Nie wchodziło to jednak w rachubę, bo miała jeszcze siły, wyraźnie widziała przed sobą łódkę, choć fale wciąż ją zasłaniały.

Miała cel i zamierzała go osiągnąć. Śmierć Leóna poszłaby na marne, gdyby się teraz poddała.

Woda była spokojna, żaden cień nie zataczał pod Mary kręgow. Jej serce podskoczyło, bo powoli zbliżali się do łódki.

Pokonali jeszcze niezliczone fale, które wciąż wlewały wodę do ust, i ramiona ich bolały, ale dotarli do niej. Leżała na wodzie kilem do góry, miała mniej więcej sześć metrów długości, półtora metra wysokości i była z brązowego, twardego tworzywa sztucznego. Jej brzeg był pomalowany na białą.

Mary położyła rękę na łódce i świadomość, że dotyka konkretnego, twardego przedmiotu, dodała jej otuchy.

– Jesteśmy na miejscu – wysapał Jeb obok niej.

„Tak – pomyślała Mary. – Ale jak mamy radę wejść na pokład?”

Obok niej w wodzie miotała się Jenna. Wyglądała, jakby zastanawiała się nad tym samym problemem.

– Jest większa, niż myślałam.

– Pomóżcie mi. – Jeb przyplłynął do dłuższego brzegu łódki. Włożył ręce pod brzeg i próbował odwrócić łódkę. Udało mu się ją podnieść na pół metra, a potem zwyciężyła grawitacja i łódka spadła z powrotem do swojej poprzedniej pozycji.

– Wszyscy razem – zaproponowała Mary.

Jenna zajęła miejsce obok Jeba, Mary chwyciła za dziób łódki. Na komendę ją podnieśli, ale potrzebowali trzech kradnących siły prób, by łódka się odwróciła. Ramiona Mary omdlewały, ale zalała ją fala szczęścia. Uśmiechała się.

Potem pojęła, że jeszcze sporo czasu minie, zanim *usiądą* w łódce. Jej brzeg był teraz prawie metr nad nimi. Jak, u diabła, mieli tam wejść?

Jeb zapał się już o brzeg łódki, rozhuśtał się i... spadł z powrotem do wody. Jenna i Mary były za słabe, żeby próbować. Jeb był ich jedyną szansą, Mary o tym wiedziała.

Wysiłki Jeba kosztowały go mnóstwo sił. Jenna to widziała. Przy każdej próbie Jeb podnosił się z wody coraz słabszy. I przy każdej próbie cicho klął. Ale to też nie pomagało.

Jenna chciała go jakoś zachęcić, ale była zbyt wyczerpana, żeby cokolwiek powiedzieć.

Potem, o dziwo, Jebowi się udało przełożyć tułów przez brzeg łódki i z mało eleganckim pluskiem wpaść do środka. Później wciągnął Jennę i Mary.

Siedzieli w kucki w kołyszącej się łódce i dygotali ze zmęczenia. Nikt nic nie mówił,

próbowali złapać oddech. Jenna się rozejrzała.

Łódka miała trzy poprzeczne podpory, pomyślane jako ławki dla wioślarzy. Były również mocowania wiosel, ale wiosel nie było. Na rufie była ławka do siedzenia, obok zagłębienia do przymocowania silnika zaburtowego. Jenna знаła się na tym trochę, ale czuła, że nigdy nie siedziała w takiej łódce. Nie czuła się dobrze w tym kiwającym się wehikule, chociaż prawdopodobnie był dla nich ratunkiem.

Przynajmniej na razie.

Zainteresowanie Jenny wzbudziła kłapa na tylnej ławce. Podniosła się i przeszła do tyłu. Nie było tam zamka, tylko drążek, poruszyła nim i kłapa odskoczyła.

Jenna wydała okrzyk zaskoczenia.

– Co jest? – zapytał przestraszony Jeb.

– Tu jest... jedzenie. Butelki z wodą. Plastikowe worki. – Szperała w rzeczach. – Duża plastikowa płachta i... i mam... – Zwlekała. – ...to jest torba medyczna z lekami i maściami. Jakiś... ten tam, jak to się nazywa... – Nie przychodziło jej do głowy odpowiednie słowo.

Mary wstała i przeszła do niej nad ławkami dla wioślarzy.

– Kompas – dokończyła. – Żeby można było ustalić kierunek świata.

Odkryli jeszcze latarki, środki opatrunkowe i raketnicę, której zastosowanie rozszyfrowali dopiero po kilku chwilach.

To był skarb. A nawet kilka skarbów, które oznaczały życie. Przeżycie.

Nagle Jenna zastygła. Odwróciła paczuszkę z opatrunkiem i wpatrywała się w napis, który na niej widniał.

„Mary”.

Bez słowa podała tę paczuszkę Mary i Jebowi, który teraz również stał obok, i patrzyła, jak oczy obojga się rozszerzyły.

Spojrzenie Jenny powędrowało do Mary, która wyglądała na równie skonsternowaną, a później wskazała ręką do tyłu, na ścianę dziobu.

– Tam jest coś napisane – powiedziała cicho. – Tam jest napisane „Mary”. Moje imię. Co to ma znaczyć?

Woda lekko pluskała o burzę, i to był ten dźwięk, który wydawał się coś budzić w Mary.

Jenna widziała, jak oczy Mary zabłyśły.

– Ja... W mojej głowie pojawił się obraz. Ten napis... myślę, że już go kiedyś widziałam.

Jeb wpatrywał się w Mary, która położyła się na dziobie łodzi. Była tam od godziny i patrzyła przed siebie. Powiedziała, że jeszcze nie wie, dlaczego ta łódka wydaje jej się znajoma. Dodała jeszcze, że musi się zastanowić, i od tej chwili nie chciała jeść znalezionych racji, wypła tylko małą butelkę wody.

Jenna i Jeb z początku starali się z nią rozmawiać, w końcu zbieżność imion mogła być przypadkiem, ale Mary milczała. Z twarzą bez wyrazu i pustym spojrzeniem wpatrywała się przed siebie.

Jeb z namysłem żuł suchara. Obok niego siedziała Jenna i smarowała sobie twarz znalezionym kremem z filtrem przeciwsłonecznym. Jej skórę pokrywała gruba biała warstwa.

„Wygląda to, jakby ktoś podstawił nam tę łódkę i zadbał o wszystko, czego potrzebujemy” – pomyślała.

Wiosłowa łódź kołysała się na wodzie. Czy posuwała się naprzód, Jeb nie potrafił powiedzieć. Wokół nich nie było żadnych punktów orientacyjnych, więc trudno było

stwierdzić, czy w ogóle się poruszali.

Jeb przełknął ostatni kęs suchara, a potem zwrócił się do Jenny.

– Co z nią robimy?

Jenna zastygła.

– Potrzebuje czasu, potem sobie coś przypomni i może wtedy będziemy wiedzieli więcej o tym świecie.

– Nic nie jadła.

Jenna spojrzała chłodno na Jeba.

– Nie rozumiesz tego?

Twardy ton w jej głosie go zdziwił. Oczywiście, że rozumiał. León nie żył, a szok na skutek odkrycia swojego imienia na łódce skłonił ją do zamilknięcia. Była jeszcze nadzieja. A może nie? Mieli zapasy, wodę, leki, mogli jakiś czas wytrzymać. Może na horyzoncie pojawi się jakiś statek i ich uratuje?

„Oni umarli, ale my jeszcze jesteśmy. Zasłużyliśmy na życie” – pomyślał.

Głos Jenny był inny. Również i ona się zmieniła. Labirynt ją zmienił. Jeb widział zarys zgorzknienia wokół kącików jej ust, ale jakże mogło być inaczej. Labirynt nikogo nie oszczędzał. Trudy i lęki odkładały się w ich wnętrzu i wyciągały na światło dzienne wszystkie skrajności.

Upalny dzień skłaniał się ku końcowi i słońce powoli znikało w morzu za horyzontem. Jeb miał nadzieję, że noc znów pokaże im gwiazdę, potem ich podróż potoczy się dalej. Zawsze w stronę gwiazdy.

Jeb zawarł ze sobą pakt. Nie wolno mu się nigdy poddać, bo wtedy labirynt zwycięży. Jedno z nich przejdzie przez ostatnią bramę i wróci do swojego prawdziwego życia. Jeśli to on będzie ostatni, dowie się, kto im to wszystkim zrobił.

„A potem się zemszczę” – postanowił.

Ciąg dalszy w trzeciej części: *Bezlitosny labirynt*.

Podziękowania

Chciałbym Ci, Drogi Czytelniku, powiedzieć: dziękuję. Dziękuję za to, że w tej podróży, która się jeszcze nie skończyła, towarzyszyłeś Jebowi, Jennie, Leónowi, Mary, Kathy, Miszy i Tianowi. Do tego miejsca droga była długa i mam nadzieję, że pozostaniesz wierny im i mnie również na ostatnim etapie tej podróży.

Szczególne podziękowania należą się Sandrze Budde, Stefanie i Kaiowi Hassem, Janowi Frewertowi, Aygen Ekici, Alexandrze Zylenas i Claudii Heeschen, którzy tak wspaniale wspierali pierwszy tom, *Przebudzenie labiryntu*.

Nie chcę zapomnieć o wszystkich cudownych ludziach z wydawnictwa Arena, bez których wkładu i pracy nie byłoby tej książki.

Osobiste podziękowania przekazuję jak zawsze swojej Rodzinie i Przyjaciołom. Wspieracie mnie i pomagacie mi żyć marzeniami.

Rainer Wekwerth, 2013

Informacje na temat autora i książki:

www.wekwerth.com

www.kreatives-schreiben.net

www.wekwerth-labyrinth.de

Facebook: Rainer Wekwerth – Das Labyrinth

[1] Z ang.: „Trzy ślepe myszki, trzy ślepe myszki. Zobacz, jak bieżną, zobacz, jak bieżną! Wszystkie bieżną za żoną farmera, która kroi nożem ser. Widziałeś w życiu coś takiego jak trzy ślepe myszki?”

[2] Z ang. Z mentalnością spod celi ciągle kręcę kasę *A hejterzy wciąż hejtują* Ciągle walę tym cackiem *Z półautomatem w środku* Żyję, jak chcę /I ty też możesz.

Przekład: Aldona Zaniewska
Redakcja: Agnieszka Jędrzejczak-Sprycha
Korekta: Ilona Siwak, Paulina Martela
Projekt okładki oryginalnej: Frauke Schneider © 2013 Arena Verlag GmbH, Würzburg, Germany
www.arena-verlag.de
Projekt logo imprintu: Julia Karwan-Jastrzębska

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3223-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo